

Z podniesioną banderą

C. S. FORESTER



calibre 0.7.3

C. S. FORESTER

Z podniesioną banderą

„WYDAWNICTWO MORSKIE” GDAŃSK

„TEKOP” GLIWICE

1991

Tytuł oryginału angielskiego

Flying Colours

Tłumaczyła z angielskiego Henryka Stępień

Redaktor Alina Walczak

Opracowanie graficzne Erwin Pawłusiński Ryszard Bartnik

Korekta Teresa Kubica

© Copyright for the Polish edition, by Wydawnictwo Morskie 1974

ISBN 83-85297-56-1

Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1991

we współpracy z

„Tekop” Spółka z o.o. Gliwice

Bielskie Zakłady Graficzne zam. 1723/k

Rozdział I

Kapitan Hornblower przechadzał się tam i z powrotem wzdłuż odcinka wałów Rosas strzeżonego po obu stronach przez dwóch wartowników z naładowanymi muszkietami, a przydzielonego mu przez komendanta na spacer. W górze świeciło jasno jesienne śródziemnomorskie słońce, zawieszane na błękitnym śródziemnomorskim niebie, oświetlające śródziemnomorski szafir zatoki Rosas — niebieską wodę obramowaną bielą, tam gdzie drobne fale rozbijały się o złocisty piasek i szarozielone urwisko. Nad jego głową łopotała trójkolorowa flaga Francji, czarna na tle słońca, głosząc światu, że Rosas jest w rękach Francuzów, a kapitan Hornblower w niewoli. O niespełna pół mili od miejsca wyznaczonego mu na przechadzkę leżał pozbawiony masztów wrak jego okrętu, „Sutherlanda”, osadzony na brzegu, aby nie zatonął, w prostej zaś linii za nim stały na kotwicach cztery liniowce, które go pokonały. Spoglądając przez zmrużone powieki i z żalem myśląc o utraconej lunecie, mógł stwierdzić z tej odległości, że nie są zdadne do żeglugi i że prawdopodobnie nie zostaną nigdy doprowadzone do tej zdatności. Nawet dwupokładowiec, który wyszedł z boju z nietkniętymi masztami, musiał co dwie godziny wprawiać w ruch swoje pompy, by utrzymać się na wodzie, a na pozostałych trzech okrętach nie zdołano jeszcze ustawić nowych masztów na miejsce utraconych w bitwie. Francuzi to banda niemrawych szczerów lądowych, jak można by mniemać po siedemnastu latach ich klęsk na morzu i sześciu latach nieprzerwanej blokady.

Byli dla niego słodcy jak lukrecja i wychwalali go na swą francuską modłę za „wspaniałą obronę” po „śmiałej inicjatywie” rzucenia swego okrętu między ich cztery a Rosas, gdzie tamte chciały się schronić. Wyrażali najwyższą radość, że jakimś cudem uszedł bez szwanku z bitwy, w której dwie trzecie jego ludzi zginęło lub odniosło rany. Ale rabowali w swój zwykły sposób, który sprawiał, że siły zbrojne cesarstwa były znienawidzone w całej Europie. Przetrzęsali kieszenie nawet rannym, jęczącymi stosami zalegającym pokłady „Sutherlanda”. Przy pierwszym spotkaniu z Hornblowerem ich admirał wyraził zdziwienie, że nie nosi szpady, którą odesłał mu z powrotem w uznaniu waleczności; a gdy Hornblower odrzekł, że od momentu jej oddania już jej więcej nie zobaczył, zarządził rewizję na swoim okręcie flagowym. Szpada leżała w jakimś kącie, z zaszczytną dedykacją wciąż widoczną na klindze, lecz z rękojeścią, gardą i pochwą odartą ze złocień. Admirał roześmiał się tylko z tego i ani mu się śniło nakazać poszukiwania złodzieja; dar Funduszu Patriotycznego zwisał więc dalej u boku Hornblowera z nagą głowicą brzeszczotu, wystającą z pochwy pozbawionej ozdób ze złota, kości słoniowej i pereł.

Żołnierze i marynarze francuscy, którzy zajęli zdobyty okręt, zrywali nawet okucia mosiężne; obżerali się niezbyt apetycznymi zapasami w sposób zdradzający, jak mizerne racje żywności przyznawano ludziom bijącym się za cesarstwo — ale tylko paru spiło się do nieprzytomności rumem z baryłek. Wobec podobnej pokusy (na jaką nie wystawiłby swych ludzi żaden oficer brytyjski) marynarze angielscy piliby tak długo, aż dziewięć dziesiątych doszłoby do stanu kompletnego zamroczenia lub wdałoby się w zażartą bijatykę. Oficerowie francuscy zwrócili się do jeńców ze zwykłym apelem, by wstąpili w szeregi francuskie, do armii lub marynarki wojennej, kusząc jak zawsze obietnicami dobrego traktowania i regularnej wypłaty żołdu. Hornblower był dumny, że ani jeden z jego załogi nie dał się zwieść tym obietnicom.

W rezultacie nieliczni zdrowi marynarze marnieli teraz zamknięci w jednym z pustych

magazynów forticy, pozbawieni tytoniu, rumu i świeżego powietrza, co dla większości z nich było piekłem. Ranni — a było ich stu czterdziestu pięciu — gnili w wilgotnych kazamatach, gdzie gangrena i gorączka miały wkrótce położyć kres ich życiu. W pojęciu praktycznych Francuzów byłoby głupotą ze strony ubogiej armii katalońskiej, która niewiele zdolna była zrobić nawet dla swoich własnych ludzi, poświęcać cokolwiek ze swych zapasów dla tych rannych, którzy — gdyby przeżyli — staliby się nieznośną kulą u nogi.

Z ust Hornblowera wyrwał się cichy jęk. On sam miał dla siebie pokój, człowieka do obsługi, mógł korzystać ze świeżego powietrza i światła słońca, gdy tymczasem ci biedacy cierpieli wszelkie męki odosobnienia — nawet tych paru jego oficerów, którzy wyszli cało z bitwy, umieszczono w więzieniu miejskim. Podejrzał co prawda, że jemu gotowano odmienny los. W czasie tych sławnych dni, gdy dowodząc „Sutherlandem” zdobył sobie, sam o tym nie wiedząc, przydomek „Postrachu Morza Śródziemnego”, udało mu się rozbić baterię w Llanzy podprowadzając w jej pobliże swój okręt pod trójkolorową banderą. Był to prawnie usankcjonowany „ruse de guerre” [1], mający wiele precedensów w historii, lecz rząd francuski uznał to widocznie za pogwałcenie prawa wojennego. Jako jeniec zostanie zabrany przez najbliższy konwój do Francji lub Barcelony, żeby tam stanąć przed sądem wojennym. Bonaparte na pewno może kazać go rozstrzelać, kierowany z jednej strony osobistą urazą, a z drugiej chęcią dostarczenia Europie bardzo przekonywającego dowodu brytyjskiej dwulicowości i perfidii. Od wczoraj czy przedwczoraj Hornblower miał wrażenie, że to wszystko czyta z oczu swych strażników.

Upłynęło już dostatecznie dużo czasu, aby wieść o zdobyciu „Sutherlanda” dotarła do Paryża i aby odpowiednie rozkazy Bonapartego zostały przekazane do Rosas. „Moniteur Universal” wybuchnął pewnie triumfalnym peanem, oznajmiając całemu kontynentowi, że strata okrętu liniowego jest oczywistym dowodem chylenia się Anglii ku upadkowi, jak niegdyś Kartaginy; za miesiąc lub dwa ukaże się przypuszczalnie wzmianka, że zdradziecki sługa perfidnego Albionu spotkał się z zasłużoną karą pod murem Vincennes lub Montjuich.

Hornblower chrząknął nerwowo; bał się, że ogarnie go strach i był zaskoczony, że tak nie jest. Myśl o takim nagłym i nieuniknionym końcu nie zatrwożyła go bardziej niż niejasne przeczucia, gdy rzucił się w bój na pokładzie rufowym swojego okrętu. W gruncie rzeczy potrafił znaleźć w niej niemal ulgę, jak w czymś co położy kres troskom o jego żonę Marię, pozostawioną w ciąży, udrękom zazdrości i tęsknocie za Lady Barbarą, która poślubiła jego admirala; w oczach Anglii uznany zostanie za męczennika, a wdowie po nim przysługiwać będzie renta. Byłby to więc zaszczytny koniec, który mężczyzna powinien przyjąć z wdzięcznością — szczególnie człowiek typu Hornblowera, utrzymujący samego siebie w stanie uporczywego i bezpodstawnego braku wiary we własne zdolności i obawy przed zawodową kompromitacją i ruiną.

Byłby to również koniec niewoli. Hornblower już raz spędził jako jeniec dwa ponure lata w Ferrol, lecz z upływem czasu zapomniał o nich, aż znowu znalazł się w podobnej sytuacji. Ponadto wtedy nie zaznał był jeszcze swobody, jaką daje własny pokład rufowy, i nie zakosztował smaku nieograniczonej wolności — największej na świecie — wolności kapitana okrętu. Teraz więzienie było dla niego torturą, mimo że pozwalano mu patrzeć na niebo i morze. Hornblower wściekał się przeciwko swemu odosobnieniu jak lew zamknięty w klatce i miotający się za jej prętami. Miał dość zamknięcia. Zacisnął pięści i tylko siłą powstrzymał się, by nie wyrzucić ich w górę gestem

rozpaczy.

Potem opanował się, urągając sobie w duchu za dziecinną słabość. By oderwać się od tych myśli, popatrzył znowu na szafirowe morze, które kochał, na sznur czarnych sylwetek kormoranów na tle szarego zbocza i na mewy krążące pod błękitem nieba. W odległości pięciu mil widział marsie „Cassandry”, fregaty jego królewskiej mości, pilnującej dniem i nocą czterech francuskich okrętów, stłoczonych w zatoce pod osłoną dział Rosas, a za nimi dostrzegał bombramsle „Plutona” i „Caliguli” (admirał Leighton, niegodny małżonek jego ukochanej Barbary, żeglował pod swoją flagą na „Plutonie”, ale on nie chciał się teraz trapić tą myślą) czekających z zaatakowaniem okrętów, które wzięły go w niewolę, aż przybędą posiłki floty śródziemnomorskiej. Mógł polegać na Brytyjczykach, że pomszczą jego klęskę. Martin, wiceadmirał dowodzący eskadrą blokującą Tulon, dopilnuje, aby Leighton nie sfuszerował tego ataku nawet przy największej sile dział Rosas.

Powiódł wzrokiem wzdłuż szanców, po zainstalowanych tam masywnych działach dwudziestoczerofuntowych. Narożniki bastionów dźwigały ogromne czterdziestodwufuntówki. Przechylił się przez parapet i spojrzął w dół; ściana o wysokości dwudziestu pięciu stóp opadała pionowo do dna fosy, wzdłuż którego biegła linia mocnej palisady, nie do zniszczenia przez armię oblężniczą bez podkopania się aż do skraju fosy. Żaden pospieszny, zaimprovizowany atak nie zdobędzie cytadeli Rosas. Dwudziestu wartowników chodziło po wałach odmierzonym krokiem; po przeciwległej stronie widział potężne wrota ze spuszczoną kratą, gdzie setka żołnierzy straży głównej była zawsze w pogotowiu dla odparcia niespodziewanego ataku, który mógłby ująć uwagi tych dwudziestu na wałach.

W dole, w samym sercu fortecy, kompania piechoty odbywała musztrę — przenikliwe słowa komendy dobiegały aż do niego. Wydawano ją po włosku; Bonaparte usiłował podbić Katalonię głównie przy pomocy cudzoziemskich sprzymierzeńców swego cesarstwa, Włochów, Neapolitańczyków, Niemców, Szwajcarów, Polaków. Żołnierze nie potrafili uformować równych szeregów; odziani byli w łachmany, ale nawet te łachmany nie miały jednolitego wyglądu — były białe, niebieskie, szare lub brązowe, zależnie od tego, czym dysponowały magazyny, z których je kiedyś pobrano. Biedacy, byli też na pół zagłodzeni. Spośród pięciu czy sześciu tysięcy stacjonujących w Rosas do pełnienia służby wojskowej można było przeznaczyć tylko tych, których oglądał w tej chwili; reszta grasowała po okolicy w poszukiwaniu żywności — Bonapartemu nie pozostało nawet w głowie starać się o zaprowiantowanie ludzi, których zmuszał do służenia sobie, zresztą i z żołdem zalegał po roku i więcej. Zdumiewająca rzecz, że jego zrujnowane cesarstwo utrzymywało się tak długo — był to najoczywistszy dowód nieudolności tych państw, które się z nim zmagaly. Tam, po przeciwległej stronie półwyspu, cesarstwo francuskie zbierało w tej chwili wszystkie swe siły przeciwko człowiekowi prawdziwie uzdolnionemu i armii, która wie, co to dyscyplina. Od wyniku tej bitwy zależą losy Europy. Hornblower był przekonany, że czerwone mundury pod wodzą Wellingtona odniosą pełne zwycięstwo; byłby tego równie pewien, gdyby Wellington nie był bratem jego ukochanej Lady Barbary.

Wzruszył ramionami. Nawet Wellington nie zdruzgoce cesarstwa francuskiego tak szybko, by uchronić go przed sądem i egzekucją. Skończył się zresztą czas przeznaczony na codzienną przechadzkę. Następnym punktem w monotonnym programie dnia będzie wizyta u chorych w kazamatach, potem u jeńców trzymanyh w byłym magazynie — komendant dał mu na to łaskawie

po dziesięć minut — po czym zostanie zamknięty w pokoju, gdzie będzie próbował czytać od nowa którąś z pół tuzina książek będących w posiadaniu garnizonu Rosas lub chodził z kąta w kąt, trzy kroki tam i trzy z powrotem, by rozmyślać o Marii i o dziecku, które miało przyjść na świat na Nowy Rok, i torturować się wspomnieniami o Lady Barbarze.

Rozdział II

Tej nocy Hornblower ocknął się nagle, zastanawiając się, co mogło wyrwać go ze snu. W chwilę później usłyszał znowu ten odgłos. Był to stłumiony huk działa nad pomieszczeniem, w którym się znajdował. Z biciem serca porwał się z łóżka, lecz zanim jego stopy dotknęły podłogi, w całej twierdzy zawrzało. W górze grzmiały armaty, gdzieś poza twierdzą waliły setki dział; przez zakratowane okna pokoju wdarła się nikła poświata od błysków ognia odbitych od nieba. Tuż za drzwiami warczały bębny i grały sygnałówki, wzywając garnizon pod broń. — dziedziniec napełnił się tupotem podkutych butów uderzających o kocie łby bruku.

Ta ogłuszająca kanonada artyleryjska mogła znaczyć tylko jedno. Pod osłoną ciemności flota wśliznęła się do zatoki i teraz słyszał huk salw burtowych ostrzeliwujących zakotwiczone okręty. O pół mili od niego toczyła się wielka bitwa morska, a on nic z tego nie widział. To go doprowadzało do szału. Chciał zapalić świecę, ale trzęsące się ręce nie potrafiły skrzesać ognia. Cisnął pudełko z hubką i krzesiwem na podłogę, wciągnął po omacku mundur, spodnie i buty, a potem zaczął bębnić wściekle pięściami w drzwi. Wiedział, że postawiony przy nich wartownik jest Włochem, a sam nie mówił po włosku, znał tylko biegle hiszpański i marnie francuski.

— Officier! Officier! — zawołał; usłyszał wartownika wzywającego sierżanta straży i miarowe stąpanie sierżanta. Przycichł już bowiem rumor towarzyszący załodze garnizonu zbierającej się na wezwanie pod broń.

— Czego pan chce? — zapytał sierżant przez drzwi; przynajmniej tak się Hornblower domyślał, gdyż nie rozumiał, co tamten mówi.

— Officier! Officier! — darł się Hornblower dalej, waląc pięściami w ciężkie drzwi. Artyleria wciąż biła. Nie przestał bębnić, aż usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Drzwi otworzyły się i Hornblower zamrugał oślepiiony blaskiem pochodni świecącej mu prosto w oczy. Młody oficer w zgrabnym białym uniformie stał między sierżantem a wartownikiem.

— Qu'est-ce-que monsieur desire? — spytał. Ten przynajmniej rozumiał po francusku, chociaż wymowę miał marną. Szukając słów Hornblower wyjaśniał w języku, którym nie przywykł mówić, o co mu chodzi.

— Chcę widzieć! — wyjąkał. — Chcę widzieć bitwę. Niech mi pan pozwoli wyjść na wały.

Młody człowiek z żalem potrząsnął głową; podobnie jak inni oficerowie garnizonu współczuł angielskiemu kapitanowi, który — jak wieść niosła — miał być wkrótce odstawiony do Paryża i rozstrzelany.

— To jest wzbronione — odparł.

— Nie ucieknę — zapewniał Hornblower; desperackie podniecenie rozwiązało mu język. Słowo honoru... przysięgam! Niech pan idzie ze mną, ale proszę pozwolić mi zobaczyć. Chcę widzieć.

Oficer zawahał się.

— Nie mogę zejść z mego posterunku — odpowiedział.

— Więc niech mi pan pozwoli iść samemu. Przysięgam, że pozostanę na wałach i nie będę próbował ucieczki.

— Słowo honoru? — zapytał oficer.

— Słowo honoru. Dziękuję, sir.

Oficer odstąpił na bok, a Hornblower wypadł z pokoju jak strzała, wybiegł krótkim korytarzem na dziedziniec, skąd po pochyłości muru dostał się na bastion od strony morza. W tejże chwili zainstalowana tam czterdziestodwufuntówka wystrzeliła z ogłuszającym hukiem, i długi język pomarańczowego płomienia nieomal go oślepił. W ciemnościach spowił go gryzący dym prochowy. Nie zauważony przez nikogo z obsługi dział zbiegł po stromych schodach na mur osłonowy, gdzie z dala od armat mógł patrzeć nie będąc oślepiany.

Zatoka Rosas cała iskrzyła się od błysków wystrzałów. Pięć razy z rzędu w regularnych odstępach czasu buchnął czerwony ogień salw burtowych, za każdym razem oświetlając majestatyczny okręt sunący prosto obok zakotwiczonych jednostek francuskich. To był „Pluto”, Hornblower rozróżnił jego trzy pokłady, banderę na gaflu, flagę admiralską na bezanie, postawione marsie i zwiniętą resztę płócien. Jest tam Leighton, chodzi po swoim pokładzie rufowym — myśli może o Lady Barbarze. A ten drugi, za rufą „Plutona”, to „Caligula”. Bolton stąpa ciężko po pokładzie upojony hukiem swoich salw burtowych. Strzelają szybko i sprawnie — Bolton to dobry kapitan, chociaż ma braki w edukacji. Słowa „Oderint, dum metuant”[2] — dewiza cezara Caliguli — wyryte złotymi literami w poprzek rufy „Caliguli”, nic mu nie mówiły, póki Hornblower nie przetłumaczył i nie wyjaśnił mu ich znaczenia. Może właśnie w tej chwili pocisk francuski obtłukuje i miażdży te litery.

Lecz eskadra francuska odpowiadała ogniem niecelnym i niezgranym. Zamiast nagłego błysku salw burtowych w miejscu, gdzie jej okręty stały na kotwicach, pojawiały się przerywane języki ognia z dział strzelających nieregularnie. W czasie takiej bitwy nocnej i po ataku z zaskoczenia Hornblower nie nakazałby samodzielnego strzelania nawet marynarzom angielskim. Miał wątpliwości, czy choćby jedna dziesiąta dział francuskich jest prawidłowo obsługiwana i nastawiana na cel. Co zaś do ciężkich armat huczących z twierdzy za jego plecami, to był najzupełniej pewny, że nie pomagają sprawie francuskiej, a może nawet jej szkodzą. Strzelając po ciemku na półmilowy dystans, niechby nawet z nieruchomej platformy i z dział wielkiego kalibru, mogli równie dobrze trafić swego jak i przeciwnika. Opłacało się sownicie admirałowi Martinowi wysłanie Leightona z jego eskadrą w te bezksiężycowe godziny nocy, mimo ryzyka żeglugi po zatoce.

Hornblower dławiał się ze wzruszenia i podniecenia, wyobrażając sobie szczegółowo, co się dzieje na okrętach angielskich — sondujący marynarze śpiewnymi głosami podają głębokości ze zdyscyplinowaną regularnością, okręt przechyla się w rytm ogłuszającego trzasku salwy burtowej, latarnie bitewne świecą mdłym blaskiem poprzez dym spowijający dolne pokłady, zgrzyt i turkot lawet towarzyszy przetaczaniu armat, padają nieustanne komendy oficerów dowodzących sekcjami dział, a spokojny głos kapitana wydaje polecenia sternikowi. Wychylił się jeszcze bardziej za parapet w ciemność, wlepiając wzrok w zatokę na dole.

Do jego nozdrzy doleciał swąd dymu drzewnego, wyraźnie inny od gryzącego dymu prochowego, który rozsnuwał się od strony dział. Rozpalili w paleniskach do podgrzewania kul, ale komendant byłby głupcem, gdyby w tych warunkach pozwolił swoim ludziom na strzelanie rozgrzanymi do czerwoności pociskami. Okręty francuskie są równie łatwo palne jak angielskie i równie łatwo mogą być trafione w bitwie na tak bliską odległość.

Zacisnął silniej palce na parapecie stojąc tak i wpatrując się aż do bólu oczu w miejsce, które zwróciło jego uwagę. Było to nikłe, prawie niewidoczne czerwone światełko w oddali. Śladem torowym swojej walczącej eskadry Anglicy wprowadzali brandery. Grupa okrętów stojących, jak te tutaj, na kotwicy była wymarżonym celem dla brandera, a Martin doskonale zaplanował atak, posyłając najpierw liniowce, aby zmiotły łodzie strażnicze, osłabiły ogień francuski i odciągnęły uwagę obsługi ich dział. Czerwony punkcik szybko się rozrastał i stawał się coraz jaśniejszy, ukazując kadłub, maszty i takielunek małego brygu; rozjarzył się jeszcze silniej, gdy grupa śmiałków pozostałych na pokładzie otworzyła pokrywy łukowe i furty strzelnicze, aby zwiększyć ciąg. Strzelające w górę języki ognia stały się widoczne nawet dla Hornblowera stojącego na szancku i ukazały mu tuż przy burcie brandera zarysy „Turenne” — francuskiego okrętu, który uszedł z poprzedniej bitwy z całymi masztami. Kimkolwiek był młody oficer dowodzący branderem, musiał to być człowiek zimnej krwi i szybkiej decyzji, jeśli potrafił w taki sposób wybrać najkorzystniejszy cel.

Hornblower patrzył na punkciki ognia pnące się po olinowaniu „Turenne”, aż cała stanęła w czerwieni, jak rusztowanie dla sztucznych ogni w czasie pokazu fajerwerków. Nagłe wytryski płomieni na pokładzie wskazywały, gdzie znajdowały się ładunki prochowe. A potem, gdy już puściły przepalone liny, całe to „rusztowanie” obróciło się nagle i zaczęło dryfować, popychane słabym powiewem. Zwalił się maszt ku przodowi wzbijając słup iskier, które odbiły się w niesamowicie czarnej wodzie wokół okrętu. Ogień armatni na innych jednostkach francuskich zaczął szybko zamierać, w miarę jak odwoływano załogi dział, by zajęły się dryfującym stosem ogniستم, a powolny ruch niewyraźnych kształtów oświetlonych pożarem wskazywał, że liny kotwiczne okrętów zostały odcięte przez oficerów przerażonych perspektywą śmierci w płomieniach.

Nagle uwagę Hornblowera przyciągnęło miejsce bliżej brzegu, gdzie leżał opuszczony wrak osadzonego na plaży „Sutherlanda”. I tam widać było czerwoną poświatę wzmagającą się i rozszerzającą błyskawicznie. Kilku zuchów z eskadry, zdecydowanych nie zostawić w rękach Francuzów nawet tak marnego łupu, dostało się na pokład i podłożyło ogień. W głębi zatoki wznosiły się powoli w powietrze trzy punkciki świetlne i Hornblower poczuł, że gardło ściska mu obawa, czy nie zajął się również któryś z okrętów brytyjskich. Lecz w następnej chwili pojał, że był to tylko sygnał — trzy czerwone latarnie pionowo jedna nad drugą — który widocznie miał oznaczać

odwołanie, gdyż z jego pojawieniem się strzelanina ucichła nagle. Płonące wraki rozświetlały teraz cały ten sektor zatoki niesamowitą czerwienią, w której blasku widać było wyraźnie pozostałe okręty francuskie dryfujące bez masztów i kotwic w stronę brzegu. A potem oślepiający błysk i ogłuszający huk oznajmiły, że zapaliła się prochownia na „Turenne”. Przez kilka sekund po wybuchu Hornblower był oślepiony i nie wiedział, co się z nim dzieje; nawet w tak odległym miejscu, gdzie stał, podmuch potrząsnął nim jak rozgniewana niańka dzieckiem.

Spostrzegł, że brzask wpełza w zatokę odsłaniając surowe zarysy szczytów Rosas i przytłumiając jaskrawą barwę płomieni palącego się wraka „Sutherlanda”. W dali, już poza zasięgiem dział fortecy, pięć brytyjskich liniowców wypływało z zatoki na morze w szyku torowym. Było coś dziwnego w wyglądzie „Plutona”; dopiero przyjrząwszy mu się jeszcze raz Hornblower zorientował się, że okręt stracił grotstengę — dowód oczywisty, że jeden przynajmniej pocisk francuski wyrządził szkodę. Na pozostałych jednostkach nie było widać śladów uszkodzenia w czasie tej akcji, jednej z najlepiej przeprowadzonych w długich dziejach brytyjskiej marynarki wojennej. Hornblower oderwał wzrok od znikających przyjaciół, by popatrzeć na pole bitwy. Po „Turenne” nie było śladu; z „Sutherlanda” zostało tylko kilka sterczących z wody zwęglonych szczątków, nad którymi wisiała smuga dymu. Dwa liniowce leżały na skałach na zachód od twierdzy, i ręce francuskich skutników nigdy już nie przywrócą im zdatności do żeglugi. Ostał się tylko trójpokładowiec zgruchotany i pozbawiony masztów, jeżdżący na kotwicy, która utrzymywała go na samym skraju kipieli. Po najbliższej wichurze od wschodu zostanie i z niego bezużyteczny wrak wyrzucony na brzeg. Brytyjska flota śródziemnomorska nie będzie już musiała uszczuplać swych sił na blokadę Rosas.

Ale oto nadchodził generał Vidal, komendant twierdzy, odbywając obchód ze swą postępującą w ślad za nim, w sam czas, aby wybawić Hornblowera od wpadnięcia w nastrój rozpaczony na widok znikającej za widnokretem eskadry angielskiej.

— Co pan tu robi? — zapytał generał przystając na jego widok. Pod surowością oblicza można było wyczytać przyjazne współczucie, jakie Hornblower dostrzegał w twarzach wszystkich otaczających go nieprzyjaciół, gdy zaczęli się domyślać, że czeka go pluton egzekucyjny.

— Oficer straży głównej pozwolił mi tu przyjść — wyjaśnił Hornblower swoją łamaną francuszczyzną. — Dałem mu słowo honoru, że nie będę próbował ucieczki. Teraz je cofnę, za pańskim pozwoleniem.

— Tak czy owak nie miał prawa pozwolić na to — rzekł generał ostrym tonem, w którym jednak dawało się wyczuć to samo nie zwiastujące nic dobrego współczucie. — Chciał pan zapewne zobaczyć bitwę?

— Tak, generale.

— Pięknego dzieła dokonali pańscy rodacy. — Generał potrząsnął głową ze smutkiem. — Boję się, kapitanie, że nie usposobi to rządu w Paryżu przychylniej do pana.

Hornblower wzruszył ramionami; zdążył się zarazić tym gestem w ciągu tych niewielu dni pobytu wśród Francuzów. Stwierdził w duchu z obojętnością, która nawet jego samego zdziwiła, że

pierwszy raz komendant uczynił otwartą aluzję do niebezpieczeństwa grożącego mu ze strony Paryża.

— Nie zasłużyłem na to, żeby mnie straszyć — odparł.

— Nie, nie. Naturalnie że nie — komendant zaprzeczył spiesznie z niepewną miną, jak rodzic zapewniający dziecko, że lekarstwo, które mu podaje, nie będzie gorzkie.

Powiódł wzrokiem wokoło szukając sposobności do zmiany tematu i los szczęśliwie mu ją podsunął. Z podziemi twierdzy dobiegł stłumiony odgłos wiwatów — nie był to skrzek włoski, lecz okrzyki po angielsku.

— To chyba pańscy ludzie, kapitanie — zauważył generał, już znowu z uśmiechem. — Pewnie ten nowy jeniec zdążył im opowiedzieć, co się wydarzyło tej nocy.

— Nowy jeniec? — zapytał Hornblower.

— A tak. Marynarz, który wypadł za burtę okrętu admiralskiego, „Plutona”, jeśli się nie mylę, i dopłynął do brzegu. Ha, przypuszczałem, kapitanie, że to pana zainteresuje. Tak, proszę iść i porozmawiać z nim. Dupont, niech się pan zajmie kapitanem i towarzyszy mu do więzienia.

Hornblowerowi tak było pilno wypytać nowo przybyłego i usłyszeć, co ma do opowiedzenia, że z trudem zdobył się na parę słów podzięki. Dwa tygodnie życia więziennego sprawiły, że łaknął gorąco nowin. Popędził stokiem w dół w towarzystwie zdyszanego Duponta, przebiegłszy dziedziniec wpadł w ciemny korytarz przez drzwi, które strażnik otworzył przed nim na gest oficera francuskiego, i dopadł okutych żelazem podwoi pilnowanych przez dwóch wartowników. Z głośnym szczękiem kluczy otwarto je i Hornblower wszedł do celi.

Było to obszerne niskie pomieszczenie — kiedyś używane jako magazyn — oświetlane i wietrzone przez parę silnie zakratowanych otworów wychodzących na fosę twierdzy. Cuchnęło tu odorem stłoczonych w zamknięciu ludzi, a w tej chwili huczało od pytań, którymi ocaleni spośród załogi „Sutherlanda” zasypywali kogoś stojącego w samym środku zbitej gromady. Na widok wchodzącego Hornblowera ludzie rozstąpili się i nowy jeniec wyszedł naprzód; miał na sobie tylko spodnie drelichowe, na plecach dyndał mu długi warkocz.

— Ktoś ty? — zapytał Hornblower.

— Phillips, sir. Z obsługi grotmasztu na „Plutonie”. — Jego uczciwie patrzące niebieskie oczy spotkały wzrok Hornblowera bez mrugnięcia. Hornblower poznał, że nie jest to ani dezertler, ani szpieg — obie te możliwości brał pod uwagę.

— Jak się tu dostałeś?

— My stawiali żagle, sir, żeby wyjść z zatoki. Akurat wtenczas zobaczyliśmy, że stary „Sutherland” się zapalił i kapitan Elliott powiada do nas, sir: „Czas już, chłopcy. Marsie i bramzele”. Wleźliśmy na wanty, sir, i ja żem co tylko wlażł na nok grotbramrei, a tu maszt się wali w dół i zmiata mnie do wody i kupę innych chłopaków też, sir, ale wtenczas akurat ten francuz, co to się palił, wybuchnął i pewno odłamki pozabijały ich, sir, bo patrzę, a tu sam się zostałem,

„Pluto” daleko, no to popłynąłem do brzegu, sir, a tam była kupa Francuzików, co pewnikiem pouciekali wpływ z palącego się francuza, i zawlekli mnie do jakichś żołnierzów, a te żołnierze przyprowadziły mnie tutaj. Był tam ich oficer i zaczął mnie brać na spytki — pan by pęknął ze śmiechu, sir, jakby pan słyszał, jak on próbuje gadać po angielsku — ale ja nie puszczam pary, sir. Jak oni to zobaczyli, to wsadzili mnie tu, do naszych, sir. Rozповідаłem im akurat o bitwie, sir. Był tam stary „Pluto” i „Caligula”, sir, i...

— Tak, widziałem — przerwał Hornblower. — Widziałem, jak „Pluto” stracił grotstengę. Czy bardzo go poharatało?

— Boże broń, sir, nie, sir. Nawet nie pół tuzina kul do nas doleciało, ale i te nie narobili szkody, prócz jednej, co raniła admirała.

— Admirała! — Hornblower zachwiał się lekko na nogach, jakby on sam dostał pociskiem. — Admirała Leightona, powiadasz?

— Admirała Leightona, sir.

— Czy... czy ciężko ranny?

— Nie powiem tego, sir, bo sam nie widziałem, akurat wtenczas byłem na głównym pokładzie. Pomocnik żaglomistrza mnie mówił, sir, że admirał dostał odłamkiem. A jemu to powiedział pomocnik Coopera, co pomagał znosić admirała na dół.

Przez moment Hornblower nie był w stanie wykrztusić słowa. Wpatrywał się w pocziwą, głupawą twarz stojącego przed nim marynarza. Ale nawet w takiej chwili zrobił spostrzeżenie, że marynarz nie jest wcale poruszony raną odniesioną przez swojego admirała. Zgon Nelsona pogrążył całą flotę w żałobie, znał też z pół tuzina oficerów flagowych, których śmierć lub rana wycisnęłyby łzy z oczu dowodzonej przez nich załogi. Gdyby Leighton był jednym z nich, marynarz opowiedziałby wpierw o tym, co przydarzyło się jemu, a dopiero potem o swoich własnych tarapatach. Hornblower wiedział już przedtem, że Leighton nie był lubiany przez swoich oficerów, a tu miał przed sobą oczywisty dowód, że nie lubiła go również załoga. Może jednak Barbara go kocha. Przecież wyszła za niego. Hornblower zmusił się, aby przemówić i zachowywać się w sposób naturalny.

— To wystarczy — rzekł krótko i obejrzał się, poszukując wzrokiem swego sternika. — Macie coś do zameldowania, Brown?

— Nie, sir. Wszystko w porządku, sir.

Hornblower zastukał w drzwi, by wypuszczono go z więzienia i doprowadzono pod strażą z powrotem do jego celi, gdzie mógł chodzić tam i z powrotem, po trzy kroki w każdą stronę. W głowie kotłowało mu się jak w garnku. To, czego się dowiedział, wystarczyło, by wzbudzić w nim niepokój i napęlić obawą. Leighton został ranny, ale to nie znaczy, że musi umrzeć. Rana od odłamka to może być zarówno drobiazg, jak i rzecz poważna. Ale przecież zniesiono go na dół. Żaden admirał nie pozwoliłby na to, gdyby był w stanie się sprzeciwić — w każdym razie nie w

ogniu walki. Mógł mieć zmiażdżoną twarz albo rozpruty brzuch — Hornblower z dreszczem otrząsnął z siebie wspomnienia wszystkich tych okropnych ran, jakie widział u ludzi na okrętach w ciągu dwudziestu lat służby. Ale patrząc na sprawę z zimną krwią, było rzeczą równie możliwą, że Leighton umrze — Hornblower podpisał zbyt wiele list zgonów, aby nie zdawać sobie sprawy z szans ранego marynarza na wyzdrowienie.

Gdyby Leighton zmarł, Barbara znów byłaby wolna. Lecz co mu z tego, żonatemu mężczyźnie — żonatemu, którego małżonka jest w ciąży? Nie zbliży to ich do siebie, w każdym razie póki Maria żyje. Mimo to myślenie o Barbarze jako o wdowie łagodziło jego zazdrość. Ale potem ona może znów wyjdzie za mąż i on będzie musiał przejść raz jeszcze całą udrękę, jaką wycierpiał poprzednio dowiedziawszy się o jej ślubie z Leightonem. W takim razie wolałby raczej, żeby Leighton żył — jako inwalida, może kaleka czy impotent; te ewentualności pobudziły w nim zbyt gwałtowne wyobrażenia, z których otrząsnął się po desperackiej walce o zachowanie zdrowego rozsądku.

Ochłonawszy zaczął wymyślać sobie od głupców. Jest więźniem człowieka, którego cesarstwo rozciąga się od Bałtyku po Gibraltar. Zestarzeje się, a dziecko jego i Marii dorośnie, zanim odzyska wolność. I wtedy z nagłym wstrząsem przypomniał sobie, że wkrótce może nie żyć — rozstrzelany za pogwałcenie praw wojennych. Dziwna rzecz, że mógł o tym zapomnieć. Urażał siebie za swą naturę tchórza, który potrafił wyłączyć z przewidywań możliwość śmierci, dlatego że jest zbyt potworna, aby mógł brać ją pod uwagę.

Było jeszcze coś, czego do niedawna także nie uwzględniał. Jeśli Bonaparte nie każe go rozstrzelać i jeżeli odzyska wolność, będzie musiał przejść przez upokorzenia sądu wojennego za utratę „Sutherlanda”. Sąd wojenny może mu przynieść śmierć, hańbę albo ruinę; brytyjska opinia publiczna nie pogodzi się tak łatwo z wiadomością o poddaniu liniowca angielskiego, nawet gdyby miał on przeciw sobie Bóg wie jak wielkie przeciwności. Spytałby chętnie Phillipsa, marynarza z „Plutona”, co się mówi we flocie o akcji „Sutherlanda”, czy ogólna opinia aprobuje ją, czy nie. Ale o tym nie mogło być oczywiście mowy; żaden kapitan nie może pytać marynarza, jak flota o nim myśli, nawet jeśli dawałoby to szansę usłyszenia prawdy — co też zresztą było rzeczą wątpliwą. Osaczało go mnóstwo niepewności — co do własnego losu jako jeńca, co do możliwości sądenia go przez Francuzów i perspektywy sądu wojennego w Anglii, co do rany Leightona. Nawet o Marię nie mógł być spokojny — czy urodzi chłopca, czy dziewczynkę? Czy on sam zobaczy kiedykolwiek swoje dziecko, czy ktoś ruszy palcem, żeby jej pomóc, czy sama zdoła wychować odpowiednio dziecko bez udziału ojca?

I znów przytłoczyła go niedola życia więziennego. Usychał z tęsknoty za wolnością, swobodą, za Barbarą i za Marią.

Rozdział III

Nazajutrz Hornblower znowu przechadzał się po wałach; strażnicy z nabitymi muszkietami stali po obu końcach przydzielonego mu odcinka, a młody oficer, któremu poruczono pieczę nad nim, przysiadł dyskretnie na parapecie, aby nie zakłócać niczym jego rozmyślań. Ale on był zbyt zmęczony, żeby móc myśleć intensywnie — cały ubiegły dzień i prawie całą noc chodził wzburzony po swoim pokoju, trzy kroki tam i trzy z powrotem. Teraz wyczerpanie brało górę i mózg nie był już w stanie pracować.

Powitał więc jak pożądaną dystrakcję ruch, jaki wszczął się naraz przy głównej bramie, wywoływanie warty pod broń, otwieranie bramy i hałaśliwy wjazd powozu ciągniętego przez sześć dorodnych koni. Stał obserwując, co się dzieje, z ciekawością właściwą człowiekowi trzymanemu w zamknięciu. Powóz eskortowało pięćdziesięciu jeźdźców w trójganiastych kapeluszach i niebiesko-czerwonych mundurach żandarmerii Bonapartego, woźnice i służący na koźle oraz oficer, który spiesznie zsiadł z konia, aby otworzyć drzwiczki. Przybysz musiał być kimś ważnym. Hornblower doznał lekkiego zawodu, kiedy z wnętrza wysiadł nie marszałek w kapeluszu z pióropuszem, ale jeszcze jeden oficer żandarmerii. Dość młody, ciemnowłosy, z okrągłą głową, którą obnażył zdjawszy kapelusz przy wysiadaniu przez niskie drzwiczki; miał na piersi order Legii Honorowej, a na nogach czarne wysokie buty z ostrogami. Hornblower zdziwił się trochę, czemu pułkownik żandarmerii, zupełnie, jak widać, zdrowy na ciele, przybywa powozem, zamiast konno. Obserwował go, jak dzwoniąc ostrogami kroczył przez dziedziniec ku biurom komendanta twierdzy.

Czas wyznaczony Hornblowerowi na spacer już się prawie kończył, kiedy jeden z młodych francuskich adiutantów komendanta podszedł do niego i zasalutował.

— Jego ekscelencja przesyła pozdrowienia, sir, i prosi, aby zechciał pan poświęcić mu możliwie jak najszybciej parę minut czasu.

Mówiąc do więźnia, pomyślał Hornblower z goryczą, mógł być równie dobrze powiedzieć: „Staw się natychmiast”.

— Już idę, z największą przyjemnością — odparł, kontynuując z powagą tę farsę.

W biurze zastał oficera żandarmerii sam na sam z komendantem. Obaj stali pogrążeni w rozmowie. Na twarzy komendanta malował się smutek.

— Kapitanie — rzekł odwracając się — mam zaszczyt przedstawić panu pułkownika Jeana-Baptiste'a Caillarda, kawalera Wielkiego Orła Legii Honorowej, jednego z osobistych adiutantów jego cesarskiej mości. Panie pułkowniku, to jest kapitan Horatio Hornblower z floty jego brytyjskiej królewskiej mości.

Komendant był wyraźnie zmartwiony i przygnębiony. Ręce mu drżały i mówiąc zacinał się nieznacznie, a próba wymówienia pierwszych przydechowych liter imienia i nazwiska Hornblowera skończyła się żałością. Hornblower skłonił się, lecz widząc, że pułkownik nie odwzajemnił mu ukłonu, wyprostował się i zeszywniał. Z miejsca się zorientował, co to za rodzaj człowieka — służalec tyrana, obcujący z nim blisko i modelujący swoje zachowanie nie według postępowania tyrana, ale według własnego wyobrażenia, jak postępowanie to powinno wyglądać, bardziej herodyjski niż sam Herod w swojej arbitralności i okrucieństwie. Mogła to być tylko poza — być może człowiek ten jest dobrym mężem i kochającym ojcem rodziny — ale poza grożąca nieprzyjemnymi następstwami dla każdego, kto był od niego zależny. Jest w stanie dręczyć swe ofiary, aby dowieść sobie i innym, że potrafi być surowszy i bardziej nieugięty — a zatem oczywiście i zdolniejszy — niż ten, któremu służy.

Caillard zlustrował wygląd Hornblowera zimnym spojrzeniem.

— Co znaczy ta szpada u jego boku? — zapytał komendanta.

— Admirał zwrócił mu ją w dniu bitwy — wyjaśnił spieszenie zapytany. — Powiedział...

— Nie ważne, co powiedział — przerwał mu Caillard. — Przestępcy, który popełnił takie zbrodnie jak on, nie można pozwolić na posiadanie broni. A szpada to symbol człowieka honoru, którym on nie jest na pewno. Niech pan odepnie szpadę, sir.

Hornblower stał skamieniały, nie wierząc własnym uszom. Ponury uśmiezek na twarzy Caillarda ukazywał białe zęby pod czarnym wąsem przecinającym niczym szrama jego oliwkową twarz.

— Odpiąć szpadę — powtórzył Caillard, a gdy Hornblower nie drgnął, dodał: — Jeśli jego ekscelencja pozwoli, zawołam kogoś z moich żandarmów, żeby mu ją odebrał.

Na tę groźbę Hornblower rozpiął pas i w ciszy pokoju zabrzmiał głośno brzęk spadającej na podłogę broni. Honorowa szpada, otrzymana przed dziesięcioma laty od Funduszu Patriotycznego za dowodzenie oddziałem abordażowym, który zdobył „Castillę”, leżała na ziemi na wpół wysunięta z pochwy. Pozbawiona rękojeści głowica i odarta ze złoceń pochwa świadczyły o chciwości sług cesarskich.

— Dobrze — skwitował Caillard. — A teraz może jego ekscelencja będzie łaskaw oznajmić temu człowiekowi o jego rychłym odjeździe?

— Pułkownik Caillard — przemówił komendant — przybył zabrać pana i pańskiego zastępcę, mistaire'a ... mistaire'a Busha do Paryża.

— Busha? — wybuchnął Hornblower, bardziej poruszony tym, co usłyszał, niż stratą szpady. — Busha? To niemożliwe. Porucznik Bush jest ciężko ranny. Zabranie go w tym stanie w długą podróż może się skończyć fatalnie.

— Tak czy owak ta podróż zakończy się dla niego fatalnie — zauważył Caillard z tym samym bezlitosnym uśmiezkiem i błyskiem białych zębów.

Komendant załamał rękę.

— Pułkowniku, tak nie wolno mówić. Ci panowie mają być dopiero sądzeni. Komisja Wojskowa nie wydała jeszcze wyroku.

— Panowie ci, jak ich nazywa wasza ekscelencja, mogą zostać uznani za skazanych na podstawie ich własnych zeznań.

Hornblower przypomniał sobie, że nie usiłował zaprzeczać, gdy admirał przygotowując swój raport zapytał go, czy był dowódcą „Sutherlanda” w dniu, kiedy okręt płynął pod francuską flagą i gdy oddział desantowy z tegoż okrętu szturmował baterię w Llanzy. Wiedział, że miał prawo użyć tego fortelu, lecz nie liczył się z tym, że cesarz francuski, zdecydowany przekonać europejską opinię publiczną o perfidii Anglii, będzie tak przebiegły, aby uznać, iż kilka egzekucji, którym nadany

zostanie rozgłos, może wywołać przeświadczenie, że jest to dowód winy.

— Pułkownik — ciągnął komendant, zwracając się do Hornblowera — przybył tu powozem. Może pan być pewien, że *mistaire*'owi Bushowi zapewnione zostaną wszelkie możliwe wygody. Proszę mi powiedzieć, którego ze swoich ludzi chciałby pan wziąć ze sobą jako służącego. I jeśli mogę dostarczyć czegoś, co uczyni podróż wygodniejszą, zrobię to z największą radością.

Hornblower rozważał w myślach sprawę służącego. Wśród rannych w *kazamatach* jest Polwheal, który służył mu od lat. Ale jego nie wybrałby w żadnym razie — Polwheal nie nadawał się do sytuacji wyjątkowych, a takie sytuacje mogły się przecież zdarzyć. Latude[3] ciekł z Bastylji. Czyż nie ma więc szansy, że i jemu uda się uciec z Vincennes? Hornblower pomyślał o wydatnych mięśniach i szczerym oddaniu Browna.

— Jeśli można, chciałbym wziąć mojego sternika — rzekł.

— Oczywiście. Poślę po niego i każę, żeby obaj z pańskim dotychczasowym służącym spakowali pana rzeczy. Może trzeba coś panu na drogę?

— Nic mi nie potrzeba — odparł Hornblower. Mówiąc te słowa wymyślał sobie w duchu za swoją dumę. Jeśli ma ocalić siebie i Busha przed plutonem egzekucyjnym w fosie Vincennes, będzie potrzebował złota.

— O nie, nie pozwolę panu tak mówić — zaprotestował komendant. — Gdy znajdzie się pan we Francji, na pewno będzie pan chciał kupić sobie parę drobiazgów. Poza tym nie może mnie pan pozbawić przyjemności przyjscia z pomocą tak dzielnemu człowiekowi. Proszę zrobić mi uprzejmość i przyjąć moją sakiewkę. Bardzo proszę, sir.

Hornblower przełamał dumę i wziął zaofiarowany trzos. Był nadspodziewanie ciężki i wydał melodyjny brzęk, gdy brał go do ręki.

— Dziękuję za pańską uprzejmość i za okazaną mi łaskawość, gdy byłem pana więźniem.

— Jak już rzekłem, to dla mnie przyjemność — odparł komendant. — Chciałbym życzyć panu wszystkiego najlepszego po przybyciu do Paryża.

— Dość tego — wtrącił się Caillard. — Rozkazy dane mi przez jego cesarską mość nakazują jak największy pośpiech. Czy wyniesiono tego rannego na dziedziniec?

Komendant powiódł ich, a żandarmi otoczyli Hornblowera w drodze do powozu. Bush leżał na noszach — w jasnym świetle dnia wyglądał dziwnie blady i wyniszczony. Słabym ruchem próbował zakryć oczy przed słońcem; Hornblower podbiegł i uklęknął przy nim.

— Zabierają nas do Paryża, Bush — oznajmił.

— Co, pana i mnie, sir?

— Tak.

— Zawsze chciałem zobaczyć to miasteczko.

Włoch chirurg, który amputował stopę Busha, ciągnął Hornblowera za rękaw i wymachiwał jakimiś kartkami papieru. Łamaną włoską francuszczyzną wyjaśniał, że to wskazówki dotyczące dalszego leczenia kikuta. Zrozumie je każdy chirurg we Francji. Rana zagoi się, gdy wyjdą z niej szwy. Włożył do karety paczkę opatrunków na drogę. Hornblower chciał mu dziękować, ale chirurg odwrócił się, by dopilnować przeniesienia Busha, noszy i reszty rzeczy do powozu. Był to bardzo długi wehikuł, toteż nosze, wsunięte przez drzwiczki i oparte końcami na dwóch siedzeniach, dobrze się w nim mieściły.

Właśnie nadszedł Brown z walizą Hornblowera w rękę. Woźnica pokazał mu, jak ją umieścić w bagażniku. Potem żandarm otworzył drugie drzwiczki i stanął przy nich czekając, aż Hornblower wsiądzie. Hornblower podniósł wzrok na piętrzące się nad nim wały; jeszcze pół godziny temu przechadzał się tam, nękany wątpliwościami. A teraz co najmniej jedna z nich została rozproszona. Za dwa tygodnie skończą się może i inne, kiedy stanie oko w oko z plutonem egzekucyjnym w Vincennes. Na myśl o tym wstrząsnął nim dreszcz obawy niweczając przelotne uczucie nieomal przyjemności, jakiego doświadczał przed chwilą. Nie chciał dać się wieźć do Paryża na rozstrzelanie; zapragnął stawić opór. Ale zdał sobie sprawę, że opieranie się byłoby rzeczą daremną i uwłaczającą jego godności, zmusił się więc, by wsiąść do powozu, żywiąc nadzieję, że nikt nie zauważył tej chwili wahania.

Żandarm przywołał gestem Browna, który wsiadł i zajął miejsce, wyrazem twarzy przepaszając za to, że siedzi w obecności swoich przełożonych. Caillard dosiadał wielkiego karego konia — ogniste, nerwowe stworzenie — który gryzł wędzidło i nie chciał ustać w miejscu. Usadowiwszy się w siodle Caillard rzucił rozkaz, i konie, okrążywszy dziedziniec, gdzie powóz trząsał się i podskakiwał na kocich łbach, wyjechały na drogę wijącą się u stóp stanowisk dział fortecznych. Pojazd został otoczony przez oddział konnych żandarmów, strzelił bicz i konie ruszyły wolnym kłusem przy brzęku uprzęży, stukocie podków i skrzypieniu rzemieni.

Hornblower miał chęć wyrzeć przez okienko na mijane domostwa miasteczka Rosas — po trzech tygodniach spędzonych w niewoli nęcił go widok innego otoczenia — ale musiał wprzód zająć się rannym porucznikiem.

— Jak się pan czuje, Bush? — zapytał pochylając się nad nim.

— Dziękuję, sir, bardzo dobrze — odparł Bush.

Przez okienka powozu wpadało światło słoneczne, a rząd wysokich drzew przydrożnych rzucał migotliwe cienie na twarz Busha. Wskutek gorączki i upływu krwi skóra na policzkach ściągnęła się i wygładziła, nadając twarzy nienaturalnie młody wygląd, straciła barwę mahoniowego brązu, do której przywykł Hornblower, i stała się blada. Hornblowerowi wydało się, że dostrzegł skurcz bólu na obliczu Busha, gdy kareta podskoczyła na podłej drodze.

— Czy mogę coś dla pana zrobić? — zapytał usiłując ukryć bezradność w swoim głosie.

— Nic, dziękuję, sir — wyszeptał Bush.

— Niech pan próbuje usnąć — doradził Hornblower.

Dłoń Busha, leżąca na wierzchu koca, zacisnęła się nerwowo, poruszyła i posunęła ku niemu; ujął ją i poczuł słaby uścisk. Przez kilka krótkich sekund palce Busha głaskały jego dłoń pieszczotliwie, jakby to była dłoń kobieca. Porucznik zamknął oczy, a po jego wymizierowanej twarzy przemknął słaby uśmiech. W ciągu tych wszystkich lat wspólnej służby był to pierwszy przejaw wzajemnego przywiązania. Bush odwrócił głowę na poduszce i leżał zupełnie spokojnie, a Hornblower siedział bez ruchu, żeby go nie potrącić.

Powóz zwolnił i konie przeszły w stępa — wjeżdżali widocznie na dłuższe wzniesienie, po którym biegła droga przecinając półwysep zakończony przylądkiem Creus. Ale nawet przy tym tempie jazdy kareta przechylała się i kołysała gwałtownie; nawierzchnia traktu musiała być zupełnie zaniedbana. Ostre dzwonięcie podków koni eskorty świadczyło, że szły po gruncie skalistym, a nieregularność tych odgłosów wskazywała, że konie szukają drogi wśród wybojów. Przez okienka Hornblower widział żandarmów w niebieskich mundurach i trój graniastych kapeluszach, podskakujących i kołyszących się w rytm przechyłów powozu. Obecność eskorty w sile pięćdziesięciu żandarmów mówiła nie tyle o politycznym znaczeniu jego osoby i Busha, co raczej o tym, że nawet tu, tylko dwadzieścia mil od granicy Francji, droga nie była bezpieczna dla małych oddziałów. Na każdym niedostępnym szczycie wzgórza mogła czyhać grupka hiszpańskich guerilleros.

Ale wciąż była szansa, że Claros albo Rovira ze swym tysiącem katalońskich miqueletes mogą wypaść na trakt ze swoich pirenejskich kryjówek. Hornblower czuł przyływ nadziei na myśl, że w takim razie w każdej sekundzie może stać się znowu człowiekiem wolnym. Serce biło mu szybciej — nie mógł usiedzieć spokojnie i wciąż zmieniał pozycję, ale ostrożnie, aby nie potrącić Busha. Wzdragał się na myśl, że zostanie dostawiony do Paryża, by przeżyć tam farsę, jaką będzie ich proces. Nie chciał umierać. Zaroiło mu się w głowie od gorączkowych wyobrażeń, aż musiał przywołać na pomoc zdrowy rozsądek, by pomógł mu zapaść w spokojną obojętność.

Naprzeciwno siedział Brown, sztywno wyprostowany, z założonymi rękami. Na jego widok Hornblower nieomal uśmiechnął się ze zrozumieniem. Brown czuł się bardzo nieswojo. Przypuszczalnie dotąd nigdy w życiu nie przebywał tak blisko oficerów w jednym pomieszczeniu. Na pewno był skrępowany, że musi siedzieć w obecności dwóch tak ważnych osobistości, jak dowódca okrętu i jego zastępca. Można też było postawić jeden do tysiąca, że Brown nigdy nie był w środku karety, nie siedział na skórzanych poduszkach, z dywanikiem pod stopami. Nie miał też żadnego doświadczenia w służbie u dżentelmena, bo jego obowiązki sternika kapitańskiego miały charakter głównie dyscyplinarny i wykonawczy. Było coś komicznego w widoku Browna, gdy z tą przysłowiową zdolnością adaptacji cechującą marynarza brytyjskiego usiłował zachowywać się w sposób, w jaki jego zdaniem powinien zachowywać się służący dżentelmen zatrudniony u dżentelmena, i siedział sztywno, jakby kij połknął.

Powóz zatoczył się znowu, przyspieszając biegu, i konie ze stępa przeszły w kłus. Musieli wjechać już na szczyt tego rozległego wzgórza, z długim zjazdem w dół, który doprowadzi ich znowu ku brzegowi morza, gdzieś w pobliże Llanzy, gdzie wziął szturmem baterię pod ochroną trójkolorowej flagi. Był dumny z tego wyczynu — nawet jeszcze teraz. Nigdy by nie pomyślał, że zakończy się to transportem do Paryża i postawieniem go przed plutonem egzekucyjnym. Przez

okienko po stronie Busha, widział faliste brunatne zbocza strzelających w niebo Pirenejów; a gdy powóz zatoczył się na zakręcie jak pijany, hen w dole pochwycił błysk morza jarzącego się w promieniach popołudniowego słońca. Wyciągnął szyję, by na nie popatrzeć, na to morze, które tylekroć dopieкло mu do żywego, a które tak kochał. Pomyślał ze skurczem krtani, że jest to może ostatni dzień, gdy je widzi. Dziś w nocy przekroczą granicę; jutro wjadą w głąb Francji, a za dziesięć-czternaście dni będzie gnił w swoim grobie w Vincennes. Trudno będzie rozstawać się z życiem, nawet z jego wszystkimi zwątpieniami i niepewnością, utracić morze, kapryśne i zwodnicze, Marię, dziecko, Lady Barbarę...

Za oknami przesuwały się białe domki, a po stronie morza na trawiastym zboczu przycupnęła bateria Llanzy. Widział wartownika w niebiesko-białym mundurze, a schyliwszy się i zadarłszy głowę mógł dojrzeć flagę francuską na szczycie masztu — Bush, który jest tu z nim, ściągnął ją stamtąd parę tygodni temu. Usłyszał trzask bata woźnicy i konie przyśpieszyły biegu; do granicy zostało jeszcze około ośmiu mil, i Caillard chciał widocznie przebyć je przed nastaniem ciemności. Wzgórza porośnięte tu sosnami ciągnęły się wzdłuż drogi, między nimi a morzem. Czemuż ani Claros, ani Rovira nie przybyli mu na ratunek? Każdy zakręt traktu stanowił idealne miejsce do zasadzki. Niedługo znajdą się we Francji, a wtedy będzie już za późno. Znow musiał stoczyć ze sobą walkę, by powstrzymać się od działania. Perspektywa wjazdu do Francji rozwiewała wątpliwości co do jego losu, czyniąc go bardziej groźnym.

Ciemniało szybko — musieli być już niedaleko granicy. Hornblower próbował wywołać z pamięci obraz map, które tak często miał w ręku, by przypomnieć sobie nazwę francuskiego miasta na granicy, lecz nie panował nad swym umysłem na tyle, by mu się to udało. Powóz stanął; usłyszał kroki, metaliczny głos Caillarda wymawiającego formułkę: — W imieniu cesarza — i czyjś nieznany głos odpowiadający: — Passez, passez, monsieur. — Karetą ruszyła i znow potoczyła się szybciej — byli już we Francji. Podkowy końskie dzwoniły po bruku, widać było domy i światła w niektórych oknach. Pomiedzy domami kręcili się mężczyźni w przeróżnych uniformach i kobiety torujące sobie drogę wśród nich, w pięknych strojach i kapturkach na głowach. Słyszał śmiech i żartobliwe uwagi. Nagle powóz skręcił w prawo i wjechał w podwórze zajazdu. W zapadającym zmierzchu rozblęły liczne światła. Ktoś otworzył drzwiczki powozu i ściągnął na dół schodki, by Hornblower mógł wysiąść.

Rozdział IV

Hornblower rozglądał się po izbie, do której wprowadził go oberżysta w towarzystwie sierżanta żandarmerii. Z zadowoleniem powitał widok płonącego kominka, gdyż zziął i zeszywniał od długiego siedzenia bez ruchu w powozie. Pod jedną ze ścian stało składane łóżko i stół, już przykryty białym obrusem. W drzwiach, stąpając ciężko i powoli, pojawił się żandarm, pierwszy z dwóch niosących nosze. Popatrzył, gdzie by je postawić, wykręcił zbyt gwałtownie i zawadził nimi o ścianę.

— Ostrożnie z tymi noszami! — powiedział ostro Hornblower, a potem, przypomniawszy, że musi mówić po francusku, powtórzył: — Attention! Mettez le brancard là. Doucement!

Wszedł Brown i przyklęknął obok noszy.

— Jak się nazywa ta miejscowość? — spytał Hornblower oberżystę.

— Cerbere. Hotel „Lena”, monsieur — odrzekł właściciel gospody, kręcąc w palcach brzeg skórzanego fartucha.

— Monsieur ma zabronione rozmawiać z kimkolwiek — wtrącił się sierżant. — Będzie obsługiwany, ale nie wolno mu odzywać się do służby w zajeździe. Gdyby miał jakieś życzenia, ma się zwrócić do wartownika za drzwiami pokoju. Za oknem będzie stał jeszcze jeden.

Gestem ręki wskazał na czerniejący za szybą trójgraniasty kapelusz i lufę muszkietu żandarma.

— Jest pan nader uprzejmy, monsieur — rzekł Hornblower.

— Wypełniani rozkazy. Kolację podadzą za pół godziny.

— Byłbym zobowiązany, gdyby pułkownik Caillard rozkazał chirurgowi zająć się natychmiast raną porucznika Busha.

— Poproszę go o to, monsieur — odparł sierżant wyprowadzając z izby oberżystę.

Schyliwszy się nad Bushem Hornblower stwierdził, że wygląda nieco lepiej niż rano. Policzki zaróżowiły mu się lekko, a ruchy były pewniejsze.

— Czy mogę zrobić coś dla pana, Bush? — spytał.

— Tak...

Bush wyjaśnił, że chodzi mu o załatwienie naturalnej potrzeby. Hornblower popatrzył bezradnie na Browna.

— Obawiam się, sir, że na to trzeba będzie was obydwu, bo ja jestem ciężki — dodał Bush przepraszającym tonem. I właśnie ten ton zmobilizował Hornblowera do czynu.

— Oczywiście — odpowiedział sztucznie wesołym głosem. — Dalej, Brown. Unieście go z drugiej strony.

Gdy było już po wszystkim, przy jednym tylko na pół zduszonym jęku Busha, Brown znów zademonstrował tę zadziwiającą wszechstronność, jaka cechuje marynarzy brytyjskich.

— Umyję pana, dobrze, sir? I na pewno się pan dziś jeszcze nie golił, prawda?

Hornblower usiadł i przyglądał się z biernym podziwem zręcznym ruchom krzepkiego marynarza obmywającego i golącego jego zastępcę. Ręczniki były założone tak starannie, że ani jedna kropla wody nie kapnęła na pościel.

— Dziękuję wam, Brown, dziękuję — wyrzekł Bush opadając na poduszkę.

Drzwi otworzyły się, by wpuścić małego mężczyznę z brodą, w półwojskowym stroju, niosącego skórzaną walizeczkę.

— Dobry wieczór panom — powiedział, wymawiając wszystkie spółgłoski w sposób, jak Hornblower później stwierdził, charakterystyczny dla Francuzów z południa. — Jestem chirurgiem, do usług. A to ten ranny oficer? I uwagi mojego kolegi z Rosas? Znakomicie. Tak, właśnie. Jakże się pan czuje, sir?

Szukając słów Hornblower tłumaczył pytania zadawane przez chirurga Bushowi i jego odpowiedzi. Bush pokazał język, dał sobie zmierzyć puls i pozwolił chirurgowi włożyć rękę za koszulę dla zbadania ciepłoty ciała.

— Tak — mruknął chirurg. — A teraz zobaczymy kikut. Zechce pan potrzymać mi świecę, sir?

Odwinął kocy w nogach noszy odsłaniając wiklinowy koszyk ochroniający kikut, odłożył go na podłogę i zaczął zdejmować opatrunek.

— Proszę mu powiedzieć, sir — odezwał się Bush — że stopa, której tam nie ma, swędzi mnie okropnie, a nie wiem, jak ją podrapać.

Przetłumaczenie wystawiło francuszczyznę Hornblowera na najwyższą próbę, ale chirurg słuchał ze zrozumieniem.

— Nie ma w tym nic niezwykłego — orzekł. — Z czasem swędzenie ustanie samo. A tu mamy kikut. Piękny kikut. Bardzo ładny...

Hornblower zmusił się, aby spojrzeć, i widok, jaki ujrzał, skojarzył mu się z kłykiem pieczonej nogi baraniej; nieregularne fałdy ciała zrosły się w prawie już zagojonych bliznach, lecz z blizn tych zwisały dwa końce czarnej nitki.

— Kiedy monsieur le Lieutenant zacznie znowu chodzić — wyjaśnił chirurg — będzie zadowolony, że na końcu kikuta ma sporą podkładkę tkanki mięsnej. Zakończenie kości mniej będzie go boleć.

— Tak, oczywiście — odparł Hornblower, walcząc z mdłościami.

— Pierwszorzędny kawałek roboty — ciągnął chirurg. — Jeśli będzie się dobrze goić i nie wda się gangrena. W tej fazie chirurg musi stawiać diagnozę na własny nos. Dostosowując czyny do słów obwąchał bandaż i nie zagojony kikut.

— Proszę powąchać, monsieur — powiedział, podsuwając opatrunki do twarzy Hornblowera. Hornblower poczuł słaby odór zgnilizny.

— Pięknie pachnie, prawda? — gadał chirurg. — Ładna, zdrowa rana, a do tego wszystko wskazuje na to, że ligatury wkrótce wyjdą same.

Hornblower uświadomił sobie, że te dwie nitki zwisające z blizn są przywiązane do końców

dwóch głównych tętnic. Kiedy proces gnilny wewnątrz się zakończy, można będzie nitki wyciągnąć i zostawić rany, by się zabiły; był to wyścig między gojeniem się tętnic a początkiem zgorzeli.

— Zobaczą teraz, czy podwiązki już puściły. Proszę uprzedzić swego przyjaciela, że zadam mu trochę bólu.

Hornblower zwrócił się ku Bushowi, by mu to powiedzieć, i był zaskoczony widokiem jego twarzy wykrzywionej lękiem.

— Wiem — rzekł Bush — wiem, co on chce zrobić... sir. — Fakt, że dopiero po chwili dodał słowo „sir”, świadczył, jak bardzo myśli jego były zaabsorbowane czekającą go operacją. Uchwycił się obu dłońmi pościeli, zaciął szczęki i zamknął oczy.

— Jestem gotów — powiedział przez zaciśnięte zęby.

Chirurg pociągnął mocno za jedną z nitek, i po twarzy Busha przemknął lekki grymas bólu. Pociągnął za drugą.

— A-ach — jęknął Bush i pot wystąpił mu na twarz.

— Prawie wolne — stwierdził chirurg — wyczułem to. Pański przyjaciel będzie rychło zdrowy. A teraz zabandażujemy go z powrotem. Tak. I tędy. — Zręcznymi pulchnymi palcami założył opatrunek na kikut, nałożył na wierzch osłonkę wiklinową i obciągnął koce.

— Dziękuję panom — rzekł wstając i zacierając ręce. — Zajrzę tu znowu rano.

— Może by pan lepiej usiadł, sir — po wyjściu chirurga głos Browna dobiegł do uszu Hornblowera jak gdyby z odległości miliona mil. Pokój tonął w szarej mgiełce, która zaczęła się stopniowo rozpraszać, gdy usiadł, a wtedy zobaczył Busha opartego znowu o poduszki i próbującego się uśmiechnąć i prostą, szczerą twarz Browna z wyrazem głębokiego zatroskania.

— Bardzo paskudnie pan wyglądał przez chwilę, sir. Pewnie to z głodu, sir, przecież nie miał pan nic w ustach od śniadania.

Było to bardzo taktowne ze strony Browna, że przypisał jego słabość głodowi, którego nikt nie musi się wstydić, a nie widokowi ran i cierpienia.

— Coś mi się zdaje, że idzie kolacja — zagadał Bush z noszy dołączając się jak gdyby do zmywy, by nie zauważać słabości kapitana.

Z brzękiem ostróg wkroczył sierżant żandarmerii, a za nim dwie kobiety z tacami. Z oczyma spuszczone szybko i w milczeniu nakrywały stół i wyniosły się nie popatrzywszy na nich, chociaż jedna uśmiechnęła się kącikiem ust na znaczące chrząknięcie Busha, co wywołało u sierżanta gest zniecierpliwienia. Omiótł pokój badawczym wzrokiem, zanim zatrzasnął drzwi i zamknął je ze szczękiem na klucz.

— Zupa — oznajmił Hornblower zajrzawszy do dymiącej apetycznie wazy. — A to chyba

duszona cielęcina.

Dokonane odkrycie utwierdziło go w przekonaniu, że Francuzi żywią się wyłącznie zupą i duszoną cielęciną — nie wierzył w powszechną gadaninę o żabach i ślimakach.

— Chyba zje pan trochę rosołu, Bush? — ciągnął. Mówił dużo, z desperackim pośpiechem, by zamaskować ogarniające go uczucie przygnębienia i smutku. — I może szklaneczkę wina? Nie ma etykiety... ale miejmy nadzieję, że jest doskonałe.

— Pewnie jakiś ich podły czerwony sikacz — mruknął Bush. Osiemnaście lat wojny z Francuzami wyrobiło u większości Anglików przeświadczenie, że jedyne wina odpowiednie dla mężczyzn to porto, sherry i madera i że Francuzi piją wyłącznie czerwony cienkusz, który nieprzywykłych przyprawia o ból żołądka.

— Zobaczymy — rzekł Hornblower jak najweselszym tonem. — Najpierw musimy pana usadowić.

Podłożywszy rękę pod plecy uniósł nieco Busha, a gdy rozglądał się bezradnie wyglądając pomocy, podbiegł Brown z poduszkami zabranymi z łóżka. Podparli nimi Busha, tak że głowę miał prosto, ręce swobodne i serwetkę pod brodą. Hornblower podał mu talerz zupy i kawałek chleba.

— M-mm — mlasnął Bush spróbowałszy. — Mogła być gorsza. Proszę jeść swoją, sir, bo wystygnie.

Brown przyniósł krzesło, by kapitan mógł zasiąść do posiłku, i stanął obok w pozycji wyczekującej; na stole było jeszcze jedno nakrycie, ale zachowanie Browna świadczyło dobitnie, jak daleka była mu myśl, że mógłby siedzieć razem ze swoim dowódcą. Hornblower zaczął jeść, najpierw z lekkim obrzydzeniem, a potem z rosnącym apetytem.

— Proszę jeszcze trochę zupy, Brown. I szklaneczkę wina.

Duszona cielęcina była wyjątkowo smaczna nawet jak na gust człowieka przywykłego do mięsa wymagającego mocnych zębów.

— Ryzyk-fyzyk — odezwał się Bush z noszy. — Czy myśli pan, że mogę zjeść trochę tej cielęciny, sir? Podróż zaostrzyła mi apetyt.

Hornblower musiał się zastanowić. Człowiek z gorączką powinien być trzymany na lekkiej diecie, ale nie było widać, żeby Bush miał w tej chwili temperaturę, a stracił dużo krwi, którą musi odzyskać. Łakomy wyraz malujący się na jego obliczu przesądził sprawę.

— Odrobina nie zaszkodzi panu — zdecydował. — Brown, podajcie talerz panu Bushowi.

Dobre jedzenie i dobre wino — jadło na „Sutherlandzie” było obrzydliwe, a w Rosas skąpe — rozwiązało im języki i poprawiło nastroje. Trudno było jednak wyjść poza pewne niepisane granice. Straszliwy majestat, jaki otacza kapitana liniowca, przetrwał nawet po rozbiciu okrętu; ponadto wspomnienie sztywnej rezerwy, której Hornblower przestrzegał ściśle w czasie

sprawowania dowództwa, działało hamująco. A w oczach Browna pozycja zastępcy kapitana była niemal równie astronomicznie niedosiężna jak pozycja kapitana; napełniał go zgrozą już sam fakt przebywania z nimi dwoma w tym samym pokoju choćby pod pozorem, iż jest ich dawnym służącym. Hornblower skończył właśnie spożywać ser i nadszedł moment, którego Brown tak się obawiał.

— Dalej, Brown — powiedział wstając — siadajcie i jedzcie zupe, póki jeszcze gorąca.

Mając obecnie dwadzieścia osiem lat i od jedenastego roku życia pozostając w służbie jego królewskiej mości na okrętach wojennych Brown nie używał nigdy dotąd przy stole żadnych przyrządów poza nożem i palcami; nie jadł nigdy z porcelany i nie pił z kielichów. Doświadczał koszmarnych uczuć, jak gdyby oficerowie obserwowali go czworgiem oczu wielkich jak piłki futbolowe, gdy brał nerwowo łyżkę do ręki i zabierał się do zadania, którego był niezwyčajny. W nagłym olśnieniu Hornblower zrozumiał jego skrępowanie. Brown miał mięśnie i bicepsy, jakich Hornblower często mu zazdrościł; cechowała go też niezachwiana odwaga w boju i w tym względzie Hornblower na próżno chciałby z nim rywalizować. Potrafił wiązać węzły i splatać liny, stawiać, zwijać i refować żagle, sterować, rzucać sondę czy wiosłować — wszystko o wiele lepiej niż kapitan. Bez chwili wahania wdrapywał się na wanty w czarną noc pośród sztormu, ale widok noża i widelca przypawił jego ręce o drżenie. Hornblower zastanowił się, w jaki sposób Gibbon wyciągnąłby stąd morał, epigramatycznie, w dwóch jasnych przeciwstawnych zdaniach.

O tym, że poniżenie i zdenerwowanie nigdy nie wpływa dobrze na człowieka, Hornblower wiedział jak mało kto. Przystawił sobie dyskretnie krzesło do noszy Busha, siadł prawie tyłem do stołu i desperacko zagłębił się w rozmowę ze swoim zastępcą przy akompaniamencie szczęku sztućców za plecami.

— Może przenieść pana na łóżko? — zadał pierwsze lepsze pytanie, jakie mu przyszło na myśl.

— Nie, dziękuję, sir — odparł Bush. — Śpię na noszach już od dwóch tygodni, jest mi dosyć wygodnie, a przenosiny byłyby dla mnie bolesne, nie mówiąc już o tym, że... że...

Zabrakło mu słów na wyrażenie tego, że w żadnym razie nie będzie spał na jedynym łóżku, pozbawiając kapitana pośłania.

— Po co jedziemy do Paryża, sir? — zapytał.

— Bóg jeden wie — odpowiedział Hornblower. — Ale mam wrażenie, że Bonio chce nam osobiście zadać parę pytań.

To była odpowiedź, jaką sobie ułożył już wiele godzin wcześniej, by mieć ją w pogotowiu na wypadek nieuchronnego pytania; poznanie losu, jaki ich czeka, nie pomogłoby Bushowi przyjść do zdrowia.

— Dużo się od nas dowie — rzekł Bush z zawziętością. — Może wypijemy filiżankę herbaty z Marią Luizą w Tuileries.

— Nie wykluczone — odparł Hornblower. — A może Bonio chce wziąć u pana lekcje nawigacji? Słyszałem, że jest słaby w matematyce.

To wywołało uśmiech. Bush zawsze miał trudności z liczbami i przechodził męki, gdy stawał wobec prostego problemu z trygonometrii sferycznej. Czuły słuch Hornblowera pochwycił ciche szuranie krzesła Browna; widocznie posiłek został zjedzony.

— Brown, nalejcie sobie wina — powiedział nie odwracając się.

— Tak jest, sir — rzekł ochoczo Brown.

Została jedna cała butelka i trochę w drugiej. Będzie to dobra okazja do przekonania się, czy można zaufać Brownowi z trunkiem. Hornblower wciąż siedział tyłem do niego i starał się podtrzymać rozmowę z Bushem. Pięć minut później krzesło Browna zaszurało głośniejsze i Hornblower obejrzał się.

— Najedliście się, Brown?

— Tak jest, sir. Prawdziwie dobra kolacja.

Waza po zupie i półmisek z mięsem były wymiecione; z całego bochenka chleba została tylko piętka, a z sera małeńki kawałeczek. Za to w jednej z butelek było jeszcze dwie trzecie wina — fakt, iż Brown zadowolił się najwyżej połową butelki, był najlepszym dowodem, że nie jest łasy na alkohol.

— Wobec tego pociągnijcie za sznur od dzwonka.

Na odległy dźwięk odezwało się po chwili pobrzękiwanie kluczy przy drzwiach i do pokoju wszedł sierżant z dwoma pokojówkami, które pod jego okiem wzięły się do sprzątania ze stołu.

— Muszę zdobyć dla was jakieś poślanie, Brown — rzekł Hornblower.

— Mogę spać na podłodze, sir.

— Nie, nie możecie.

Hornblower miał swoje zdanie na ten temat; zdarzało się, że jako młody oficer spał na gołych deskach pokładu, i wiedział, jakie to niewygodne.

— Potrzebuję łóżka dla mego sługi — zwrócił się do sierżanta.

— Może spać na podłodze.

— Nie pozwolę na to. Musi pan znaleźć dla niego materac.

Hornblower sam był zdziwiony, jak szybko nabywa wprawy w mówieniu po francusku; bystrość umysłu pomagała mu robić możliwie najlepszy użytek z ograniczonego zasobu słów, a

chłonna pamięć magazynowała wszelkie zasłyszane raz słowa, tak że wyskakiwały z podświadomości, gdy tylko potrzeba stawała się bodźcem do tego.

Sierżant wzruszył ramionami i grubiańsko odwrócił się tyłem.

— Jutro rano zamelduję pułkownikowi Caillardowi o waszym zuchwalstwie! — wybuchnął Hornblower. — Natychmiast ma być materac!

Podziałała nie tyle groźba, ile wpajana przez lata dyscyplina. Nawet sierżant żandarmerii francuskiej przywykł do uniżonego szacunku wobec galonów, epoletów i apodyktycznego sposobu bycia. Być może zaważyło również wyraźne oburzenie dziewcząt, że taki wspaniały mężczyzna miałby spać na podłodze. Wezwał strażnika stojącego przy drzwiach i kazał mu przynieść materac ze stajni, gdzie zakwaterowano eskortę. To co przyniesiono, było zwykłym siennikiem wypchanym słomą, niemniej jednak nieskończenie wygodniejszym niż świecące dziurami gołe deski podłogi. Brown patrzył z wdzięcznością na Hornblowera, gdy układano siennik w rogu pokoju.

— Czas spać — oznajmił Hornblower udając, że tego nie widzi, gdy tylko drzwi zamknęły się za sierżantem. — Najpierw ułożymy pana wygodnie, Bush.

Jakiś niejasny, na pół świadomy motyw pchnął Hornblowera do wydobycia z walizy haftowanej koszuli nocnej, nad którą pilne palce Marii pracowały z lubością — koszuli nocnej zabranej z Anglii na wypadek kolacji i noclegu u gubernatora lub na okręcie flagowym. Przez te wszystkie lata, odkąd został kapitanem, nie dzielił nigdy pokoju z nikim poza Marią, i było to dla niego czymś nowym gotować się do snu na oczach Busha i Browna. Śmieszna rzecz, ale czuł się tym skrępowany, mimo iż Bush, blady i wyczerpany, osunął się na poduszki i leżał na wznak z opadającymi powiekami, podczas gdy Brown skromnie, ze spuszczonej oczami zdjął spodnie, na nalegania Hornblowera otulił się jego opończą i zwinął w kłębek na swoim sienniku nie rzuciwszy nawet okiem na swego dowódcę.

Hornblower położył się do łóżka.

— Gotowi? — zapytał i zdmuchnął świecę; ogień w kominku już ledwie się tlił i stygnące węgielki rzucały słabą czerwoną poświatę na pokój. Rozpoczęła się jedna z tych bezsennych nocy, które Hornblower umiał przeczuć naprzód. Zgasiwszy świecę ułożył głowę na poduszce, wiedział, że nie będzie mógł zasnąć aż do świtu. Na swym okręcie wyszedłby na pokład lub chodził po galerii rufowej, tu mógł tylko leżeć w ponurym bezruchu. Od czasu do czasu przytłumiony szelest mówił mu, że Brown przewraca się na swoim słomianym sienniku; raz czy dwa Bush jęknął cicho w gorączkowym śnie.

Mieli dziś środę. Za ledwie szesnaście[4] dni temu Hornblower dowodził okrętem uzbrojonym w siedemdziesiąt cztery działa i był absolutnym panem życia pięciuset marynarzy. Jedno słowo z jego ust kierowało operacjami gigantycznej maszyny wojennej; zadane przez nią ciosy zachwiały tronem cesarskim. Wspominał z żalem nocny czas na okręcie, skrzypienie drewnianych części i śpiew takielunku, nieruchomą sylwetkę sternika przy sterze, majaczącą w słabym świetle kompasu, i oficera wachtowego miarowym krokiem przemierzającego pokład rufowy.

Teraz był nikim; doszło do tego, że on, który niedawno jeszcze regulował, aż do najmniejszego szczegółu, żywot pięciuset ludzi, użerał się o siennik dla jedyne go pozostawionego mu marynarza; sierżanci policji mogli znieważać go bezkarnie; musiał przychodzić i odchodzić na rozkaz osobników, którymi gardził. Co gorsza — Hornblower poczuł przyływ gorącej krwi, gdy sobie znowu o tym przypomniał — wiozą go teraz do Paryża jak przestępcę. Niedługo, o którymś chłodnym brzasku, sprowadzą go do fosy w Vincennes i postawią przed plutonem egzekucyjnym. Potem będzie martwy. Oczyma żywej wyobraźni widział, jak pada od uderzeń kul muszkietów w pierś, aż zaczął zastanawiać się, jak długo będzie trwał ból, zanim ogarnie go nicość. Powiadał sobie, że to nie kres istnienia napawa go lękiem — w niedoli, jaką cierpiał obecnie, niemal wyglądał tej chwili. Może chodzi więc o nieodwołalność tej śmierci, jej ostateczność.

Ale nie, ten czynnik odgrywał mniejszą rolę. To co w istocie odczuwał, było instynktowną obawą przed nagłym i drastycznym przejściem w stan zupełnie nie znany. Wspomni ał noc we wczesnej młodości spędzoną w gospodzie w Andover, gdy nazajutrz miał być zaokrętowany i rozpocząć nie znane życie w marynarce wojennej. Czuł się wtedy bardzo podobnie jak teraz — był przerażony, pamiętał, tak przerażony, że nie mógł spać; a przecież słowo „przerażony” jest za mocne na określenie stanu umysłu kogoś, kto gotów jest stawić czoło temu, co go czeka, i kogo nie można tak od razu ganić za to nagłe przyspieszenie bicia serca i oblewanie się potem!

Analizę odczuwanego lęku przerwało głębokie westchnienie Busha, głośne w ciszy pokoju. Busha też rozstrzelają. Przywiążą go pewnie do pala, żeby mieć łatwy cel — rzecz ciekawa, że o ile można bez trudu rozkazać oddziałowi zastrzelić człowieka w pozycji stojącej, choćby bezbronnego, o tyle każdy wzdryga się instynktownie przed strzelaniem do bezbronnej osoby leżącej na noszach. Byłoby potworną zbrodnią zastrzelenie Busha, który, założywszy nawet, że jego dowódca jest winien, nie mógł uczynić niczego innego, jak tylko słuchać rozkazów. Ale Bonaparte to robi. Potrzeba zjednoczenia Europy wokół siebie w walce przeciwko Anglii stawała się coraz bardziej nagląca. Blokada dusiła cesarstwo Francuzów jak Herkules Anteusza. Bonapartowscy sojusznicy z przymusu — a trzeba powiedzieć, że była to cała Europa poza Portugalią i Sycylią — stawali się krnąbrni i zaczęli myśleć o zdradzie; sami Francuzi, czego Hornblower słusznie się domyślał, nie byli już tak bardzo rozmiłowani w tym Królu-Bocianie, którego sami ustanowili nad sobą. Nie wystarczy gołosłowne oświadczenie Bonapartego, że flota brytyjska jest zbrodniczym narzędziem zdradzieckiej tyranii; powtarza to od dwunastu lat. Twierdzenie, że oficerowie brytyjscy pogwałcili prawa wojenne, również nie miałoby dostatecznego znaczenia. Lecz skazanie dwóch oficerów i rozstrzelanie ich będzie gestem przekonującym, a kłamliwe przedstawienie faktów przez Paryż może pomóc w utrzymaniu francuskiej — a więc i europejskiej — opinii publicznej jeszcze przez rok lub dwa w opozycji wobec Anglii.

Pech sprawił, że to Bush i on sam staną się ofiarami. W ciągu ostatnich kilku lat Bonaparte miał w swym ręku z tuzin kapitanów z brytyjskiej marynarki wojennej i mógł roztrąbić oskarżenia przeciwko połowie z nich. Widocznie przeznaczenie wybrało Hornblowera i Busha. Hornblower uświadomił sobie, że od przeszło dwudziestu lat żywi przecucie, iż zginie nagłą śmiercią. A teraz śmierć ta stała się pewna i nieunikniona. Miał nadzieję, że odważnie spojrzy w jej oblicze, że pójdzie na dno z podniesioną banderą; ale nie dowierzał słabości swego ciała. Bał się, że twarz mu zblednie i że zacznie dzwonić zębami lub, co gorsza, serce go zawiedzie i zemdleje, zanim pluton egzekucyjny wykona swe zadanie. Dałoby to doskonały asumpt dla paru zjadliwych wierszy w

Gdyby w pokoju był sam, jęczałby na głos, wyrzekając na swoją niedolę, i przewracał się niespokojnie na pościeli. Ale w obecnej sytuacji musiał leżeć cicho i spokojnie. Nie mógł dopuścić, aby jego podkomendni, gdyby się obudzili, poznali, że nie śpi. Chcąc oderwać myśli od czekającej go egzekucji, zaczął się zastanawiać, czym zająć umysł, i nowe tematy napłynęły mu tłumnie do głowy. Czy admirał Leighton żyje, czy nie, a jeśli nie, to czy Lady Barbara będzie myślała częściej o nim, swoim ukochanym; jak Maria czuje się w ciąży, co brytyjska opinia publiczna sądzi o utracie „Sutherlanda”, a zwłaszcza jakie jest zdanie Lady Barbary o jego poddaniu się — korowód spraw, o których mógł myśleć i którymi mógł się trapić, ciągnął się w nieskończoność; w gonitwie myśli pojawiały się co chwila jakieś oderwane fragmenty. A w stajni niespokojnie stukwały kopytami konie i co dwie godziny słyszał zmianę posterunków pod oknem i za drzwiami.

Rozdział V

Świt jeszcze nie nastał i pokój słabo tylko rozjaśniało szarawe światło, gdy szcęk kluczy i ciężkie stąpanie butów za drzwiami zapowiedziało wejście sierżanta żandarmerii.

— Powóz odjeżdża za godzinę — oznajmił. — Za pół godziny przyjdzie tu chirurg. Niech panowie będą gotowi.

Bush miał wyraźnie gorączkę; Hornblower zorientował się, że tak jest, gdy tylko pochylił się nad nim, jeszcze w swej jedwabnej haftowanej koszuli nocnej. Ale Bush uparcie utrzymywał, że nie jest chory.

— Czuję się całkiem dobrze, sir, dziękuję — powiedział; twarz mu jednak pałała, chociaż wyglądał przytomnie, a dłonie kurczowo trzymały się pościeli. Hornblower podejrzewał, że nawet drgania podłogi wywoływane krokami jego i Browna sprawiały ból nie zagojonemu kikutowi nogi.

— Jestem gotów zrobić wszystko, czego panu potrzeba — rzekł.

— Nie. Dziękuję, sir. Jeśli pan pozwoli, poczekajmy, aż przyjdzie doktor, sir.

Hornblower ogolił się i umył zimną wodą z dzbanka na umywalni; od czasu gdy opuścił „Sutherland”, ani razu nie dostał ciepłej. Ale najbardziej brakowało mu tradycyjnej chłodnej kąpieli pod strumieniem wody z pompy na pokładzie przeznaczonym do mycia; miał uczucie, że skóra zaczęła go świerzbić, gdy tylko o tym pomyślał, a mycie się mydłem i rękawicą zwilżającą naraz zaledwie po parę cali skóry było czymś koszmarnym. Brown ubrał się dyskretnie w swoim kącie pokoju i gdy kapitan skończył, cichutko jak mysz prześliznął się ku umywalce.

Przybył doktor ze swoją skórzaną torbą.

— Jakże on się dziś czuje? — zapytał rześkim tonem; Hornblower dostrzegł cień niepokoju na jego twarzy, gdy zauważył wyraźną gorączkę Busha.

Ukląkł i odwinął kikut, a Hornblower przyklęknął obok. Noga drgnęła nerwowo, gdy ją

chwyciły silne palce; doktor ujął dłoń Hornblowera i przyłożył ją do skóry nad raną.

— Trochę rozgrzana — powiedział. Hornblowerowi wydała się gorąca. — To może być dobry objaw. Zaraz się przekonamy.

Złapał za jedną z ligatur i pociągnął. Wyśliznęła się z rany jak wąż.

— Dobrze — zawołał doktor. — Doskonale!

Przyjrzał się uważnie resztkom tkanek martwiczych wyciągniętych razem z węzełkiem, a potem schylił się, by zbadać strużkę ropy, która wysączyła się z rany w ślad za nitką.

— Doskonale! — powtórzył.

Hornblower przebiegł w myślach liczne raporty składane mu przez chirurgów o stanie rannych oraz uwagi, jakimi zwykli je opatrywać. Przypomniał sobie określenie „zdrowa ropa”; ważną rzeczą było rozróżnienie między wyciekami z rany, która usiłuje się zagoić, a cuchnącą wydzieliną ze zgangrenowanej kończyny. Sądząc po uwagach lekarza, to była na pewno „zdrowa ropa”.

— A teraz weźmiemy się za drugą — oświadczył doktor. Szarpnął za zwisającą ligaturę, ale spowodował tylko okrzyk bólu, który przeszył serce Hornblowera, i konwulsyjny ruch umęczonego ciała Busha. — Jeszcze nie całkiem gotowa — stwierdził. — Ale moim zdaniem to tylko kwestia godzin. Czy przyjaciel pański proponuje wyruszyć dziś w dalszą podróż?

— Ma rozkaz ją kontynuować — odrzekł Hornblower swoją kulejącą francuszczyzną. — Czy pan uważa to za nie wskazane?

— Absolutnie nie wskazane — odparł doktor. — Zada mu to wiele cierpień i może zagrozić gojeniu się rany.

Zmierzył Bushowi puls i przyłożył mu dłoń do czoła.

— Wysoce nie wskazane — powtórzył.

Drzwi za nimi otworzyły się ukazując sierżanta żandarmerii.

— Powóz gotowy.

— Musi poczekać, aż zabandażuję ranę. Proszę wyjść — rzekł doktor gniewnym głosem.

— Idę pomówić z pułkownikiem — oznajmił Hornblower.

Przecisnął się obok sierżanta, który zbyt późno spróbował zagrozić mu drogę, i przez główny korytarz zajazdu wyszedł na dziedziniec, gdzie stał powóz. Zaprzęgano właśnie konie, a w drugim końcu grupka żandarmów siodłała swoje wierzchowce. Tak się pomyślnie złożyło, że pułkownik Caillard, odziany w czerwono-niebieski mundur i lśniące wysokie buty, szedł przez podwórze, z gwiazdą Legii Honorowej dyndającą na piersi.

— Sir — przemówił Hornblower.

— Co tam znowu? — zapytał Caillard.

— Porucznika Busha nie można ruszać z miejsca. Jest bardzo ciężko ranny i zbliża się kryzys.

Słowa w łamanej francuszczyźnie sypały się nieskładnie z ust Hornblowera.

— Nie mogę nic uczynić wbrew rozkazom, jakie otrzymałem — odparł Caillard. Jego spojrzenie było zimne, a usta zacięte.

— Nie otrzymał pan rozkazu, by go uśmiercić — zaprotestował Hornblower.

— Polecono mi dostarczyć pana wraz z nim do Paryża z jak największym pośpiechem. Odjeżdżamy za parę minut.

— Ależ, sir... Nie może pan poczekać chociaż przez dzień dzisiejszy?

— Nawet będąc piratem musi pan zdawać sobie sprawę z niemożności nieposłuszeństwa rozkazom — powiedział Caillard.

— Protestuję przeciwko takim rozkazom w imię człowieczeństwa.

To co mówił, brzmiało melodramatycznie, ale i chwila była melodramatyczna, a nieznajomość francuskiego nie pozwoliła Hornblowerowi na dobieranie słów. Uwagę jego zwrócił pełen współczucia pomruk. Obejrzawszy się zobaczył obie pokojówki w fartuszkach, otyłą niewiastę i oberżystę przysłuchujących się rozmowie z wyraźną dezaprobatą dla stanowiska Caillarda. Pod jego piorunującym spojrzeniem skryli się za drzwiami kuchni, lecz ich zachowanie po raz pierwszy objawiło Hornblowerowi niepopularność osoby cesarza narastającą we Francji wskutek jego bezwzględności.

— Sierżancie — rozkazał ostro Caillard — wsadźcie więźniów do karety.

Nie było mowy o oporze. Żandarmi wynieśli nosze z Bushem na dziedziniec i oparli je o siedzenia powozu, a Brown i Hornblower pomagali, bacząc aby chronić nosze przed zbyt wielkimi wstrząsami. Chirurg bazgrał spieszenie uwagi na końcu pliku notatek dotyczących przypadku Busha, które Hornblower przywiózł z Rosas. Z kłopotem nadbiegła przez dziedziniec jedna z pokojówek z dymiącą tacą, którą podała Hornblowerowi przez otwarte okienko. Był na niej drewniany talerz z chlebem i trzy kubki czarnego płynu, w którym później Hornblower rozpoznał kawę — a raczej to, co objęta blokadą Francja zmuszona była nazywać kawą. Smak miała nie lepszy niż napar z palonych okruchów sucharów, który czasem pił na okręcie, ale była ciepła i działała orzeźwiająco o tej porze ranka.

— Nie mamy cukru, sir — powiedziała dziewczyna przepaszająco.

— Nic nie szkodzi — odparł Hornblower, pijąc chciwymi łykami.

— Szkoda, że ten biedny ranny oficer musi jechać — ciągnęła. — Te wojny są okropne.

Miała zadarty nos, szerokie usta i duże czarne oczy — trudno by ją nazwać pociągającą, ale współczucie w jej głosie było miłe dla więźnia. Brown podtrzymał Busha pod plecy i przytknął mu kubek do warg. Bush pociągnął dwa lub trzy łyki i odwrócił głowę. Powóz zachybotał, gdy dwaj ludzie wdrapali się na kozioł.

— Wy tam, odsunąć się! — ryknął sierżant.

Powóz przechylił się, zakołysał i wyjechał za bramę, końskie kopyta zadudniły po kocich łbach, i Hornblower zdążył już tylko zobaczyć wyraz lekkiej konsternacji na twarzy dziewczyny, gdy pojęła, że straciła na zawsze tacę śniadaniową.

Sądząc z przechyłów powozu droga była podła; przy którymś wstrząsie Hornblower dosłyszał, jak Bush gwałtownie wciągnął powietrze. Przypomniawszy sobie wygląd jego spuchniętej i rozognionej kończyny; każdy podskok karety musiał przyprawiać go o piekielne męki. Przesunął się po siedzeniu ku nosom i ujął dłoń Busha.

— Proszę się nie martwić, sir — powiedział Bush. — Czuję się dobrze.

Ale nawet w trakcie, gdy to mówił, Hornblower poczuł, jak dłoń jego zaciska się silniej przy kolejnym niespodziewanym szarpnięciu.

— Tak mi przykro, Bush — to było wszystko, co mógł powiedzieć; trudno było dowódcy wdawać się w dłuższą rozmowę ze swoim porucznikiem na tak osobiste tematy jak współczucie i ubolewanie.

— Nic na to nie poradzimy, sir — odparł Bush usiłując przybrać w uśmiech swoją zmizerowaną twarz.

To był główny problem, ta ich całkowita bezsilność. Hornblower pojął, że nie pozostało nic, co mogliby powiedzieć lub uczynić. Nasycony zapachem skóry duszny odór wnętrza powozu już zaczynał go męczyć, a z przerażeniem uzmysłowił sobie, że będą musieli znosić to rozchybotane więzienie może nawet jeszcze przez dwadzieścia dni, zanim dotrą do Paryża. Myśl ta wprawiła go w niespokojny, nerwowy nastrój, który być może poprzez dotyk udzielił się i Bushowi, gdyż delikatnie wysunął swą dłoń i odwrócił głowę w drugą stronę, pozostawiając kapitanowi swobodę denerwowania się w ciasnym zamknięciu powozu.

Wszelako wciąż jeszcze można było dojrzeć w przelocie morze z jednej strony, a Pireneje z drugiej. Wysunąwszy głowę przez okienko Hornblower przekonał się, że tego dnia ich eskorta się zmniejszyła. Przed powozem jechali tylko dwaj jeźdźcy, a z tyłu słychać było tętent czterech, tuż za koniem Caillarda. Widocznie fakt wjechania do Francji sprawił, że możliwość ich odbicia uznano za znacznie mniej prawdopodobną. Stanie z głową wysuniętą niewygodnie przez okno było przyjemniejsze niż siedzenie w zaduchu pojazdu. Można było zobaczyć ścierniska, winnice i Pireneje spiętrzające się coraz wyżej i niknące w błękitnej dali. Było też widać ludzi — prawie same kobiety — które ledwie podnosiły wzrok znad motyk, żeby odprowadzić spojrzeniem pędzący

drogą powóz i jego eskortę. Mijali właśnie grupę nie umundurowanych żołnierzy — rekrutów i rekonwalescentów, jak się domyślił Hornblower, zdążających do swoich jednostek w Katalonii — wlokącą się drogą bardziej jak stado owiec niż jak wojsko. Młody oficer na ich czele zasalutował gwiazdzie lśniącej na piersi Caillarda, odprowadzając powóz zaciekawionym spojrzeniem.

Niecodzienni więźniowie przemierzali przed nim tę drogę: Alvarez, bohaterski obrońca Gerony, który zmarł na taczce — jedynym łożu, jakiego mu udzielono — w lochu, po drodze na rozprawę sądową, i Toussaint l'Ouverture, Murzyn, bohater z Haiti, uprowadzony ze swej słonecznej wyspy na niechybną śmierć z zapalenia płuc w skalistej twierdzy w Jurze; Palafox z Saragossy, młody Mina z Navarry — wszyscy zginęli jako ofiary zawziętości korsykańskiego tyrana. On i Bush będą tylko dwoma dalszymi pozycjami na dosyć już długiej liście. D'Enghien, rozstrzelany w Vincennes sześć lat temu, miał w swoich żyłach krew królewską, i jego śmierć narobiła szumu w Europie, ale Bonaparte zamordował wielu innych. Myślenie o tych wszystkich, którzy byli przed nim, sprawiało, że Hornblower z większą jeszcze tęsknotą wyglądał przez okno powozu i jeszcze głębiej wdychał powietrze wolności.

Mając wciąż w polu widzenia morze i wzgórza — z dominującym ciągle w dali szczytem Canigou — zatrzymali się w zajeździe pocztowym przy drodze, aby zmienić konie. Caillard i ludzie z eskorty dosiedli świeżych wierzchowców; zaprzężono do powozu cztery nowe konie i po niespełna kwadransie byli już znowu w drodze, ze świeżymi siłami wjeżdżając na rozciągającą się przed nimi stromą pochyłość. Musieli robić przeciętnie co najmniej sześć mil na godzinę, pomyślał Hornblower, a jego umysł znów zabrał się do kalkulacji. Jak daleko jest Paryż, mógł się tylko domyślać — pięćset, może sześćset mil, tak przypuszczał. Trzeba siedemdziesięciu, najwyżej dziewięćdziesięciu godzin jazdy, aby się znaleźli w stolicy, a mogą jechać po osiem, dwanaście i piętnaście godzin na dobę. Zanim dotrą do Paryża, może więc minąć pięć albo dwanaście dni — liczby dalekie od ścisłości. Może być martwy już za tydzień lub żywy jeszcze przez trzy tygodnie. Jeszcze żywy! Pomyślawszy to Hornblower uświadomił sobie, jak bardzo pragnie żyć; oto jeden z tych momentów, gdy Hornblower, którego obserwował tak beznamietnie i z lekką dezaprobatą, nagle zlał się z nim samym, najważniejszą i najbardziej niezbędną osobą na całym świecie. Pozazdrościł staremu zgarbionemu pasterzowi w oddali, z kraciatą derką zarzuconą na plecy, który wspierając się na kijku kuśtykał po zboczu wzgórza.

Zbliżało się miasto — z wałami, ponurą cytadelą i wyniosłą katedrą. Wjechali przez bramę i podkowy końskie rozdzwoniły się po bruku, gdy powóz przejeżdżał przez wąskie uliczki. Tu też było pełno żołnierzy; ulice roiły się od najprzeróżniejszych mundurów. To musi być Perpignan, oczywiście, francuska baza dla inwazji Katalonii. Powóz stanął nagle na szerszej ulicy, gdzie aleja równo przyciętych drzew i ustrojony flagami bulwar obrzeżały niewielką rzeczkę, a spojrzawszy w górę Hornblower przeczytał napis na szyldzie: „Hotel de la Poste et du Perdrix. Route Nationale 9. Paris 849”. W pośpiechu i rozgardiaszu zmieniano konie, Brownowi i Hornblowerowi niechętnie pozwolono wysiąść i rozprostować zeszywniałe nogi, zanim wrócili do Busha, by go spytać, czy nie ma jakichś życzeń — miał ich niewiele przy swej gorączce. Caillard i żandarmi pożywiali się naprędce — ci ostatni przy stolikach na zewnątrz gospody, a Caillarda widać było przez okna pokoju frontowego. Ktoś przyniósł więźniom tacę z plasterkami zimnego mięsa, chlebem, winem i serem. Ledwo podano ją do powozu, gdy eskorta dosiadła znowu swoich wierzchowców, strzelił bicz i ruszyli w drogę. Powóz wznosił się i opadał, niczym okręt na morzu, przy wjeździe na jeden

garbaty most, potem drugi, aż konie zaczęły iść równym kłusem szeroką prostą drogą wysadzaną topolami.

— Nie tracą czasu — zauważył ponuro Hornblower.

— Rzeczywiście, sir, nie tracą — zgodził się Brown.

Bush nie zjadł nic, odmawiając słabym ruchem głowy, gdy proponowano mu mięso i chleb. Jedyna rzecz, jaką mogli zrobić dla niego, to zwilżyć mu wargi winem, gdyż były spieczone od pragnienia; Hornblower nakazał sobie pamiętać, by poprosić o wodę w następnym zajeździe pocztowym, i wyrzucił, że dotąd o tym nie pomyślał. Podzielili się posiłkiem z Brownem, jedząc palcami i pijąc kolejno wino z butelki, której szyjkę Brown z przepaszającą miną wycierał serwetką po każdym pociągnięciu. Zjadłszy co było, Hornblower podniósł się znowu z siedzenia i wysadził głowę przez okno pojazdu, obserwując mijaną okolicę. Zaczął mżyć drobny, przejmujący deszcz, zwilżając jego rzadniejące włosy, twarz i ściekając strumyczkami za kołnierz, ale on stał dalej, patrząc tęsknie na uciekającą wolność.

Na szyldzie gospody, gdzie zatrzymali się z zapadnięciem nocy, widniał napis: „Hotel de la Poste de Sigean. Route Nationale 9. Paris 805. Perpignan 44”. Miejscowość Sigean była rozrzuconą wsią ciągnącą się milami wzdłuż traktu, a zajazd mieścił się w maleńkim budyńeczku, mniejszym niż stajnie pocztowe otaczające trzy pozostałe strony podwórza. Schody wiodące do pokoi na pięterku były zbyt wąskie i kręte, aby można było wnieść tamtędy nosze; z wielkim trudem udało się ludziom wejść z nimi do salonu, udzielonego im niechętnie przez właściciela oberży. Hornblower widział, jak Bush krzywi się z bólu za każdym razem, gdy nosze uderzały o framugę drzwi.

— Musimy mieć natychmiast chirurga dla porucznika — powiedział sierżantowi. — Sprawdź, czy jest tu jakiś.

Właściciel zajazdu był zezowatym gburem; opornie przystał na opróżnienie swego najlepszego saloniku z pretensjonalnych mebli, wniesienie łóżek dla Hornblowera i Browna i dostarczenie rozmaitych drobiazgów, o które prosili, by zapewnić Bushowi wygodę. Nie było ani świec woskowych, ani lamp, a tylko cuchnące okrutnie kaganki łojowe.

— Jak noga? — spytał Hornblower pochylając się nad Bushem.

— W porządku, sir — odparł Bush uparcie, lecz tak wyraźnie widać było po nim gorączkę i ból, że Hornblower zaniepokoił się.

Kiedy sierżant wprowadził pokojówkę z kolacją, spytał go ostro:

— Czemu nie przyszedł chirurg?

— W tej wiosce nie ma chirurga.

— Nie ma chirurga? Porucznik jest poważnie chory. A może mają tu... aptekarza?

Hornblowerowi zabrakło słowa francuskiego, użył więc angielskie.

— Weterynarz poszedł po południu na drugą stronę wzgórza i dziś już nie wróci. Więcej tu nie ma nikogo.

Sierżant wyszedł z pokoju zostawiając Hornblowera wobec konieczności wyjaśnienia sytuacji Bushowi.

— W porządku — odparł, odwracając głowę na poduszce zmęczonym ruchem, który nie podobał się Hornblowerowi. Hornblower zdenerwował się.

— Chyba ja sam przewinę panu ranę — powiedział. — Możemy spróbować dać na nią zimny okład z octu, jak to się robi u nas we flocie.

— Coś zimnego! — zgodził się Bush skwapliwie.

Hornblower pociągnął za dzwonek, a gdy ktoś się zjawił na jego dźwięk, poprosił o ocet i dostał go. Żaden z nich trzech nie pomyślał ani przez moment o obiedzie stygnącym na bocznym stoliku.

— Do dzieła — zaczął Hornblower.

Postawił obok siebie spodeczek z octem, zanurzył w nim szarpie, by nasiąkły, pod ręką miał czyste bandaże, w które zaopatrzył ich chirurg w Rosas. Odwinął koce, odsłaniając obandażowany kikut. Gdy zdejmował opatrunek, noga drgała nerwowo; była czerwona, spuchnięta i zaogniona, gorąca w dotyku na kilka cali nad miejscem amputacji.

— Tu też porządnie opuchła, sir — szepnął Bush. Gruczoły w pachwinie powiększyły się znacznie.

— Tak — odparł Hornblower.

W świetle trzymanej przez Browna łojówki przyjrzał się zablizniającej się ranie, obejrzał zdjęte bandaże. Trochę ropy ciekło tam, skąd poprzedniego dnia wyciągnięto ligaturę; większa część blizny goiła się i wyglądała zdrowo. Kłopot mógł być tylko z drugim szwem. Hornblower wiedział, że jeśli jest gotowy do wyjęcia, niebezpiecznie byłoby zostawiać go w ranie. Ostrożnie chwycił za jedwabną nitkę. Przy pierwszym pociągnięciu czułe palce odniosły wrażenie, że nic nie trzyma. Nitka wysunęła się już o ćwierć cala, a sądząc po spokoju Busha, nie sprawiło mu to silnego bólu. Hornblower zacisnął zęby i ciągnął dalej; ligatura poddawała się bardzo wolno, ale wyraźnie ustępowała, nie trzymała się już elastycznej tętnicy. Ciągnął wytrwale, czując słabnący opór. Powoli nic wyszła z rany, z węzłem i całą resztą. Pocięła za nią ropa cienkim strumyczkiem lekko tylko zabarwionym krwią. Udało się.

Arteria nie pękła, a teraz, po wyjęciu ligatury, ranie potrzebny był wyraźnie swobodny odpływ.

— Chyba zacznie pan wreszcie wracać do zdrowia — stwierdził głośno, zmuszając się, by mówić wesołym tonem. — Jak samopoczucie?

— Lepiej — odpowiedział Bush. — Mam wrażenie, że lepiej, sir.

Hornblower przyłożył namoczone szarpie na gojącą się powierzchnię. Bandażując kikut stwierdził, że drżą mu ręce, ale z wysiłkiem opanował drżenie — niełatwe to było zadanie, ostatnie już, uporał się z nim jednak w sposób zadowalający. Nałożył z powrotem wiklinową osłonkę, otulił Busha prześcieradłami i wstał. Drżenie rąk było silniejsze niż przedtem, a w dodatku, ku swemu zdziwieniu, zbierało mu się na mdłości.

— Kolacja, sir? — spytał Brown. — Ja podam panu Bushowi.

Żołądek zbuntował się przeciwko jedzeniu, i Hornblower miał wielką chęć odmówić, lecz byłoby to zbyt oczywistym przyznaniem się do słabości wobec podwładnego.

— Tylko umyję ręce — odparł wyniośle.

Jedzenie przychodziło mu łatwiej, niż przypuszczał, gdy już zmusił się, by zasiąść do niego. Udało mu się przełknąć tyle kęsów, aby wyglądało, że najadł się dobrze, a wraz z upływem minut zacierała się pamięć nieprzyjemnego zabiegu, który musiał wykonać. Bush nie przejawiał ani apetytu, ani wesołości, jak poprzedniego dnia; był to wyraźny skutek gorączki. Lecz po otworzeniu odpływu z rany można było oczekiwać, że szybko wyzdrowieje. Teraz, w wyniku spędzonej bezsennej poprzedniej nocy, Hornblower poczuł się zmęczony, wyrazistość wrażeń zatarła się; tej nocy spał lepiej, budząc się tylko od czasu do czasu, by nasłuchiwać oddechu Busha, i zasypiał znowu przekonawszy się, że jest równy i spokojny.

Rozdział VI

Poczynając od tamtego dnia szczegóły podróży zacierały się i rysowały w pamięci mniej ostro — przedtem miały nienaturalną wyrazistość krajobrazu tuż przed deszczem. Patrząc wstecz na przebytą drogę najłatwiej było sobie przypomnieć rekonwalescencję Busha — powrót do zdrowia od momentu wyjścia szwu z rany. Siły wracały mu tak szybko, że mogło to dziwić każdego, kto nie znał jego żelaznego organizmu i spartańskiego trybu życia, jaki zawsze prowadził. Jeszcze niedawno przy picciu trzeba mu było podtrzymywać głowę, a teraz mógł już siedzieć sam, o własnych siłach.

Hornblower przypominał sobie pewne szczegóły, ale całość była zamglona i niejasna. Pamiętał długie godziny nieustannej — jak mu się wydawało — niepogody, spędzane u okna powozu, kiedy deszcz moczył mu twarz i włosy. Były to godziny melancholii; później Hornblower wspominał je jak ktoś wyleczony z obłąkania wspominałby pustkę dni przeżytych w zakładzie dla umysłowo chorych. Mieszały mu się w myślach wszystkie oberże, w których się zatrzymywali, i lekarze udzielający pomocy Bushowi. Zapamiętał nieubłąganą regularność, z jaką słupy kilometrowe przy stacjach pocztowych wykazywały malejącą odległość między nimi a Paryżem — Paris 525, Paris 383, Paris 287; gdzieś w tamtym punkcie zjechali z Route Nationale Nr 9 na Route Nationale Nr 7. Każdy dzień zbliżał ich do Paryża i śmierci i z każdym dniem Hornblower zapadał głębiej w apatyczną melancholię. Issoire, Clermont-Ferrand, Moulins — odczytywał nazwy mijanych miast nie zachowując ich w pamięci.

Minęła jesień, pozostawiona daleko, w Pirenejach. Tu już nastała zima. Chłodne wiatry wiały

smutno długimi alejami bezlistnych drzew, pola zbrązowiły i opustoszały. Nocą spał głęboko nękany snami, których rano nie pamiętał; dnie spędzał stojąc w oknie powozu i wpatrując się nie widzącymi oczyma w smętny krajobraz, przesłonięty strugami lodowatego deszczu. Wydawało mu się, że spędził lata w przesyconej zapachem skóry atmosferze, z klekotem podków końskich w uszach i dostrzeganą kątem oka krzepką sylwetką Caillarda jadącego na czele eskorty tuż za tylnymi kołami powozu.

Stało się to któregoś z najbardziej ponurych popołudni, jakie dotąd przeżyli, gdy już wyglądało, że Hornblowera nie wyrwie z letargu nawet nagłe i nieoczekiwane zatrzymanie się, co znużony podróżny mógłby powitać jako miłe urozmaicenie w monotonii jazdy. Przyglądał się bezmyślnie, jak Caillard podjeżdża, by spytać o przyczynę; nie obeszło go też to, co pojał z rozmowy, że jeden z koni zaprzęgu zgubił podkowę i całkiem okulał. Obojętnie przyglądał się, jak wyprzęgano nieszczęsne zwierzę, i bez cienia ciekawości słuchał mętnych odpowiedzi kupca wędrującego z objuczonym mułem, którego Caillard wypytywał, gdzie najbliższej do kowala. Dwaj żandarmi żółtym krokiem odeszli w boczną drogę prowadząc okulałe stworzenie, a powóz zaprzężony już tylko w trójkę koni ruszył dalej w stronę Paryża.

Jechali wolno, a etap był długi. Przedtem rzadko im się zdarzało jechać po zapadnięciu zmroku, ale tym razem wyglądało, że noc ich zaskoczy daleko przed najbliższym miastem. Bush i Brown rozmawiali z ożywieniem o tym pechowym zbiegu okoliczności — Hornblower słuchał ich gwarzenia nie słysząc, jak ktoś mieszkający długo w pobliżu wodospadu przestaje już słyszeć szum spadającej wody. Zapadał przedwczesny zmierzch. Niskie czarne chmury spowiły całe niebo, a jęk wiatru w konarach drzew niósł w sobie groźbę. Nawet Hornblower spostrzegł rychło, że ulewa chłoszcząca mu twarz przeszła w deszcz ze śniegiem, a potem w śnieżycę; na wargach poczuł duże płatki i zaczął je zlizywać. Przez okienka mignął żandarm zapalający latarnie przy koźle; miał cały przód płaszcza oblepiony śniegiem połyskującym słabo w nikłym świetle latarni. Wkrótce odgłos kopyt końskich stał się głuchy i przytłumiony, turkot kół niemal ucichł zupełnie, a powóz coraz wolniej przedzierał się przez zasypane śnieżne. Hornblower słyszał, jak woźnica bez litości okłada batem znużone zwierzęta — droga wiodła prosto pod przenikliwy wiatr, i próbowały korzystać z każdej sposobności, by się przed nim uchylić.

Hornblower odwrócił się od okienka ku swoim podkomendnym w głębi wozu — przepuszczany przez przednią szybę słabiutki odblask latarni ledwie pozwolił mu rozróżnić ich niewyraźne sylwetki. Zobaczywszy Busha skurczonego pod wszystkimi swoimi kocami i Browna owiniętego szczelnie płaszczem Hornblower poczuł naraz przejmujący chłód. Bez słowa zamknął okienko powozu narażając się z rezygnacją na cuchnący skórą zaduch wnętrza. Sam nie wiedział, kiedy opuściło go poprzednie otępienie.

— Niech Bóg ma w opiece tych co na morzu w taką noc — przemówił rześko.

W ciemnościach rozległ się śmiech jego towarzyszy — wyczuwszy w nim nutę miłego zaskoczenia Hornblower pojał, że zauważyli, w jak ponurym nastroju był ostatnio, że martwili się tym i że uradowała ich ta pierwsza oznaka powrotu do normalnego stanu. Zadał sobie ze złością pytanie, czego się po nim spodziewają. Nie wiedzieli tego, co on wiedział, że w Paryżu czeka na niego i na Busha śmierć. Cóż pomoże myślenie i martwienie się, gdy pilnuje ich Caillard i sześciu żandarmów? Jakaż mają szansę ucieczki z Bushem, bezradnym kaleką? Nie wiedzieli, że

Hornblower odsunął od siebie wszelką myśl o ucieczce w pojedynkę. Jeśli by się nawet jakimś cudem powiodła, co by pomyślano o nim w Anglii, gdyby przybył tam z wieścią, że porzucił swego zastępcę na pewną śmierć? Mogliby mu współczuć, litować się nad nim, rozumieć motywy, jakie nim kierowały — otrząsnął się na tę myśl; lepiej już stanąć przed plutonem egzekucyjnym u boku Busha, nie zobaczyć więcej Lady Barbary i nigdy nie ujrzeć swego dziecka. I lepiej spędzić resztę dni w apatii niż na szarpaninie wewnętrznej. A jednak wypadek z podkową przerwał monotonię dotychczasowej podróży i wpłynął na niego ożywiające. Śmiał się i gawędził z towarzyszami jak nigdy od chwili, gdy opuścili Beziars.

Powóz włókł się w ciemnościach wśród wycia wichru. Przez okienka z jednej strony już nic nie było widać, gdyż oblepił je śnieg — wewnątrz karety za mało było ciepła, by go stopić. Pojazd przystawał często i wysunąwszy głowę Hornblower widział, że oczyszczają kopyta koni ze śniegu, który się zbijał w lodową powłokę pod podkowami.

— Jeśli od najbliższej stacji pocztowej dzieli nas więcej niż dwie mile — oznajmił siadając na swoim miejscu — dojedziemy tam dopiero w przyszłym tygodniu.

Musieli właśnie wjechać na szczyt niewielkiego wzniesienia, gdyż konie poszły raźniej, prawie kłusem, a powóz trząśnięty i skakał na nierównościach traktu. Nagle z zewnątrz dobiegł chór wrzasków i krzyków.

— He, he, he!

Powóz zawrócił bez ostrzeżenia, zataczając się przeraźliwie, i stanął przechylony niebezpiecznie na jedną stronę. Hornblower skoczył do okna i wyrzwał. Pojazd balansował niebezpiecznie na brzegu rzeki; Hornblower dojrzał czarną wodę niemal tuż pod sobą. W odległości dwóch jardów mała łódź wiosłowa przycumowana do pala miotła się szarpana wiatrem i prądem. Poza tym nic nie było widać w ciemnościach. Jeden z żandarmów podbiegł do koni od przodu; zwierzęta wierzgały zadami i stawały dęba przerażone nagłym pojawieniem się wody przed nimi.

W mroku powóz musiał zjechać z traktu na jakąś boczną drogę prowadzącą do rzeki; woźnica ściągnął cugle koniom o ułamek sekundy przed katastrofą. Z wysokości siodła Caillard obrzucał wszystkich wymysłami.

— Piękny z ciebie furman, niech cię diabli. Czemuś nie wjechał prosto w rzekę, oszczędzając mi kłopotów

z pisaniem raportu na ciebie do twego szefa? Ruszać się, wy tam! Chcecie tu przestać całą noc? Ściągnijcie powóz z powrotem na drogę, durnie.

W ciemnościach śnieg sypał gęsto, rozgrzane latarnie syczały pod osiadającymi na nich płatkami. Woźnica już zapanował nad końmi, żandarmi odsunęli się, strzelił bicz. Konie wierzgały zadami i ślizgały się, szukając oparcia dla kopyt, a powóz dygotał nie ruszając z miejsca.

— Chodźcie no tu! — krzyknął Caillard. — Sierzancie, i wy, Pellaton, trzymajcie konie. Reszta za koła! No już, wszyscy razem. Ciągnąć! Ciągnąć!

Powóz przesunął się o niecały jard i stanął. Caillard klął straszliwie.

— Gdyby ci panowie wyszli z powozu i pomogli — zaproponował któryś z żandarmów — poszłoby łatwiej.

— Mogą, jeżeli nie chcą spędzić nocy w śniegu — odrzekł Caillard; nie zniżył się na tyle, by przemówić wprost do Hornblowera. Przez chwilę Hornblower myślał, czyby mu nie odpowiedzieć, że wprawdzie go diabli wezmą — byłaby w tym jakaś satysfakcja — z drugiej jednak strony nie chciał skazywać Busha na ciężką noc tylko dla własnej przelotnej satysfakcji.

— Idziemy, Brown — powiedział, przełknawszy złość. Brown otworzył drzwiczki i obaj wyskoczyli w śnieg.

Chociaż pojazd stał się teraz lżejszy, a pięciu ludzi ciągnęło z całych sił za szprychy kół, nie mogli posunąć się dalej. Na stromym zjeździe do rzeki porobiły się zasy i wyczerpane konie dreptały w miejscu, w grubej warstwie śniegu.

— Boże, co za kupa niedołęgów! — wściekał się Caillard. — Woźnico, ile stąd do Nevers?

— Sześć kilometrów, sir.

— To znaczy, że tobie się zdaje, że sześć. Dziesięć minut temu zdawało ci się, że jesteś na dobrej drodze, a nie byłeś. Sierżancie, jedźcie do Nevers po pomoc. Odszukajcie mera i w imię cesarza sprowadźcie wszystkich silnych mężczyzn. Ty, Ramel, dojedź z sierżantem do traktu i czekaj tam na jego powrót. W przeciwnym razie mógłby do nas nie trafić. Dalej, sierżancie, na co czekacie? A wy, reszta, uwiążcie konie i zarzućcie im swoje płaszcze na grzbiety. Możecie się rozgrzać odrzucając śnieg z nasypu rzeki. Woźnico, dalej z kozia i pomagaj im.

Noc była niewiarygodnie ciemna. O dwa jardy od latarni powozu nic nie było widać, a wycie wiatru zagłuszało kroki ludzi w śniegu do tego stopnia, że stojąc przy powozie nie słyszeli ich. Hornblower chodził wzdłuż powozu i zabijał ręce, by przywrócić w nich obieg krwi. A przecież ten śnieg i lodowaty wiatr działały dziwnie odświeżająco. W tej chwili nie miał ochoty znaleźć się w ciasnym zaduchu karety. Gdy tak wymachiwał rękami, przyszedł mu do głowy pomysł, który sprawił, że zastygł w pół ruchu, aż w śmiesznej obawie, aby nie odgadnięto jego myśli, zaczął znowu chodzić i zabijać ręce z jeszcze większą energią niż poprzednio. Pod skórą pulsowała gorąca krew, jak zwykle gdy obmyślał swe plany — wówczas na przykład gdy wyprowadził w pole „Natividad” czy kiedy ocalił „Plutona” w czasie sztormu za przylądkiem Creus.

Dotychczas nie było nadziei na ucieczkę bez środka transportu dla bezradnego kaleki; teraz w odległości mniej niż dwudziestu stóp mieli środek idealny — łódkę, szarpiącą się na cumach przy brzegu. W taką noc jak dzisiejsza bardzo łatwo zbłądzić — ale nie łodzią na rzece; w łodzi trzeba się tylko odbić od lądu i dać się porwać prądowi, który poniesie szybciej, niż mógłby iść koń w tych warunkach. Z tym wszystkim był to jednak pomysł absolutnie szalony. Przez ile dni uda im się pozostać nie schwytanym w sercu Francji, dwóm zdrowym mężczyznom i trzeciemu na noszach? Będą marzli, głodowali — może nawet utoną. Ale to była jakaś szansa i nic lepszego już im się nie nadarzy — mógł to Hornblower stwierdzić na podstawie poprzednich obserwacji — od chwili

obecnej do czasu, gdy znajdą się w obliczu plutonu egzekucyjnego w Vincennes. Zauważył, że początkowe podniecenie ustąpiło po podjęciu decyzji i ponury uśmiech rozluźnił napięte mięśnie jego twarzy. Zawsze znajdował coś zabawnego w sytuacjach wymagających bohaterstwa.

Zza powozu wyszedł Brown tupiąc nogami, i Hornblower zwrócił się do niego, starając się przemawiać cicho, ale rzeczowo.

— Uciekamy rzeką w tej łodzi, Brown — powiedział.

— Tak jest, sir — odrzekł Brown głosem tak spokojnym, jakby Hornblower mówił o pogodzie. Hornblower zobaczył w ciemnościach, że głowa jego zwraca się ku niewidocznej prawie postaci Caillarda brodzącego niespokojnie w śniegu wzdłuż powozu.

— Tego trzeba uciszyć — dodał Hornblower.

— Tak jest, sir — Pomyślał przez chwilę i dodał: — Lepiej jak pan mnie pozwoli to zrobić, sir.

— Bardzo dobrze.

— Teraz, sir?

— Tak.

Brown postąpił dwa kroki w stronę nic nie przeczuwającego Caillarda.

— Hej — odezwał się. — Hej, ty.

Caillard odwrócił się twarzą ku niemu i w tym momencie dostał cios w szczękę z siłą wspartą całym ciężarem ciała Browna. Upadł w śnieg, Brown skoczył na niego jak tygrys, za nim Hornblower.

— Skrępcie go jego płaszczem — komenderował szeptem. — Przyduście mu gardło, zanim go rozepnę. Czekaście. Tu jest jego szarfa. Najpierw obwiążcie mu tym głowę.

Brown omotał kilkakrotnie wstęgę Legii Honorowej dookoła głowy nieszczęśnika, przewrócił na twarz wijące się z wściekłości ciało i przygniótłszy je kolanem skrępował ręce na plecach własnym szalem ofiary. Chusteczka Hornblowera wystarczyła do związania nóg w kostkach — Brown mocno zaciągnął węzeł. Złożyli Caillarda wpół, owinęli jego własnym płaszczem i obwiązali pasem od jego własnej szpady. Bush, leżący na noszach w mroku powozu, usłyszał, jak drzwi się otwarły i jakiś ciężar upadł na podłogę.

— Panie Bush — rzekł Hornblower — oficjalne „panie” wróciło automatycznie z chwilą, gdy zaczał działać. — Zamierzamy uciec łodzią.

— Powodzenia, sir — odpowiedział Bush.

— Pana też zabieramy. Brown, chwycicie za tamten koniec noszy. Do góry. Trochę w prawo. Spokojnie.

Bush poczuł, że wydobywają go z powozu razem z noszami i znoszą w dół po śniegu.

— Przyciągnijcie blisko łódź — rzucił Hornblower. — Odciąć cumy. A pan, Bush, niech się owinie kocami. Oto mój płaszcz, niech go pan też weźmie. Proszę robić, co każę, panie Bush. Brown, bierzcie z drugiego końca. Do góry i na rufę. Opuszczają. Teraz wy, Brown, na ławkę dziobową. Wiosła chwyc. Gotowe. Odbijać. Mocno wiosłować.

Upłynęło zaledwie sześć minut od chwili, gdy Hornblowerowi przyszedł do głowy ten pomysł. Teraz byli wolni, niósł ich prąd czarnej jak smoła rzeki, a Caillard z zakneblowanymi ustami leżał związany jak kukła na podłodze powozu. Przez moment Hornblower zastanawiał się, czy Caillard udusi się, zanim go znajdą, i doszedł do wniosku, że jest mu to obojętne. Osobiści adiutanci Bonapartego, zwłaszcza jeśli byli przy tym pułkownikami żandarmerii, muszą liczyć się z ryzykiem wykonując brudną robotę, jakiej może wymagać ich funkcja. Były inne sprawy, nad którymi trzeba się było zastanowić.

— Lżej wiosłować! — syknął do Browna. — Niech ją pochwyci prąd.

Otaczała ich czarna noc. Siedząc na ławce rufowej nie widział nawet powierzchni wody za burtą. Nie wiedział, co to była za rzeka. Ale każda rzeka płynie do morza. Morze! Hornblower skręcił się na swojej ławce z szalonej tęsknoty za smakiem bryz morskich i pokładem kołyszącym się pod stopami. Nie wiedział, czy będzie to Morze Śródziemne, czy Atlantyk, ale jeśli dopisze im szczęście, to płynąc dostatecznie długo z prądem mogą dotrzeć tą łodzią do morza, a morze należy do Anglii i zanieś ich do domu, ku życiu, zamiast ku śmierci, ku wolności, zamiast niewoli, do Lady Barbary, Marii i do jego dziecka.

Wiatr gwizdał dokoła, wpychał mu śnieg za kołnierz — ławki i dno łodzi pokryte były grubą jego warstwą. Poczul, jak łódź skręca pod naporem wichru, który dmuchał mu już nie w policzek, ale prosto w twarz.

— Brown, wykręćcie ją pod wiatr — rozkazał — i wiosłujcie powoli w tym kierunku.

Najpewniejszym sposobem na to, aby prąd ich pochwycił, było zneutralizowanie wpływu wiatru — taka wichura jak ta wkrótce mogłaby rzucić ich na brzeg albo pchać pod prąd; w kompletnych ciemnościach nie można było się zorientować, co się z nimi dzieje.

— Wygodnie panu, Bush? — zapytał.

— Tak jest, sir.

Bush, spowity w szare koce i oblepiony śniegiem, był teraz słabo widoczny z oddalonego o jard miejsca, gdzie siedział Hornblower.

— Może chciałby się pan położyć?

— Dziękuję, sir, wolałbym siedzieć.

Gdy minęło podniecenie samym faktem ucieczki, Hornblower poczuł, że trzęsie się z zimna siedząc na ostrym wietrze bez płaszcza. Miał właśnie powiedzieć Brownowi, że weźmie jedno z wiosła, gdy odezwał się Bush:

— Przepraszam, sir, ale czy pan coś słyszy?

Brown spoczął na wiosłach i zaczęli nasłuchiwać.

— Nie — rzekł Hornblower. — Ależ tak, słyszę, na Boga!

Poprzez szum wichru dobiegał ich odległy monotony ryk.

— Hmmm — mruknął Hornblower z niepokojem.

Ryk stawał się wyraźnie głośniejszy; potem nasilił się tak, że mogli w nim rozpoznać szum spadającej wody. Coś zamajaczyło w ciemnościach obok łodzi; był to kamień ledwie wystający nad wodę, dostrzegalny dzięki wrzącej wokół niego białej pianie. Pojawił się i zniknął w mgnieniu oka, najlepszy dowód szybkości, z jaką mknęła łódź.

— Jezu! — jęknął Brown przy wiosłach.

Łódka kręciła się teraz jak bąk, podskakiwała i miotała na wodzie białej od piany. Ryk bystrzyny był ogłuszający. Nie mogli nic zrobić, tylko siedzieć chwytając się ławek przy podskokach i przechyłach łodzi. Hornblower otrząsnął się z bezradnego ośpienia, które zdawało się ciągnąć pół godziny, a faktycznie trwało chyba nie dłużej niż parę sekund.

— Dajcie mi wiosło — rzucił do Browna. — Wy będziecie odpychać z lewej burty, a ja z prawej.

Namacał wiosło w ciemnościach i wziął je z ręki Browna; łódź zakręciła się jak bąk, przystanęła. Wokół ryczała bystrzyna. Łódka znowu zanurzyła się dziobem, prawą burtą zaczęła o skałę; czując że lodowata woda wdzierająca się z tyłu przez burtę zalewa mu nogi, Hornblower wściekle i na ślepo odepchnął się wiosłem od głazu; poczuł, że łódź ześlizguje się i wykręca, pchnął więc tak silnie, iż wykręciła się bardziej i w następnej chwili przeszli, zwałając się w wodę, która sięgała ławek. Z sykiem przemknął obok jeszcze jeden gład, ale ryk wodospadu już słabnął.

— Chryste! — odezwał się Bush cichym głosem. — Przeszliśmy!

— Nie wiecie, Brown, czy w łodzi jest czerpak? — zapytał Hornblower.

— Tak, sir, jak wsiadałem, natknąłem się na niego.

— Poszukajcie go i wylejcie wodę. Dajcie mi drugie wiosło.

Brown chlupał rękami w zimnej wodzie, aż żał było słuchać, usiłując namacać pływające drewniane naczynie.

— Mam go, sir — zameldował i z miejsca zabrał się do roboty. Usłyszeli regularny plusk wody wylewanej za burtę.

Minąwszy bystrzyny, które pochłonęły na chwilę ich uwagę, znowu przypomnieli sobie o wietrze, i Hornblower skierowawszy dziób łodzi pod wiatr zaczął wolno wiosłować. Jak mogli się przekonać poprzednio, był to najlepszy sposób zdania się na prąd, by niósł łódź w dół rzeki, coraz dalej od pościgu. Sądząc po szybkości, z jaką zostawili za sobą szum bystrzyny, prąd w tej rzece był bardzo szybki — czego zresztą można było oczekiwać, gdyż kilkudniowe deszcze musiały znacznie podnieść poziom wód. Hornblower znowu zaczął się zastanawiać, co to może być za rzeka, tu, w sercu Francji. Rodan był jedyną, z której nazwą był obeznany i która wchodziła w rachubę, ale zdawało mu się, że Rodan powinien być pięćdziesiąt mil czy mniej więcej tyle bardziej na wschód, ta zaś brała prawdopodobnie początek w odludnych Sewennach *, których stokami jechali w ciągu ostatnich dwóch dni podróży. W takim razie powinna płynąć na północ i potem skręcać na zachód, zdążając ku morzu — zatem musi to być Loara albo któryś z jej dopływów. A Loara wpada do Zatoki Biskajskiej pod Nantes, czyli co najmniej czterysta mil stąd. Hornblower zaczął zabawiać się wyobrażaniem sobie rzeki tej długości i perspektywy spłynięcia od jej źródeł aż po ujście w samym środku zimy.

Nieziemski dźwięk z nieokreślonego kierunku przywołał go do rzeczywistości. Gdy starał się zorientować, co to mogło być, dźwięk się powtórzył głośniejszy i wyraźniejszy i łódź zachybotła się i stanęła na moment. Przechodzili nad wystającą z dna skałą, zrzędzeniem Opatrzności przykrytą wodą tak, że tylko otarli się o nią stępką. Tuż przy burcie przemknął w wirze jeszcze jeden głaz, cały pokryty pianą. Minął ich w kierunku od rufy ku dziobowi zdradzając rzecz, którą w panujących wokoło ciemnościach trudno byłoby odkryć w inny sposób, a mianowicie, że na tym odcinku rzeka płynie na zachód, gdyż wiatr był wschodni, a oni wiosłowali na wiatr.

— Będzie ich więcej, sir — zauważył Bush. Już w tej chwili słyszeli wzmagający się ryk wody pośród skał.

— Brown, weźcie wiosło i pilnujcie lewej burty — powiedział Hornblower.

— Tak jest, sir. Już wyczerpałem łódź prawie do sucha — zawołał ochotczo Brown, sięgając po omacku po wiosło. Łódka zachybotwała się znowu, tańcząc po rozszalałej rzece. Hornblower czuł, jak najpierw podnosi się dziób, a potem rufa, gdy wpadli na coś, co wyglądało na pochyły stopień w wodzie; zachwiał się na nogach, a resztką wody na dnie łodzi chlupnęła mu na kostki. Ryk bystrzyny w okalających ich ciemnościach był straszliwy; spieniona woda kipiała po obu stronach łódki, która kręciła się i miotła na wszystkie strony. Nagle coś niewidocznego uderzyło z rozdzierającym trzaskiem w środek lewej burty. Brown bezskutecznie próbował się odepchnąć, Hornblower więc pospieszył mu z pomocą i wspólnymi siłami uwolnili łódź. Znowu nurzali się dziobem i zataczali na boki; Hornblower po omacku znalazł dziurę wybitą w burcie, ale wyglądało, że uszkodzeniu uległy tylko dwie górne klepki — głaz równie łatwo mógł zrobić to samo poniżej linii wodnej. Teraz z kolei stępka się w coś zaplątała, i łódka przechyliła się niebezpiecznie, aż Bush z Hornblowerem upadli na twarze, ale uwolniła się i pomknęła dalej po huczącej wodzie. Szum zaczął cichnąć i jeszcze jedna bystrzyna pozostała za nimi.

— Czy mam znowu wylewać wodę, sir? — spytał Brown.

— Tak. Dajcie mi wasze wiosło.

— Światło z prawej burty, sir! — zauważył Bush.

Hornblower obejrzał się. Zobaczył światełko i drugie blisko obok niego, a dalej jeszcze jedno, ledwie widoczne poprzez śnieżycę. Musiała to być wioska czy miasteczko nad rzeką — miasteczko Nevers, sześć kilometrów, jak mówił woźnica, od miejsca, gdzie wsiedli do łodzi. Przebyli już cztery mile.

— Teraz cisza! — syknął Hornblower. — Brown, przestańcie wyczerpywać.

Mając te światła za drogowskazy w ciemnościach, coś trwałego, stabilnego w tym obłąkanym świecie bezmiernej nieokreśloności, cudownie było czuć się znowu panem swego losu. Wiedział, gdzie góra, a gdzie dół rzeki — wiatr wciąż dał z prądem. Jednym ruchem wiosła skierował łódkę w dół rzeki, prąd i wiatr niosły ją szybko, toteż światła błyskawicznie zostały za nimi. Śnieg oblepiał mu twarz — było rzeczą nieprawdopodobną, aby w taką noc ktoś z miasta mógł ich zauważyć. Łódź na pewno szybciej płynęła z biegiem rzeki, niż mogły iść zdrożone konie żandarmów, których Caillard wysłał przodem. Słuch jego pochwycił znowu ryk wody, jednakże inny niż szum bystrzyny. Obejrzał się i zobaczył przed sobą most majaczący bielą na tle czerni nocy dzięki śniegowi, który nawiało między przęsła. Wiosłował jak szalony, najpierw jednym wiosłem, potem obydwoma, kierując się na środek przęsła; w miarę zbliżania się czuł, jak dziób leci w dół, a rufa idzie w górę — woda spiętrzyła się przed mostem i spadała między przęsłami czarnym rwącym strumieniem. Gdy wpadli w wir pod mostem, Hornblower pochylił się nisko i ciągnął wiosła z całych sił, by rozpędzić łódź i przemknąć przez wiry za filarami, przed którymi ostrzegł go instynkt żeglarza. Korona przęsła otarła się o jego schyloną głowę — tak wysoko podniósł się poziom rzeki. Przez krótką chwilę słyszeli dudniące echo szumu rozszalałej wody odbite od kamiennej konstrukcji mostu. Nawet gdy mieli go już za sobą, Hornblower dalej wiosłował z tym samym szaleńczym wysiłkiem.

Jeszcze jedno światełko na brzegu i znowu ogarnęła ich kompletna ciemność. Stracili

wyczucie kierunku.

— Chryste! — usłyszeli westchnienie Busha, gdy Hornblower przestał wiosłować. W górze wiatr wył wściekle. Od dziobu dobiegł jakiś odgłos, niczym koszmarny chichot.

— Niech Bóg ma w opiece tych co na morzu w taką noc — odezwał się Brown.

— Brown, weźcie się znowu do wylewania, a swoje dowcipne uwagi schowajcie na później — skarcił go Hornblower. Mimo to roześmiał się, chociaż zaszokowały go nieco te słowa prostego marynarza wypowiedziane w obecności kapitana i pierwszego oficera. Głupi nawyk śmiania się w obliczu niebezpieczeństwa lub wielkich trudności zwyciężał nawet teraz, gdy ciągnąc wiosła walczył z wichurą — ze sposobu, w jaki woda uciekała spod piór wiosel, mógł stwierdzić, że łódź silnie dryfuje z wiatrem. Przestał chichotać dopiero, gdy uświadomił sobie, że niecałe dwie godziny temu on sam przypomniał to westchnienie do Boga, by wspierał tych co na morzu w taką noc. Miał wrażenie, że upłynęło już ze dwa tygodnie od czasu, gdy ostatni raz wciągał w nozdrza duszne, cuchnące skórą powietrze wnętrza powozu.

Łódź zaszurała ciężko po żwirze, stanęła, ruszyła, znów podskoczyła i utknęła na dobre. Odpychając wiosłem z całej siły Hornblower nie zdołał ściągnąć jej na wodę.

— Nie ma co, musimy ją zepchnąć — powiedział składając wiosła. Wysiadł z łodzi i wszedł w lodowatą wodę ślizgając się po kamieniach, a Brown obok niego. Stojąc po obu stronach łódki zepchnęli ją bez trudu i wskoczyli z powrotem, a Hornblower spiesznie ujął za wiosła, by skierować ją przeciw wiatrowi. Ale już w parę sekund później znaleźli się znowu na mieliźnie. Zaczął się koszmarny okres. W ciemnościach Hornblower nie umiał się zorientować, czy trudności były skutkiem naporu wiatru spychającego ich na brzeg, czy tego, iż rzeka zakreślała tu szeroki łuk, czy też może faktu, że wpłynęli niechcący w płytką odnogę. Tak czy owak musieli wciąż wyłazić z łodzi i spychać ją z mielizny. Ślizgali się i potykali o niewidoczne kamienie wpadając po pachy w niewidoczne doły i kalecząc się w tej opętańczej zabawie w ciuciubabkę ze zdradziecką rzeką. Panował przejmujący chłód; burty pokryły się lodem. Zajęty łodzią Hornblower myślał z obawą o Bushu, który leżał na rufie owinięty w płaszcz i koce.

— Jak tam z panem, Bush? — zapytał.

— W porządku, sir — odparł Bush.

— Ciepło panu?

— Tak jest, sir. Pan wie, sir, teraz może mi się zamoczyć tylko jedna noga.

Na pewno udaje tylko dobry humor, pomyślał Hornblower z nogami po kostki w rwącej wodzie, przeciągając łódź przez niewidoczne płycizny. Chociaż ma koce, musi być porządnie przemarznięty i przemoczony, a przecież to rekonwalescent, którego powinno się trzymać w łóżku. Może im zemrzeć jeszcze tej nocy. Niespodziewanie łódź ruszyła gwałtownie naprzód, Hornblower zatoczył się do tyłu i wpadł po pas w lodowatą wodę. Przewiesił się przez burtę, a Brown, który musiał się skąpać od stóp do głów, wynurzył się z chlupotem z drugiej strony. Obaj chwycili

skwapliwie za wiosła, by rozgrzać się na tym wietrze przejmującym do szpiku kości.

Prąd pociągnął ich w wir i wyrzucił na przybrzeżne zarośla, chyba wierzbowe. Gałęzie, w które się wplątali, sypały na nich śniegiem, drapały, chłostały i trzymały łódź mocno, aż macając w ciemnościach znaleźli przeszkodę i odsunęli ją na bok. Gdy wydostali się z uchwytu wiklin, Hornblower pomyślał, że z dwojga złego woli już podwodne głazy i zachichotał szcękając zębami. Oczywiście niewiele czasu minęło, a dostali się znów wśród skały; w tym miejscu była widocznie jakaś mała bystrzyna, którą rzeka toczyła się po kamieniach między skalistymi brzegami.

Hornblower zaczynał powoli nabierać wyobrażenia o charakterze tej rzeki — długie odcinki bystro płynącej wody przeplatały wąskie i kręte przesmyki usłane głazami. Ich łódź była najprawdopodobniej budowana blisko miejsca, w którym ją znaleźli, by służyła okolicznym rolnikom za prom na tym wolnym od przeszkód odcinku, skąd zaczęli swą wyprawę, i pewnie dotąd nie oddalała się o więcej niż pół mili od miejsca zacumowania. Odpychając się od skały Hornblower pomyślał, że po tej przeprawie chyba już tam nigdy nie wróci.

Za bystrzyna nastąpił dłuższy odcinek bez przeszkód — Hornblower nie umiałby powiedzieć jak długi. Wyteżali oczy, by dostrzec ośnieżony brzeg, zanim zbliżą się do niego na odległość jaru, i pilnowali, by nie dopuszczać łodzi tak blisko. Starali się odgadywać bieg nurtu rzeki w stosunku do kierunku wiatru, gdyż płynąc środkiem wolnego od przeszkód toru wodnego mogli mocniej wiosłować bez obawy wejścia na mieliznę. Śnieżyca już prawie ustała i teraz sypał się na nich śnieg zdmuchiwany przez wiatr z gałęzi lub porywany z zasp. Wciąż było zimno, cała łódź była oblodzona — deski podłogi stały się oślizłe, z wyjątkiem miejsc, gdzie opierali pięty w czasie wiosłowania.

Dziesięć minut takiego tempa przeniesie ich jeszcze o milę w dół rzeki lub dalej — na pewno dalej. Nie umiał powiedzieć, jak długo płynęli, ale mógł być pewny, że z powodu śniegu pokrywającego całą okolicę znacznie wyprzedzili ewentualną pogoń, i im dłużej będzie się ciągnął ten wspaniały pozbawiony głazów odcinek, tym będą bezpieczniejsi. Wiosłował jak opętany, a Brown u dziobu sprawiał się równie dzielnie.

— Bystrzyny przed nami, sir — odezwał się Bush po jakimś czasie.

Przestawszy wiosłować Hornblower dosłyszał z dala znajomy ryk wody przelewającej się przez skały; tempo, w jakim się dotąd posuwali, było zbyt szybkie, aby mogło trwać długo, i wkrótce będą znów miotać się wśród głazów, to lecąc dziobem w dół, to podskakując w górę.

— Brown, przygotujcie się do odpychania z bakburty — rozkazał.

— Tak jest, sir.

Hornblower siedział na ławce z wiosłem uniesionym w górę; woda za burtą była czarna i lśniąca. Poczul, że łódź się obraca. Prąd znosił ją chyba na jedną stronę, co było im na rękę. Tam, gdzie płynął główny nurt, było prawdopodobnie najmniej niebezpieczne przejście przez progi. Ryk wodospadu nasilał się.

— Na Boga! — krzyknął przerażony Hornblower. Wstał, by spojrzeć przed siebie.

Szum spadającej wody brzmiał tu zupełnie inaczej, ale różnicę wyczuł dopiero, gdy byli zbyt blisko, by ująć niebezpieczeństwo. Nie była to bystrzyna, jakich parę mieli już za sobą, ale jeszcze groźniejsza, choć prymitywna tama na rzece — utworzona przez naturalny występ poprzeczny, na którym zatrzymały się toczące łóżyskiem kamienie, albo też stanowiąca dzieło rąk ludzkich. Umysł Hornblowera rozważał te hipotezy jeszcze w momencie, gdy mijając uskoki łódź wyskoczyła w powietrze. Woda przelewała się przez przeszkodę na całej szerokości, a tutaj wznosiła się szerokim wałem, gładkim w górze, w dole wpadającym w spieniony chaos. Łódź w zawrotnym tempie wyleciała na szczyt wału i poszła w dół po spadzie z szybkością strzały. Stroma, nieruchoma fala u stóp wodospadu odbiła spadającą w nią z trzaskiem łódkę jak nieustępliwy mur.

Hornblower znalazł się pod wodą; dławił się, w uszach wciąż miał huk wodospadu, a w mózgu szalony wir myśli. Woda wlokła go bezlitośnie po kamienistym dnie. Poczuł ból w rozsadzanych ciśnieniem płucach. To była męka — męka nie do zniesienia. Odetchnął znowu — jeden haust powietrza palący krtań jak ogniem i znowu poszedł w dół, na głazy na dnie rzeki, i ucisk w piersiach nasilił się jeszcze bardziej. Znowu szybki haust powietrza — oddychanie było równie bolesne jak duszenie się. Leciał to w górę, to w dół, z uszami pękającymi od huku i zawrotem w głowie. Dudnienie głązów toczących się ze zgrzytem po dnie obok niego było potężniejsze niż wszelkie słyszane kiedykolwiek uderzenia gromu. Jeszcze jeden łyk powietrza — trzeba było się zmusić, by je wciągnąć, gdyż łatwiej byłoby nie oddychać, pozwolić, by ból w piersiach strawił go na śmierć.

I znowu na dno, w huk i udrękę podwodnej otchłani. Dzięki błyskawicznej pracy mózgu uprzytomnił sobie, co się z nim dzieje. Dostał się w wir pod tamę, był wyrzucany przez prąd na powierzchnię, spychany w przeciwną stronę i wleczony po dnie; potem znowu woda wypluwała go w górę, gdzie miał sekundę na złapanie oddechu, i wciągała z powrotem w wir. Tym razem przygotował się, aby przy następnej okazji do oddechu odpłynąć nieco w bok, chociaż na odległość trzech ruchów. Kiedy woda wessała go znowu w dół, ból w piersi nasilił się niepomiarowo, a do tego nagle poczuł przejmujący ból skostniałych kończyn. Trzeba było całego wysiłku woli, aby zmusić się do zaczerpnięcia następnego oddechu i kontynuowania prób odpłynięcia w bok, gdy nadarzała się odpowiednia chwila. Jeszcze raz w głąb; gotów był umrzeć, chciał, pragnął umrzeć, byle położyć kres cierpieniom. W ręce wpadł mu odłamek deski z gwoździami sterczącymi z jednego końca. Musiała to być klepka łodzi, rozbitej w drzazgi, wirująca w kółko, tak jak on. Wtedy raz jeszcze zapaliła się w nim iskierka decyzji. Wyniesiony na powierzchnię zaczerpnął powietrza i zaczął płynąć ku brzegowi, czekając z obawą, kiedy znowu woda pociągnie go w dół. I o dziwo, miał czas na drugi oddech i trzeci. Teraz pragnął żyć, tak bosko smakowały te hausty powietrza łatwo wpływające do płuc. Ale taki był znużony i senny. Gdy spróbował stanąć, poczuł, że woda podbija mu nogi, i w obłądnym przerażeniu zaczął bić wokoło rękami i czołgać się na czworakach po płyciźnie. Podniósł się, zrobił dwa kroki i padł twarzą w śnieg, ze stopami w płynącej bystro wodzie.

Ocknął się na dźwięk głosu ludzkiego. Uniósłszy głowę dojrzał ciemną postać majaczącą w odległości jarda czy dwóch, która darła się głosem Browna.

— Hej! Kapitanie! Kapitanie! Och, kapitanie!

— Tu jestem — stęknął Hornblower, i Brown podszedł, i przyklękawszy schylił się nad nim.

— Bogu dzięki, sir — powiedział, a potem głośniejszym głosem: — Panie Bush, kapitan jest tutaj.

— To dobrze! — odpowiedział słaby głos z odległości pięciu jardów.

Hornblower przemógł słabość i usiadł. Skoro Bush żyje, trzeba się nim natychmiast zająć. Jest pewnie nagi i mokry, i leży w śniegu wystawiony na ten przenikliwy wiatr. Hornblower dźwignął się na nogi, zachwiał, uchwycił ramienia Browna i stał z szumem w głowie.

— Tam, w górze, widać światło — odezwał się Brown ochrypłym głosem. — Miałem tam iść, gdyby pan nie odpowiedział na moje wołanie.

— Światło?

Hornblower przyłożył dłoń do czoła tworząc z niej daszek nad oczami i wpił wzrok w brzeg nad nimi. Istotnie, było to słabe światełko w odległości może stu jardów. Iść tam znaczyło poddać się — taka była pierwsza reakcja mózgu Hornblowera. Ale pozostanie tu oznaczało śmierć. Nawet gdyby cudem udało im się rozniecić ogień i przetrwać noc, zostaliby schwytani rano — a Bush na pewno by umarł. Niewielka szansa ocalenia życia, gdy planował ich ucieczkę z powozu, teraz się rozwiązała.

— Zaniesiemy tam pana Busha — zdecydował.

— Tak jest, sir.

Pobrnęli przez śnieg do miejsca, gdzie leżał Bush.

— Bush, na samym brzegu stoi dom. Zaniesiemy tam pana.

Hornblower był zdziwiony, że jest w stanie mówić i myśleć w tak wielkim wyczerpaniu; ta zdolność wydawała mu się rzeczą nierealną, jak z urojenia.

— Tak jest, sir.

Schylili się i wzięli Busha między siebie, podkładając mu ręce pod kolana i plecy. Bush objął ich ramionami za szyję, a gdy go podnieśli, z flanelowej koszuli nocnej pociekła woda. Potem rozpoczęli swój mozolny marsz brzegiem po kolana w śniegu ku odległemu światełku.

Potykali się na przeszkodach przykrytych zaspami. Ślizgali się i obsuwali. Wreszcie zjechawszy na dół pochyłością nadbrzeża przewrócili się wszyscy, a Bush wydał okrzyk bólu.

— Zabolało, sir? — spytał Brown.

— Uraziłem się w kikut. Kapitanie, zostawcie mnie tutaj i przyślijcie pomoc z tego domu.

Hornblower był jeszcze w stanie myśleć. Nie obciążeni Bushem mogli dostać się do domu nieco szybciej, ale wyobraził sobie zwłokę, jaka nastąpi, gdy zapukają do drzwi — wyjaśnienia, których będzie musiał udzielać swoją słabą francuszczyzną, wahania i strata czasu, zanim dopnie, że

ktoś się ruszy, by odszukać Busha, a on tymczasem będzie leżał w śniegu mokry i nagi. Po kwadransie byłby z niego trup, a kto wie, czy nie przyjdzie mu czekać dwa razy tyle. Niewykluczone zresztą, że w domu nie zastaną nikogo zdanego do pomocy.

— Nie — odparł Hornblower pogodnie. — To tylko mały kawałeczek. Bierzcie go, Brown.

Przez śnieg brnęli chwiejnym krokiem ku światłu. Bush był ciężki — Hornblowerowi głowa chwiała się ze zmęczenia i miał uczucie, jakby mu ramiona wyrywano ze stawów. Lecz w umęczonym ciele kołatał się duch wciąż żywy i niespokojny.

— Jak wydostaliście się z rzeki? — spytał głosem, który zabrzmiał głucho i nienaturalnie w jego własnych uszach.

— Prąd od razu zniósł nas na brzeg, sir — odpowiedział Bush nieco zaskoczony. — Ledwie zdążyłem skopać z siebie koce, już rzuciło mnie na skałę, ale Brown znalazł się zaraz obok i wyciągnął mnie.

— Aha — mruknął Hornblower.

Wezbrana rzeka zachowała się bardzo kapryśnie. Dzielił ich tylko jard, gdy wszyscy trzej wpadli do wody, i jego wciągnęło w głąb, a ich wyniosło w bezpieczne miejsce. Nie domyślali się, jak desperacko walczył o życie i nigdy się nie dowiedzą, gdyż nie potrafi im o tym powiedzieć. Przez moment poczuł gorzkie ukłucie żalu do nich, spowodowane znużeniem i wyczerpaniem. Dyszał ciężko i czuł, że oddałby majątek, by móc się pozbyć ciężaru i odpocząć kilka minut; lecz duma nie pozwalała mu na to i szli dalej przez śnieg, potykając się o nierówności gruntu. Wreszcie zbliżyli się do świateł.

Usłyszeli ciche badawcze szczekanie psa.

— Zawołajcie do nich, Brown — powiedział Hornblower.

— Halo! — krzyknął Brown. — Hej, wy tam w domu, halo!

Momentalnie rozległo się głośnie ujadanie dwóch psów.

— Halo! — zawołał Brown jeszcze raz i pobrnęli dalej. W drugiej części domu też pojawiło się światło. Wyglądało, że są teraz w jakimś ogrodzie; Hornblower czuł, jak w śniegu trzeszczą pod stopami rośliny, a kolce drzewa różanego rozdarły mu nogawkę spodni. Psy czekały zajadle. Nagle z ciemnego okna na górze dobiegło ich wołanie.

— Kto tam? — zapytano po francusku.

Hornblower wysilił swój zmęczony mózg, by znaleźć słowa odpowiedzi.

— Trzech ludzi — odparł. — Ranni.

To było wszystko, na co mógł się zdobyć.

— Podejdźcie bliżej — powiedział ten sam głos. Pokuśtykali więc naprzód, zjechali po niewidocznej pochyłości i zatrzymali się w prostokacie światła rzucanego przez wielkie okno na parterze, z Bushem w koszuli nocnej podtrzymywanym ramionami pozostałych dwóch oberwańców.

— Kim jesteście?

— Jeńcy wojenni — odpowiedział Hornblower.

— Proszę zaczekać chwilę — rzekł uprzejmie ten sam głos.

Stali w śniegu dygocząc, aż otwarły się drzwi przy oświetlonym oknie ukazując jasny prostokąt światła i sylwetki ludzi.

— Wejdźcie, panowie — powiedział uprzejmy głos.

Rozdział VII

Otwarte drzwi prowadziły do wyłożonego kamiennymi płytami hallu; wysoki szczupły mężczyzna w niebieskim surducie i połyskującym białym krawacie czekał, by ich powitać, a obok niego, w świetle lampy, stała młoda kobieta w wydekoltowanej sukni. Było tam jeszcze troje ludzi — dwie służące i kamerdyner, tak przynajmniej przypuszczał Hornblower wchodząc do hallu ugięty pod brzemieniem ciężaru Busha. Na bocznym stoliku światło lampy ukazało wyłożone kością słonową rękojeści pary pistoletów, najwidoczniej odłożonych tam przez gospodarza, gdy uznał, że jego nocni goście są nieszkodliwi. Hornblower i Brown przystanęli, obdarci, rozczochrani i oblepieni śniegiem, a woda pociekła na podłogę z ich przemokłych ubrań; między nimi był Bush z jedną stopą w szarej skarpetce z grubej wełny wystającą spod flanelowej koszuli nocnej. Wrodzona przywara Hornblowera omal znowu nie zatriumfowała i z wielkim trudem powstrzymał się, by nie zachichotać na myśl, jak też ci ludzie tłumaczą sobie pojawienie się w taką śnieżną noc kaleki w koszuli nocnej.

Jednakże gospodarz domu był na tyle opanowany, że nie okazał zaskoczenia.

— Proszę wejść, proszę — powiedział. Położył dłoń na drzwiach i zaraz ją cofnął. — Będziecie, panowie, potrzebowali lepszego ognia niż w salonie na kominku. Feliksie, proszę wskazać panom drogę do kuchni — mam nadzieję, że wybaczycie mi, panowie, że was tam przyjmuję? Tędy, panowie. Krzesła, Feliksie, i proszę odesłać pokojówki.

Była to obszerna izba o niskim stropie, wyłożona jak hall, płytami kamiennymi. Panujące w niej miłe ciepło wydawało się rajem; w piecu dopalał się ogień, a wokół migotały i lśniły przybory kuchenne. Kobieta bez słowa dorzuciła polan na ogień i zaczęła rozdmuchiwać go mieszkciem. Hornblower zauważył połysk jej jedwabnej sukni; wysoko upięte włosy miały złocisty, niemal kasztanowaty odcień.

— Marie, kochanie, czy Feliks nie może tego zrobić? A więc dobrze, jak chcesz — powiedział gospodarz. — Siadajcie, panowie. Feliksie, wina.

Opuścili Busha na krzesło przed ogniem. Zwiślał z niego i chwiał się, tak że musieli go

podeprzeć, pan domu kiwał głową ze współczuciem.

— Niech Feliks szybko poda szklanki i potem zajmie się łózkami. Szklaneczkę wina, sir? I dla pana, sir? Bardzo proszę.

Kobieta, do której mówił „Marie”, podniosła się z kolan i wyszła cichutko, ogień buzował pod baterią ogromnych garnków i rożnów do pieczenia mięsa. Mimo to w swoim ociekającym wodą ubraniu Hornblower nie mógł opanować dygotania. Nie pomogła wypita szklanka wina; dłoń, którą oparł o ramię Busha, drżała jak liść.

— Będzie pan potrzebował suchego ubrania — powiedział gospodarz. — Jeśli pan pozwoli, ja...

Przerwało mu wejście kamerdynera i Marie niosących naręcza odzieży i koców.

— Świetnie! — zawołał. — Feliksie, proszę się zająć panami. Chodź, moja droga.

Feliks ogrzewał jedwabną koszulę nocną przed ogniem, a tymczasem Hornblower i Brown ścigali z Busha mokrą bieliznę i rozcierali go ręcznikiem.

— Myślałem, że już się nigdy nie rozgrzeję — odezwał się Bush, gdy wysunął głowę przez kołnierz koszuli. — A pan, sir? Nie trzeba było się mną przejmować. Może się pan teraz przebierze, sir? Ja czuję się dobrze.

— Najpierw dopilnujemy, żeby pan miał wszystko, co trzeba — odpowiedział Hornblower. Czuł niepohamowaną perwersyjną przyjemność w zajmowaniu się Bushem zamiast sobą. — Niech no zobaczę pańską nogę.

Pozszywany, tępo zakończony kikut wyglądał całkiem zdrowo. Gdy Hornblower ujął go ręką, nie poczuł gorąca i nie widać też było zaczerwienienia ani wycieku ropy z blizn. Feliks znalazł kawałek płótna, którym Hornblower obwiązał kikut, a Brown owinął Busha w koc.

— Brown, podnieście go. Połóżymy go do łóżka.

Wyszędłszy do owego wyłożonego kamiennymi płytami hallu przystanęli nie wiedząc, dokąd iść, gdy nagle z drzwi po lewej stronie wyszła Marie.

— Tutaj — powiedziała; jej głos miał szorstkie kontraltowe brzmienie. — Dla rannego przygotowałam łóżko na parterze. Myślę, że tak będzie wygodniej.

Jedna ze służebnic — stara zasuszona kobieta — wyjmowała właśnie grzałkę spod prześcieradeł; druga wkładała do łóżka butelki z gorącą wodą. Hornblower był pod wrażeniem nacechowanego praktycznością zachowania się Marie. Z miernym powodzeniem próbował dziękować jej po francusku, gdy kładli Busha na łóżko i przykrywali go.

— Dobrze, o jak dobrze, dziękuję, sir — mówił Bush.

Zostawili go z płonącą świecą przy łóżku — Hornblowerowi stało się teraz nagle okropnie pilno, by pozbyć się mokrej odzieży przed ogniem buzującym w kuchni. Wytarł się ciepłym ręcznikiem i wśliznął w ciepłą wełnianą koszulę; stojąc przed płomieniem, który przypiekał obnażone nogi, wypił drugą szklankę wina. Zmęczenie i chłód przestały mu dokuczać, poczuł przyływ animuszu i lekkość umysłu. Feliks przykucnął przed nim podając spodnie; włożył w nie nogi i pozwolił, aby Feliks wsunął mu końce koszuli i zapiął guziki — po raz pierwszy od czasów dzieciństwa pomagano mu wkładać spodnie, ale tego wieczora wydało mu się to zupełnie naturalne. Feliks przykucnął znowu, by włożyć mu skarpety i buty, a potem podniósł się, by zawiązać fularowy krawat i pomóc przy wkładaniu kamizelki i surduta.

— Monsieur le Comte i Madame la Vicomtesse oczekują pana w salonie — oznajmił Feliks. Rzecz dziwna, jak bez słowa wyjaśnienia Feliks uznał, że Brown należy do niższej klasy społecznej. Wskazywała na to nawet odzież, jaką mu podał.

— Rozgoście się tu, Brown — powiedział Hornblower.

— Tak jest, sir — odparł Brown stając na baczność, z czarnymi włosami w kompletnym nieładzie — tylko Hornblower miał na razie możliwość użycia grzebienia.

Hornblower zajrzał do Busha; który spał już pochrapując lekko. Wyglądało, że nie ucierpiał wcale wskutek przymusowej kąpieli i przebywania na mrozie — jego żelazny organizm musiał przywyknąć do wilgoci i chłodu w czasie dwudziestu pięciu lat służby na morzu. Hornblower zdmuchnął świecę, zamknął cicho drzwi i gestem dał znak kamerdynerowi, by go poprowadził. Przed drzwiami salonu Feliks zapytał Hornblowera o nazwisko i Hornblower z dziwną ulgą słuchał nieudanej próby zaanonsowania go poprawną wymową — przywróciło to w jego oczach Feliksowi cechy człowieczeństwa.

Pan i pani domu siedzieli po obu stronach kominka w drugim końcu komnaty. Hrabia podniósł się na jego przywitanie.

— Bardzo mi przykro — powiedział — ale nie dosłyszałem nazwiska wypowiedzianego przez mego majordomusa.

— Kapitan Horatio Hornblower, dowódca „Sutherlanda”, okrętu jego brytyjskiej królewskiej mości.

— Jest mi niezmiernie miło poznać pana, kapitanie — odrzekł hrabia, omijając trudności wymowy ze zręcznością, jakiej można było oczekiwać od przedstawiciela starej klasy. — Jestem Lucien Antoine de Ladon, Comte de Gracay.

Mężczyźni wymienili ukłony.

— Pozwoli pan, że przedstawię go mojej synowej? Madame la Vicomtesse de Gracay.

— Moje uszanowanie pani — rzekł Hornblower raz jeszcze pochylając się w ukłonie i wtedy poczuł się jak nieokrzesany prostak, wypowiedział bowiem instynktownie odpowiednią do sytuacji

formułkę angielską. Szukał spiesznie w myśli stosownego zwrotu francuskiego, by wreszcie bąknąć z zakłopotaniem: — Enchante.

Wicehrabina miała czarne oczy ostro kontrastujące z jej prawie kasztanowymi włosami. Była silnie zbudowana — można by nawet powiedzieć krępa, w wieku około trzydziestu lat, odziana w czarny jedwab odsłaniający jej pełne białe ramiona. Wykonując głęboki ukłon spojrzała mu w oczy bardzo przyjaźnie.

— A jak się nazywa ten ranny dżentelmen, którego mamy zaszczyt gościć? — spytała; nawet dla nieprzywykłego ucha Hornblowera jej francuszczyzna brzmiała inaczej niż hrabiego.

— Bush — odpowiedział Hornblower — z trudem pojawiwszy treść pytania. — Pierwszy oficer z mojego okrętu. Mego służącego, Browna, zostawiłem w kuchni.

— Feliks dopilnuje, żeby miał wszystko, co potrzeba — wtrącił hrabia. — A jak pan się czuje, kapitanie? Może by pan coś zjadł? Wypił? Szklaneczkę wina?

— Dziękuję, nic — odparł Hornblower. Po niezwykłych przeżyciach dnia nie czuł się głodny, chociaż nie jadł od południa.

— Nic, pomimo trudów pańskiej podróży?

Nie można było uczynić delikatniejszej aluzji do nagłego przybycia Hornblowera poprzez śnieg, wyczerpanego i przemokłego do suchej nitki.

— Nic, dziękuję — powtórzył Hornblower.

— Nie zechciałby pan usiąść, kapitanie? — spytała wicehrabina.

Wszyscy troje zajęli miejsca.

— Wybacz mi pan, mam nadzieję — ciągnął hrabia — że będziemy dalej rozmawiali po francusku. Ostatni raz miałem okazję używać angielskiego dziesięć lat temu, a i wówczas mówiłem marnie, moja synowa zaś wcale nie zna tego języka.

— Bush — odezwała się wicehrabina. — Brown. Te nazwiska potrafię wymówić. Ale pańskie, kapitanie, jest trudne. Orrenblor... nie wymówię tego.

— Bush! Orrenblor! — wykrzyknął hrabia, jakby sobie o czymś przypomniawszy. — Przypuszczam, że wie pan, kapitanie, co gazety francuskie pisały o was ostatnio.

— Nie — odparł Hornblower. — Ale chciałbym wiedzieć, bardzo.

— Przepraszam, za chwilę.

Hrabia wziął świecę i zniknął w drzwiach; wrócił na tyle szybko, by wybawić Hornblowera od skrępowania żenującym milczeniem, jakie zapadło w salonie.

— Oto ostatnie numery „Moniteura” — powiedział hrabia. — Muszę z góry przeprosić, kapitanie, za to, co tam piszą.

Podał gazety Hornblowerowi, wskazując odpowiednie ustępy. Pierwszy oznajmiał krótko, że komunikat przesygnalizowany[5] właśnie z Perpignan informuje Ministerstwo Marynarki o wzięciu do niewoli pod Rosas angielskiego okrętu liniowego. W następnym numerze temat potraktowano szerzej, opisując szczegółowo w triumfalnych słowach, jak to studziałowy okręt „Sutherland”, dokonujący pirackich wyczynów na Morzu Śródziemnym, spotkał się z zasłużoną odprawą ze strony floty tulońskiej dowodzonej przez admirała Cosmao. Został wzięty przez zaskoczenie, opanowany i „tchórzliwie ściągnął z masztu flagę perfidnego Albionu, pod którą dokonał tylu nikczemnych zbrodni”. Francuska opinia publiczna została zapewniona, że opór był bardzo słaby, potwierdzeniem czego jest fakt, że w czasie kanonady tylko jeden francuski okręt utracił stengę. Bitwa odbywała się na oczach tysięcy hiszpańskiego motłochu i będzie zbawienną lekcją dla tych nielicznych pośród nich, którzy zbałamuceni kłamstwami angielskimi lub skuszeni złotem brytyjskim żywią jeszcze naiwne zamiary oporu wobec swego prawowitego króla Józefa[6].

Inny artykuł podawał, że wraz z „Sutherlandem” poddał się zbrodniczy kapitan Hornblower i jego równie podły porucznik Bush, który był jednym z niewielu rannych w tej potyczce. Wszyscy miłujący pokój obywatele francuscy, którzy ucierpieli wskutek ich pirackich grabieży, mogą być pewni, że sąd wojenny zbada niezwłocznie popełnione przez nich zbrodnie. Zbyt długo dzisiejsza Kartagina wysyłała swoich pachołków, aby bezkarnie wykonywali jej nikczemne plany! Wkrótce wina ich zostanie ukazana światu, i będzie można bez trudu odróżnić prawdę od podłych łgarstw, które tak uporczywie szerzyły zatrute pióra opłacane przez Canninga[7]. Jeszcze inny artykuł oświadczał, że w wyniku wielkiego zwycięstwa admirała Cosmao nad „Sutherlandem” pod Rosas ustały działania angielskiej marynarki wojennej u wybrzeży Hiszpanii, brytyjska zaś armia Wellingtona, tak nieopatrznie postawiona przeciwko potędze wojsk francuskich, już cierpi poważnie na brak zaopatrzenia. Straciwszy jednego nędznego zbrodniarza w osobie obmierzłego Hornblowera perfidny Albion utraci rychło drugiego, po nieuniknionym poddaniu się Wellingtona.

Hornblower czytał te bzdurne słowa z bezsilną wściekłością. „Studziałowy okręt”, zaiste, gdy w istocie „Sutherland” miał tylko siedemdziesiąt cztery armaty i był chyba najmniejszą jednostką swojej klasy! „Bardzo słaby opór”! „Jeden utracił stengę”! „Sutherland”, zanim się poddał, rozbił trzy okręty większe od siebie, że zostały z nich wraki, a czwarty pozbawił zdolności pływania. „Jeden z niewielu rannych”! Dwie trzecie załogi „Sutherlanda” straciło życie lub zostało kalekami i na własne oczy widział krew lejącą się otworów odpływowych francuskiego okrętu flagowego. „Ustały działania angielskiej marynarki wojennej”! Ani słowa o tym, że w dwa tygodnie po wzięciu „Sutherlanda” cała eskadra francuska została rozbita w czasie ataku nocnego na zatokę Rosas.

Jego honor został zaatakowany; wypisano też cały stek łgarstw — pobieżna wzmianka o utraceniu jednej tylko stengi nosiła wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Europa łatwo mogła uwierzyć, że był zarówno tchórzem, jak i piratem, a on nie miał najmniejszej możliwości zaprzeczenia temu. Nawet w Anglii muszą dać jakiś posłuch takim doniesieniom — większość komunikatów „Moniteura”, szczególnie dotyczących spraw marynarki wojennej, była przedrukowywana w prasie angielskiej. Lady Barbara, Maria, jego koledzy kapitanowie muszą się w tej chwili zastanawiać, ile jest prawdy w wiadomościach z „Moniteura”. Chociaż świat miał już możliwość poznać skłonność

Bonapartego do przesady, trudno się spodziewać, żeby ludzie zdawali sobie sprawę, iż w tym wypadku wszystko, co zostało powiedziane — z wyjątkiem samego stwierdzenia o poddaniu się — było wyssane z palca. Ręce mu drżały z wściekłości i gdy podniósłszy wzrok spotkał spojrzenia pozostałych, czuł, jak gorący rumieniec oblewa mu policzki. W stanie takiego rozdrażnienia sprawiało mu trudność przypomnienie sobie tych niewielu francuskich słów, jakie znał.

— To kłamca! — wykrztusił w końcu. — On mnie znieważa!

— On znieważa każdego — powiedział hrabia łagodnie.

— Ale to... ale to — zająknął się Hornblower i dał za wygraną. Przypomniawszy sobie, że podczas pobytu w niewoli w Rosas był świadom, iż Bonaparte opublikuje triumfalne sprawozdania na temat zdobycia „Sutherlanda”, i teraz, gdy je dostał do ręki, wyrazem słabości byłoby dać się przez nie wyprowadzić z równowagi.

— Wybacz pan, jeśli zmienię temat — zapytał hrabia — i zadam panu kilka osobistych pytań?

— Oczywiście.

— Przypuszczam, że uszedł pan eskorcie wiozącej pana do Paryża?

— Tak — odparł Hornblower.

— W którym miejscu?

Hornblower zaczął wyjaśniać, że było to z sześć kilometrów od Nevers, tam, gdzie droga boczna dochodzi do skraju rzeki po jej drugiej stronie. Szukając słów opisał warunki ucieczki, obezwładnienie pułkownika Caillarda i szaloną podróż rzeką w ciemnościach.

— Jak wnioskuję, musiało to się stać o szóstej po południu? — zapytał hrabia.

— Tak.

— Teraz mamy dopiero północ, a panowie przebyliście dwadzieścia kilometrów. Nie ma najmniejszego prawdopodobieństwa, aby przed upływem jakiegoś czasu eskorta zaczęła was szukać aż tutaj. To chciałem wiedzieć. Będzie pan mógł, kapitanie, spać spokojnie tej nocy.

Hornblower uświadomił sobie ze zgrozą, że od początku uznał, iż będzie mógł spać spokojnie, bez obawy natychmiastowego ujęcia go przez pościg. Zbyt przyjazna atmosfera panowała w tym domu, by mógł czuć inaczej. Słowa hrabiego sprawiły, że zaczął w to wątpić.

— Czy ma pan zamiar po-powiedzieć policji, że tu jesteśmy? — zapytał; było piekielnie trudno mówić w obcym języku, tak aby nie urazić rozmówcy.

— Wprost przeciwnie — odparł hrabia. — Jeśli spytają, powiem, że pana tu nie ma. I mam nadzieję, kapitanie, że w tym domu będzie się pan czuł jak u przyjaciół i że zostanie pan tu tak długo, jak pan uzna za stosowne.

— Dziękuję, sir. Dziękuję bardzo — mówił Hornblower jękając się.

— Mogę dodać — ciągnął hrabia — że dzięki pewnym okolicznościom — to zbyt długa historia, żeby ją tu opowiadać — władze na pewno uwierzą mojemu oświadczeniu, iż nie znam miejsca pańskiego pobytu. Nie mówiąc już o fakcie, że mam zaszczyt być merem tej gminy, a więc reprezentuję rząd, choć mój adjoint pełni wszelkie związane z tym funkcje.

Hornblower zauważył wymuszony uśmiech przy wymawianiu słowa „zaszczyt” i zaczął dukać pasującą do sytuacji odpowiedź, której hrabia słuchał uprzejmie. Pomyślawszy o tym wszystkim, Hornblower uznał za zdumiewający zbieg okoliczności, że los przywiódł go do domu, gdzie został mile przyjęty, znalazł schronienie, gdzie może czuć się bezpieczny przed pościgiem i zasnąć spokojnie. Poczul nagle, że mimo podniecenia jest potwornie zmęczony. Niewzruszone oblicze hrabiego i przyjazny wyraz twarzy jego synowej nie mówiły, czy i oni nie są zbyt znużeni; przez chwilę Hornblower mocował się z pytaniem, które zawsze przychodzi do głowy podczas pierwszego wieczora w obcym domu — czy to gość powinien zaproponować udanie się na spoczynek, czy ma czekać na znak gospodarza. Zdecydował się i wstał.

— Pan jest zmęczony — odezwała się wicehrabina; były to pierwsze słowa wypowiedziane przez nią od pewnego czasu.

— Tak — potwierdził Hornblower.

— Zaprowadzę pana do pokoju, sir. Mam zadzwonić po pańskiego sługę? Nie? — powiedział hrabia.

Gdy w hallu Hornblower raz jeszcze skłonił się na dobranoc, hrabia wskazał na pistolety na bocznym stoliku.

— Może chciałby je pan mieć przy łóżku? — spytał uprzejmie. — Czulby się pan bezpieczniej.

Hornblower odczuł pokusę, by je wziąć, ale odmówił. Dwa pistolety nie wystarczyłyby, aby go ocalić przed policją Bonapartego, gdyby tu przyszła po niego.

— Jak pan chce — odparł hrabia i poszedł przodem ze świecą. — Naładowałem je, gdy usłyszałem, że się zbliżacie, gdyż mogliście być grupą *refractaires* — młodych ludzi ukrywających się w lasach i górach przed wcieleniem do wojska. Od ostatniego dekretu zapowiadającego pobór ich liczba znacznie wzrosła. Lecz szybko pojąłem, że żadna banda zamierzająca coś złego nie oznajmiałaby okrzykami swojej bliskości. Oto pański pokój, sir. Spodziewam się, że znajdzie pan tu wszystkie potrzebne rzeczy. Ubranie, które ma pan na sobie, pasuje znośnie, może więc włoży je pan i jutro? A zatem życzę dobrej nocy. Mam nadzieję, że będzie pan spał dobrze.

Łóżko, do którego wśliznął się Hornblower, było rozkosznie ciepłe. Zaciągnął zasłony i poczuł przyjemny zamęt w głowie. Męczące wspomnienia przerażającego zjazdu łódeczki po czarnym długim łuku wodospadu i potwornej walki w wodzie o życie przysłonił obraz podłużnej ruchliwej twarzy hrabiego i postaci Caillarda omotanego własnym płaszczem i rzuconego na podłogę powozu. Nie spał dobrze, ale nie mógłby też powiedzieć, że spał źle.

Rozdział VIII

Następnego ranka, gdy Hornblower leżał jeszcze zamroczony snem, Feliks wniósł na tacy śniadanie i odsunął zasłony łoża. Za Feliksem wszedł Brown i gdy tamten ustawiał tacę na stoliku przy łóżku, on zabrał się do układania ubrań, porozrzucanych wczorajszego wieczora przez Hornblowera, usiłując zachowywać dyskretny respekt właściwy służącemu dżentelmena. Hornblower z wdzięcznością pociągał łyeczki parującej kawy i pogryzał chlebem; Brown przypomniał sobie o jeszcze jednym obowiązku i podbiegł odsunąć stopy.

— Wichura prawie że ustała, sir — powiedział. — Coś mnie się zdaje, że ta reszta wiatru skręca na południe i możemy mieć odwilż.

Przez osadzone w grubych murach okna sypialni Hornblower miał ze swego łoża widok na rozległy krajobraz opadający stromo w oślepiającej bieli ku rzece, która przez kontrast wydawała się czarna i wyglądała jak krecha zrobiona czarną kredką na białym papierze. Wśród tej białości stały drzewa z nagimi, omiecionymi przez wichurę ze śniegu konarami. Nad samą rzeką wierzby — niektóre stojące w wezbranej wodzie, z białą pianą u nasady pni — były wciąż pokryte bielą. Hornblowerowi zdawało się, że słyszy szum wody i był pewny, że dochodzi do niego jednostajne buczenie wodospadu, u którego stóp dostrzegał poprzez obwałowania brzegowe skłębioną wodę. W dali, za rzeką, widniały śnieżne czapy dachów nielicznych domków.

— Zajrzałem już do pana Busha, sir — oznajmił Brown. Hornblower poczuł lekki wyrzut sumienia, że tak go zaabsorbował krajobraz, iż nie pomyślał o swoim poruczniku. — Więc on czuje się dobrze i przesyła panu swoje najniższe uszanowanie, sir. Jak skończę usługiwać panu, sir, to pójdę pomóc jemu przy goleniu.

— Tak — powiedział Hornblower.

Czuł w sobie miłą ociężałość. Chciało mu się tak leżeć leniwie, nic nie robiąc. Był to moment wytchnienia między cierpieniami i niebezpieczeństwami dnia wczorajszego a tym, co przyjdzie mu czynić dzisiaj, i pragnął, aby chwila ta przedłużała się w nieskończoność; marzył, żeby czas stanął, żeby prześladowcy szukający go bliżej Nevers zastygli jak zaczarowani, podczas gdy on będzie się tu wylegiwał, wolny od niebezpieczeństw i odpowiedzialności. Wypita kawa przyczyniała się do tego nastroju odprężenia, ugasiła pragnienie nie pobudziwszy do działania. Niespostrzeżenie zapadł w mętny rozkoszny sen na jawie; był zły na Browna, że pełnym poważania szuraniem nogami wyrwał go znowu z tego stanu.

— W porządku — rzekł godząc się na to, co nieuniknione.

Skopał z siebie koce i prześcieradła i wstał. Natychmiast poczuł, że ogarnia go twarda rzeczywistość, a marzenia na jawie pierzchły jak barwy chmur podczas wschodu słońca w tropikach. Goląc się i myjąc w kącie pokoju w śmiesznie małej misce myślał niechętnie o perspektywie dłuższej rozmowy po francusku z właścicielami domu. Był zły, że będzie się musiał wysilać, i zazdrościł Bushowi, że nie umie mówić żadnym językiem poza angielskim. Czekał go dziś konieczność wyęźniania myśli wydawała mu się równie straszna jak fakt, że jest skazany na śmierć, jeśli go znowu pochwyca. Zajrzawszy do Busha słuchał z roztargnieniem jego gadaniny i nie

zdobył się, aby choć paru słowami zaspokoić jego ciekawość na temat domu, w którym znaleźli schronienie, i zamiarów gospodarzy. Nastroju nie poprawiła pełna politowania wzdarda wobec samego siebie za takie wyładowywanie złego humoru na Bogu ducha winnym poruczniku. Opuścił pokój Busha pod pierwszym pozorem i w poszukiwaniu gospodarzy udał się do salonu.

Zastał tam tylko wicehrabinę, która powitała go uśmiechem.

— Pan de Gracay pracuje w swoim gabinecie — wyjaśniła. — Dzisiejszego ranka będzie się pan musiał zadowolić moim towarzystwem.

Wyrażenie po francusku nawet rzeczy oczywistych przychodziło Hornblowerowi z trudem, lecz udało mu się znaleźć właściwą odpowiedź, którą dama przyjęła z uśmiechem. Rozmowa nie szła jednak gładko, bo Hornblower musiał z wysiłkiem układać naprzód zdania i unikać przejścia na hiszpański, co zdarzało mu się łatwo, gdy zaczynał myśleć w obcym języku. Niemniej jednak wstępna rozmowa o burzy z ubiegłej nocy, śniegu na polach i wylewie rzeki wyjaśniła Hornblowerowi jeden interesujący fakt — iż rzeka, której szum dochodził do nich, to Loara, odległa o czterysta, a może i więcej mil od swego ujścia w Zatoce Biskajskiej. Parę mil w górę jej biegu leży miasto Nevers; nieco w dół wpada do Loary duży jej dopływ, Allier; w tym kierunku nie ma żadnej wsi ani nawet domu na odcinku dwudziestu mil, aż do Pouilly — z tamtejszych winnic pochodzi wino, które pili ubiegłej nocy.

— Ta rzeka wzbiera tylko zimą — powiedziała wicehrabina. — Latem prawie całkiem wysycha. Są miejsca, gdzie można przejść przez nią w bród, od brzegu do brzegu. Wtedy jest niebieska, a brzegi złociste, ale teraz jest czarna i brzydka.

— Tak — odrzekł Hornblower.

Poczuł dziwne mrowienie w udach i łydkach, gdyż słowa te przypomniały mu przeżycia poprzedniej nocy, przelot przez wodospad i koszmarną walkę o życie w wezbranej wodzie. O mały włos, a on, Bush i Brown byłiby teraz napęczniałymi wodą trupami wleczonymi po dnie wśród kamieni, zanim proces rozkładu nie wyniósłby ich na powierzchnię.

— Nie podziękowałem pani i panu de Gracay za gościnność — odezwał się, dobierając starannie słowa. — To wielka dobroć z jego strony.

— Dobroć? To najlepszy człowiek na świecie. Nie potrafię opisać, jaki jest dobry.

Nie można było wątpić w szczerość słów wicehrabiny; jej szerokie wargi rozchyliły się, ciemne oczy lśniły.

— Naprawdę? — rzekł Hornblower. Teraz, gdy rozmowa nieco się ożywiła, słówko „vraiment” samo wybiegło mu na usta.

— Tak, naprawdę. To na wskroś dobry człowiek. Jest przemiłego usposobienia i uprzejmy z natury, a nie... nie wskutek wychowania. Nie powiedział mi nigdy ani słowa o rozczarowaniu, jakie mu sprawiłam.

— Pani?

— Tak. Och, czyż to nie rzuca się w oczy? Ja nie jestem wielką damą... Marcel nie powinien był zenić się ze mną. Mój ojciec jest normandzkim chłopem, wprawdzie na własnej ziemi, ale zawsze chłopem, podczas gdy Ladonowie, hrabiowie Gracay wywodzą się z czasów Ludwika Świętego czy jeszcze wcześniejszych. Marcel powiedział mi, jak bardzo hrabia był zawiedziony naszym małżeństwem, ale gdyby nie on, nigdy nie dowiedziałabym się o tym ani ze słów, ani z czynów jego ojca. Marcel był wówczas najstarszym synem, bo Antoine zginął pod Austerlitz. I Marcel też nie żyje — został ranny pod Aspern — a ja nie mam syna, nie mam w ogóle dziecka, lecz hrabia nigdy nie uczynił mi wymówki, nigdy.

Hornblower bąknął coś, co miało oznaczać współczucie.

— A Louis-Marie też już nie żyje. Zmarł w Hiszpanii na febrę. Był trzecim synem, i pan de Gracay jest ostatnim z Ladonów. Myślę, że go to załamało, ale nigdy nie powiedział żadnego gorzkiego słowa.

— Wszyscy trzej synowie nie żyją? — zdziwił się Hornblower.

— Tak, wszyscy trzej. Pan de Gracay był emigrantem — po rewolucji mieszkał z dziećmi w waszym mieście, w Londynie, długie lata. A potem chłopcy podrośli, doszła do nich sława cesarza — był wtedy pierwszym konsulem — i wszyscy zapragnęli uczestniczyć w chwale Francji. Właśnie żeby ich zadowolić, hrabia skorzystał z amnestii i wrócił tutaj — to wszystko z jego włości, co się ostało przed rewolucją. Ani razu nie pojechał do Paryża. Cóż mógłby mieć wspólnego z cesarzem? Ale zgodził się, aby synowie wstąpili do wojska i teraz żaden z nich nie żyje. Antoine, Marcel i Louis-Marie. Marcel wziął ze mną ślub, kiedy jego pułk kwaterował w naszej wiosce, ale dwaj pozostali nie pożenili się. Louis-Marie zginął mając zaledwie osiemnaście lat.

— Straszne! — rzekł Hornblower.

To banalne słowo nie wyrażało uczucia głębokiego smutku, jaki wzbudziła w nim ta historia, ale nic lepszego nie przyszło mu do głowy. Rozumiał teraz, co hrabia miał na myśli poprzedniego wieczora mówiąc, że władze uwierzą mu na słowo, iż nie widział zbiegłych więźniów. Wielki pan, którego trzej synowie padli w służbie cesarstwa, nie mógł być podejrzany o danie schronienia zbiegom.

— Proszę mnie zrozumieć — ciągnęła wicehrabina. — Przyjął was tu nie dlatego, że nienawidzi cesarza, ale przez swoją dobroć, dlatego że potrzebowaliście pomocy — nigdy nie widziałam, by odmówił pomocy komukolwiek. Och, to trudno wytłumaczyć, ale myślę, że pan rozumie.

— Rozumiem — odrzekł Hornblower łagodnym głosem.

Wicehrabina budziła ciepłe uczucia w jego sercu. Być może była samotna i nieszczęśliwa; rzucało się w oczy, że ma twardą naturę, ukształtowaną przez wiejskie wychowanie, a przecież pierwszą jej myślą było zwrócić uwagę obcego na zalety teścia. Była pociągającą kobietą ze swymi

niemal rudymi włosami i brązowymi oczyma, a kremowy odcień skóry podnosił jej urodę; gdyby nie pewna nieregularność rysów i szerokie usta, byłaby skończoną pięknnością. Nic dziwnego, że świeżo upieczony oficer huzarów — Hornblower przyjął, że zmarły wicehrabia de Gracay był młodszym oficerem huzarów — zakochał się w niej podczas nużącej jednostajności ćwiczeń i doprowadził do małżeństwa mimo sprzeciwu ojca. Pomyślał, że jemu samemu byłoby łatwo zakochać się w niej, gdyby stracił rozum na tyle, aby do tego dopuścić, teraz, gdy jego życie było w rękach hrabiego.

— A pan? — spytała wicehrabina. — Czy ma pan w Anglii żonę? Dzieci?

— Mam żonę — odpowiedział.

Marię trudno było opisać komuś obcemu, nawet gdyby mógł to robić we własnym języku; powiedział, że jest niska, ciemnowłosa i nic więcej. Jej zaczerwienione dłonie i krępa figura, jej wierność dla niego, która jeśli nie irytowała, to budziła przesyt — nie mógł ryzykować dokładniejszego opisu, boby dał poznać, że jej nie kocha, a dotąd nie zdradził się z tym przed nikim.

— A więc i pan nie ma dzieci? — powtórzyła wicehrabina.

— Na razie nie.

To było smutne. Opowiedział, jak malutki Horatio i mała Maria umarli na ospę w ich mieszkaniu w Southsea, a potem ze ściśniętym gardłem dodał, że w styczniu ma im się znowu urodzić dziecko.

— Miejmy nadzieję, że do tego czasu będzie pan w domu przy żonie — rzekła wicehrabina. — Dzisiaj będzie pan mógł omówić plany ucieczki z moim teściem.

Jakby na zawołanie hrabia wszedł w tym momencie do pokoju.

— Wybacz mi, proszę, że przerywam ci, moja droga — rzekł, odwzajemniając Hornblowerowi ukłon — ale z okna mego gabinetu zobaczyłem żandarma, który odłączył się od grupy jadącej brzegiem rzeki i ruszył w stronę naszego domu. Czy nie sprawi to panu specjalnego kłopotu, kapitanie, jeśli poproszę pana o przejście na jakiś czas do pokoju pana Busha? Przyślę tam także pańskiego służącego, a wtedy może pan będzie łaskaw zamknąć drzwi na klucz. Pomówię sam z żandarmem i mam nadzieję, że będzie pan musiał przesiedzieć w zamknięciu tylko parę minut.

Żandarm! Hornblower wybiegł z komnaty i ruszył ku drzwiom Busha, zanim ta długa przemowa dobiegła końca, a pan de Gracay, uprzejmy i spokojny, siedł za nim, kończąc bez pośpiechu rozpoczęte zdanie.

Gdy Hornblower wszedł, Bush siedział na łóżku; zaczął coś mówić, ale Hornblower przerwał mu nakazując ostrym ruchem milczenie. W chwilę potem Brown zapukał dyskretnie do drzwi i otrzymał pozwolenie wejścia, a Hornblower starannie zamknął za nim drzwi.

— Co się stało, sir? — zapytał szeptem Bush, a Hornblower wyjaśnił mu przyciszonym głosem i z ręką na kłamce cały zamienił się w słuch.

Usłyszał stukanie do drzwi frontowych i brzęk łańcuchów, gdy Feliks je otwierał. Z wysiłkiem próbował pochwycić coś z rozmowy, ale jej nie rozumiał. Lecz żandarm odzywał się z respektem, a Feliks odpowiadał beznamiętnym tonem doskonałego kamerdynera. Usłyszał szuranie butów i dzwonienie ostróg przybysza wprowadzanego do hallu, a potem, gdy drzwi się zamknęły, wszelkie odgłosy zamarły. Minuty czekania wlokły się jak godziny. Zdawszy sobie sprawę ze swego zdenerwowania zmusił się, aby się odwrócić i uśmiechnąć do towarzyszy, którzy nastawiwszy uszu siedzieli nasłuchując.

Oczekiwanie trwało zbyt długo, aby napięcie mogło się utrzymać; wnet odprężyli się i uśmiechali się do siebie bardziej naturalnie niż Hornblower przed chwilą. Usłyszawszy znów poruszenie w hallu stanęli nieruchomo nasłuchując dobiegających głosów. A potem doszło ich trzaśnięcie zamykanych drzwi frontowych i głosy ucichły. Upłynęło jednak sporo czasu, zanim coś się zaczęło dziać — pięć — dziesięć minut, aż ciche pukanie do drzwi porwało ich na nogi, jakby to był wystrzał z pistoletu.

— Kapitanie, czy mogę wejść? — odezwał się głos hrabiego.

Hornblower spiesznie otworzył drzwi, by go wpuścić, ale i wtedy jeszcze musiał czekać cały płonąc z ciekawości, nieskładnie tymczasem tłumacząc przeprosiny hrabiego skierowane do Busha, że zakłóca mu spokój, i uprzejme zapytania, jak się czuje i czy spał dobrze.

— Niech mu pan powie, sir, że spałem świetnie — odezwał się Bush.

— Miło mi to słyszeć — odparł hrabia. — A teraz jeśli idzie o tego żandarma...

Hornblower podsunął mu fotel. Nie chciał pozwolić, aby pomyślano, że niecierpliwość wzięła górę nad dobrymi manierami.

— Dziękuję, kapitanie, dziękuję. Jest pan pewien, że nie przeszkodzę swoim pozostaniem tutaj? To miło z pańskiej strony. Żandarm przyjechał powiedzieć mi...

Opowiadanie przedłużała konieczność tłumaczenia słów hrabiego Bushowi i Brownowi. Żandarm był z posterunku w Nevers. Na krótko przed północą rozwścieczony pułkownik Caillard wyciągnął z łóżek wszystkich mężczyzn z całego miasteczka, aby szukali zbiegów. W ciemności niewiele mogli zdziałać, lecz z nadejściem świtu Caillard rozpoczął systematyczne przetrząsanie obu brzegów rzeki, szukając śladów więźniów i wypytyjąc mieszkańców wszystkich domostw i chat w pobliżu brzegów. Żandarm przybył tu dla porządku — zapytać, czy nie zauważył ktoś trzech zbiegłych Anglików, i ostrzec, że mogą być tu gdzieś w pobliżu. Zadowolił się całkowicie tym, co mu hrabia powiedział na ten temat. W gruncie rzeczy żandarm nie spodziewał się znaleźć Anglików żywych. W pobliżu Bec d'Allier[8] znaleziono już koc, jeden z tych, którymi owinięty był ranny Anglik, co wskazywałoby z całą pewnością, że łódka wywróciła się, a w takim wypadku musieli utonąć w wezbranej rzece. Za parę dni ciała ich zostaną znalezione gdzieś na brzegu. Żandarm był zdania, że na tak rwącym nurcie łódź musiała się wywrócić na pierwszej napotkanej bystrzynie, zanim zdążyli przepłynąć milę.

— Kapitanie, zgodzi się pan chyba ze mną, że wiadomości te są wielce zadowalające — dodał

hrabia.

— Zadowolające! — wykrzyknął Hornblower. — Czyż mogły być lepsze?

Jeśli Francuzi uznają ich za martwych, zaniechają pogoni. Odwrócił się, by wyjaśnić towarzyszom sytuację po angielsku, a oni potakiwaniem i uśmiechami starali się wyrazić hrabiemu wdzięczność.

— Możliwe, że Bonaparte w Paryżu nie zadowoli się tą relacją — powiedział hrabia. — Właściwie jestem pewien, że nie i że zarządzi kontynuowanie poszukiwań. Ale tym nie będziemy się przejmować.

— Dziękuję, sir — rzekł Hornblower, a hrabia gestem dał do zrozumienia, że nie ma o czym mówić.

— Pozostaje tylko postanowić — ciągnął — co zdaniem panów trzeba dalej robić. Czy nie będę natrętny, jeśli zasugeruję, że nie należałoby kontynuować podróży, póki porucznik Bush nie poczuje się dobrze?

— Co on gada, sir? — zapytał Bush. Wymienienie jego nazwiska ściągnęło wzrok wszystkich na niego. Hornblower wyjaśnił.

— Proszę powiedzieć jego lordowskiej mości, sir — odpowiedział Bush — że mogę sobie migiem sfabrykować awaryjną nogę i za tydzień od dziś będę chodził tak samo dobrze jak on.

— Wspaniale! — zawołał hrabia, gdy słowa te zostały mu powtórzone w wygładzonej formie. — Jednak wydaje mi się, że w tym wypadku skonstruowanie protezy niewiele pomoże. Moglibyście panowie zapuścić brody czy poprzebierać się. Przyszło mi na myśl, że udawanie oficerów niemieckich w służbie cesarskiej mogłoby w czekającej was wyprawie stanowić usprawiedliwienie waszej nieznamośności francuskiego. Ale nie można ukryć braku stopy; przez wiele jeszcze miesięcy przybycie obcokrajowca pozbawionego stopy będzie przypominało dociekliwym oficerom policji oficera angielskiego, który uciekł i jakoby utonął.

— Tak — potwierdził Hornblower. — Chyba że uda nam się uniknąć wszelkiego kontaktu z policją.

— To jest absolutnie niemożliwe — stanowczo odrzekł hrabia. — W cesarstwie francuskim oficerowie policji są wszędzie. Do podróży będziecie na pewno potrzebowali koni, a także prawdopodobnie pojazdu. Nie ujedziecie sto mil, a konie i pojazd z pewnością zdradzą was przed policją. Nikt nie może przejechać traktem dziesięciu mil bez okazania paszportu.

W zamyśleniu hrabia szarpał podbródek; głębokie bruzdy w kącikach jego ruchliwych ust były widoczne bardziej niż zwykle.

— Szkoda — zauważył Hornblower — że nasza łódź uległa wczoraj rozbiciu. Być może rzeką...

Pomysł przyszedł mu na myśl w zupełnie gotowej formie i w tej chwili oczy jego spotkały wzrok hrabiego. Znowu uświadomił sobie dziwną sympatię, jaką czuli wzajemnie do siebie. Ta sama myśl powstała jednocześnie w głowie hrabiego — nie po raz pierwszy obserwował podobny fenomen.

— Ależ tak! — ucieszył się hrabia. — Rzeka! Co za głupiec ze mnie, że o tym nie pomyślałem. Rzeka jest niespławna aż do Orleanu; z powodu zimowych roztopów jej brzegi są prawie wyludnione, z wyjątkiem okolic w pobliżu miast, ale miast jest niewiele i moglibyście mijać je nocą, jak Nevers.

— Niespławna, sir?

— Dla żeglugi handlowej. Czasem pojawiają się na niej łodzie rybaków, jest też parę barek zajmujących się wydobywaniem piasku z dna rzeki. To wszystko. Jeśli chodzi o odcinek między Orleanem a Nantes, to Bonaparte czynił wysiłki, aby udostępnić go barkom, lecz o ile wiem, niezbyt mu się to powiodło. A powyżej Briare cały ruch odbywa się nowym bocznym kanałem, i na rzece jest pusto.

— Ale czy udałoby się nam spłynąć po niej, sir? — nalegał Hornblower.

— O tak — odparł hrabia z zamyśleniem. — Moglibyście tego dokonać latem, w małej łódce wiosłowej. W paru miejscach byłoby trudno, ale nigdy niebezpiecznie.

— Latem! wykrzyknął Hornblower.

— Tak, oczywiście. Musicie przeczekać tu, aż porucznik wydobrzeje, a potem zbudować sobie łódź — chyba wy, marynarze, potraficie to zrobić? Jeszcze przez dłuższy czas nie będziecie mogli zabrać się do tego. A potem, w styczniu, rzeka zwykle zamarza, a w lutym zaczynają się roztopy trwające do marca. Nie ma wtedy mowy o przebywaniu na niej — zwłaszcza że byłoby za zimno i za wilgotno. Tak więc, kapitanie, wygląda na to, że będzie pan musiał sprawić mi przyjemność dotrzywaniem towarzystwa do kwietnia.

To była rzecz całkiem niespodziewana, ta perspektywa czekania cztery miesiące na okazję do wyruszenia. Hornblower był zaskoczony; sądził, że za kilka dni, najwyżej trzy, cztery tygodnie znów będą w drodze do Anglii. Od dziesięciu lat nie przebywał aż czterech miesięcy w jednym miejscu — właściwie w ciągu tych dziesięciu lat nie spędził chyba w sumie czterech miesięcy na lądzie. Na próżno jednak głowił się nad innym wyjściem. Podróżowanie drogami wymagałoby niewątpliwie koni, pojazdów, kontaktów z ludźmi różnego autoramentu. Nie mógł się spodziewać, że uda mu się przeprowadzić przez to szczęśliwie Busha i Browna. A jeśli mieliby płynąć rzeką, to oczywiście muszą czekać; za cztery miesiące Bush będzie już zupełnie zdrow, a po nadejściu lata mogliby się obywać bez nocowania w gospodach czy domostwach, sypiać nad rzeką, unikając stykania się z Francuzami i płynąć z prądem, aż dotrą do morza.

— Jeśli panowie weźmiecie ze sobą wędkę — kontynuował hrabia — to każdy, kto zauważy was mijających miasteczko, uzna za rybaków, wyprawiających się na całodzienny połów. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafię w pełni wyjaśnić, rybak słodkowodny nigdy nie bywa podejrzewany o

złe zamiary — chyba że przez ryby.

Hornblower przytwierdził skinieniem głowy. Dziwna rzecz, ale i on w tej samej chwili wyobrażał sobie niesioną prądem łódkę z wyrzuconymi wędkami, odprowadzaną z brzegu obojętnymi spojrzeniami. Był to najbezpieczniejszy sposób przejechania przez Francję, jaki mógł sobie wyobrazić.

Ale... do kwietnia? Jego dziecko będzie już na świecie. Lady Barbara do tego czasu może zapomnieć o jego istnieniu.

— Wydaje mi się straszne — odezwał się — że będzie miał pan nas na głowie przez całą zimę.

— Kapitanie, zapewniam pana, że pańska obecność będzie ogromną przyjemnością zarówno dla wicehrabiny, jak i dla mnie.

Pozostało mu tylko pogodzić się z losem.

Rozdział IX

Porucznik Bush przyglądał się, jak Brown zapina mu na nodze ostatni pasek od jego nowej drewnianej protezy, a z drugiego końca pokoju Hornblower obserwował ich obu.

— Przestać wybierać — powiedział Bush. — Mocuj!

Siedząc na skraju łóżka Bush próbował ruszać nogą.

— Dobra — stwierdził. — Podeprzyjcie mnie. Dalej, do góry, wskrzeszamy zmarłą.

Hornblower zobaczył, że Bush podnosi się i staje; z wyrazem bolesnego zdziwienia przywarł do krzepkich ramion Browna.

— Boże! — westchnął Bush. — Jak wszystko się kiwa!

Był to zawrót głowy. Można się było go spodziewać po tygodniach leżenia i siedzenia. Bushowi wyraźnie się wydawało, że podłoga chwieje się i kołysze, a sądząc po ruchach jego oczu, miał również wrażenie, że i ściany tańczą wokół niego. Brown stał i podtrzymywał cierpliwie Busha usiłującego poradzić sobie z tym nieoczekiwanym zjawiskiem. Hornblower zauważył, jak walcząc ze słabością Bush zacina szczęki i twarz mu tężeje.

— Przebrasować reje — rozkazał Bush Brownowi. — Trzymać kurs na kapitana.

Brown ruszył wolno w stronę Hornblowera; Bush trzymał się go kurczowo, a obszyty skórą koniec protezy uderzał tępo o podłogę przy każdym kroku — Bush podnosił ją za wysoko, a jego zdrowa noga ugięła się w kolanie z osłabienia.

— Boże! — jęknął Bush. — Powoli! Powoli!

Hornblower podniósł się w porę, by go wesprzeć i posadzić na fotel, na który Bush opadł ciężko dysząc. Jego wielka twarz, i tak nienaturalnie biała wskutek długiego przebywania w zamknięciu, była bledsza niż kiedykolwiek. Hornblower z ukłuciem bólu wspominał dawnego Busha, silnego i pewnego siebie, z obliczem, które wyglądało jak wyciosane niezgrabnymi rękami z litego kłoca drewna; Busha, nie bojącego się niczego i gotowego na wszystko. Ten Bush tutaj był przerażony swą słabością. Nigdy nie powstało mu w głowie, że będzie się musiał uczyć chodzić od nowa — a tym bardziej z drewnianą nogą.

— Niech pan odpocznie — doradził Hornblower — zanim znowu pan spróbuje.

Choć Bush zmęczony bezczynnością sam z całej duszy pragnął zacząć chodzić, w ciągu następnych paru dni zdarzały się momenty, że Hornblower musiał energicznie zachęcać go do nauki chodzenia. Bush nie przewidział piętujących się przed nim trudności, które martwiły go bardziej, niż powinny. Dopiero po paru dniach zapanował nad zawrotami głowy i osłabieniem, a wówczas, gdy nauczył się już skutecznie posługiwać protezą, zaczęli w niej odkrywać wszelkiego rodzaju wady. Nie było wcale tak łatwe ustalić najodpowiedniejszą długość, a ku ich zdziwieniu ważną rzeczą okazało się osadzenie skórzanej nasadki pod odpowiednim kątem do trzona — Brown i Hornblower po kolei z sześć chyba razy przerabiali drewnianą nogę na warsztacie w zagrodzie stajennej. Zgięte kolano, na którym spoczywał ciężar ciała Busha podczas chodzenia, zaczęło boleć i zaogniło się; trzeba było dać miękką podkładkę na rzepkę i przerabiać parokrotnie nasadę protezy, żeby wszystko pasowało, i Bush musiał wprawiać się stopniowo, aż skóra na rzepce stwardniała i przywykła do nowej roli. Ilekroć upadł — a często mu się to zdarzało — odczuwał dotkliwy ból w świeżo zagojonym kikucie; przy kolanie zgiętym pod kątem prostym cała siła każdego upadku rzeczywiście skrupiałała się na kikucie, który bolał bardzo.

Za to uczenie Busha chodzenia wypełniało częściowo długie zimowe dni, gdy tymczasem na rozkaz z Paryża rekruci ze wszystkich ośrodków ćwiczebnych raz jeszcze przetrząsali okolicę w poszukiwaniu zbiegłych więźniów angielskich. Któregoś dnia w strugach lodowatego deszczu przybyło dwunastu dygocących z zimna młokosów pod wodzą sierżanta; byli przemoczeni do suchej nitki i tylko dla pozoru przeszukali dom i obejście — Hornblower, Bush i Brown przesiadzieli ten czas bezpiecznie w sianie na niewidocznym od zewnątrz stryszku. Rekruci dostali w kuchni obiad, jakiego dawno nie jedli, i odeszli, by kontynuować poszukiwania gdzie indziej — przynajmniej zajrzeć do każdego domu i każdej wsi w promieniu wielu mil.

Następnym niecodziennym wydarzeniem była wiadomość podana przez prasę Bonapartego, że kapitana i porucznika angielskiego, Hornblowera i Busha, spotkał zasłużony los, utonęli bowiem w Loarze w czasie próby ucieczki eskortie wiozącej ich na rozprawę sądową. Uchroniło to złoczyńców (mówił komunikat) od stanięcia przed plutonem egzekucyjnym, który wymierzyłby im karę za ohydne wyczyny pirackie na Morzu Śródziemnym.

Wiadomość tę, pokazaną mu przez hrabiego, przyjął Hornblower z mieszanymi uczuciami; nie każdemu zdarza się czytać o sobie wzmiankę pośmiertną. Pierwszą myślą było, że to im znacznie ułatwi ucieczkę, ponieważ policja nie będzie już ich szukać. Lecz ta pierwsza reakcja utonęła pod falą innych uczuć. Maria w Anglii będzie się uważała za wdowę w momencie przyjścia ich dziecka na świat. Jak to się na niej odbije? Hornblower wiedział aż nazbyt dobrze, że Maria kocha go tak, jak kobieta może kochać mężczyznę, chociaż przyznawał to przed sobą tylko w takich chwilach jak ta.

Nie potrafił przewidzieć, jak się ona zachowa, co zrobi, gdy uzna go za zmarłego. Skończy się wszystko, dla czego żyła. Ale będzie miała przecież rentę, zabezpieczony byt i dziecko do kochania. Bezwiednie może dążyć do ułożenia sobie życia od nowa. W chwili jasnowidzenia wyobraził sobie Marię w ciężkiej żałobie, z ustami zaciętymi w afektowanej rezygnacji, szorstką skórę jej policzków mokrą od łez i nerwowe splatanie i rozplatanie zaczerwienionych rąk. Będzie wyglądała jak owego dnia letniego, kiedy małego Horatia i małą Marię chowano we wspólnym grobie.

Hornblower otrząsnął z siebie to wspomnienie. W każdym razie Marii nie będzie brakowało pieniędzy; prasa brytyjska dopilnuje, aby rząd wywiązał się w tym wypadku ze swego obowiązku. Wyobrażał sobie artykuły, jakie będą publikowane w odpowiedzi na to oświadczenie Bonapartego, wściekłe oburzenie, że można było oskarżyć oficera brytyjskiego o piractwo, otwarcie wyrażane przypuszczenie, że nie zginął w czasie próby ucieczki, lecz został zamordowany z zimną krwią, wołanie o odwet. Ilekroć prasa brytyjska pisała o Bonapartem, prawie zawsze przypominała o śmierci innego kapitana brytyjskiego marynarki wojennej, Wrighta, który rzekomo miał popełnić samobójstwo w paryskim więzieniu. Wszyscy w Anglii uważali, że Bonaparte kazał go zamordować — to samo będą myśleć w jego wypadku. Było rzeczą prawie śmieszną, że wszystkie najskuteczniejsze ataki na tyrana niemal zawsze miały za punkt wyjścia czyny błahe albo nie zawinione przez niego. Brytyjska pomysłowość w zakresie inwektyw i propagandy od dawna polegała na odkryciu, że bardziej popłaca rozdmuchać jakąś drobną sprawę, niż ciskać pioruny na całą politykę i jej zasady; gazety poświęcą więcej miejsca na potępienie Bonapartego za spowodowanie śmierci jednego oficera marynarki wojennej niż na omawianie, na przykład, zbrodniczych cech inwazji na Hiszpanię, której wynikiem była rzeź setek tysięcy niewinnych ludzi.

I Lady Barbara też przeczyta, że on nie żyje. Zasmuci się — Hornblower był gotów w to uwierzyć — ale nie umiał ocenić, jak głęboki będzie jej żal. Ta myśl pobudziła strumień myśli i wątpliwości, o których ostatnio starał się zapomnieć — czy znaczy coś dla niej, czy nic, czy jej małżonek przeżył ranę, czy też zmarł i jak należałoby postąpić w każdym z tych wypadków.

— Przykro mi, że ta wiadomość wydaje się tak bardzo pana trapić — odezwał się hrabia, i Hornblower uświadomił sobie, że przez cały czas, gdy czytał, wyraz jego twarzy był pilnie śledzony. Złapano go raz na braku samokontroli, ale drugi raz mu się to nie zdarzy. Zmusił się do uśmiechu.

— To znacznie ułatwi naszą podróż przez Francję — powiedział.

— Tak. Po przeczytaniu od razu pomyślałem o tym samym. Gratuluję panu, kapitanie.

— Dziękuję — odrzekł Hornblower.

Mimo to na twarzy hrabiego malowała się troska; miał jeszcze coś w zanadru i wahał się, czy mówić o tym.

— O czym pan myśli, sir? — zapytał Hornblower.

— O tym, że pańska sytuacja pod pewnym względem jest teraz bardziej niebezpieczna. Został pan ogłoszony za zmarłego przez rząd, który nie przyznaje się do pomyłek — nie potrafi się do nich przyznać. Boję się, czy robiąc sobie tak samolubnie przyjemność z pańskiego towarzystwa nie

wyrządziłem panu niedźwiedziej przysługi; jeśli pana schwytają, nie ujdzie pan żywy; rząd dopilnuje zgładzenia pana w sposób nie zwracający niczyjej uwagi.

Hornblower wzruszył ramionami z beztroską tym razem zupełnie nie udawaną.

— Mieli zamiar mnie rozstrzelać w razie schwytania. A więc bynajmniej nie zmienia to sytuacji.

Zastanawiał się w duchu, czy to możliwe, by nowoczesny rząd mógł maczać palce w skrytobójstwie, i ta myśl wydała mu się zupełnie absurdalna. Można by się tego spodziewać po Turkach czy nawet Sycylijczykach, ale nie po Bonapartem, zaraz jednak uświadomił sobie ze zgrozą, że wcale nie jest rzeczą nieprawdopodobną, aby ten człowiek o nieograniczonej władzy i ryzykujący tak dużo, mający fagasów, na których milczeniu mógł polegać, nie powążył się na to, by się nie wystawić na ośmieszenie w oczach opinii publicznej. Myśl ta przygnębiła go, ale dzielnie zmusił się do uśmiechu.

— Przemawia, kapitanie, przez pana odwaga cechująca wasz naród — stwierdził hrabia. — Lecz wieść o pańskiej śmierci dotrze do Anglii. Obawiam się, że madame Orrenblor będzie nią zrozpaczona.

— I ja tak sędzę.

— Mógłbym znaleźć sposób przesłania wiadomości do Anglii — moim bankierom można ufać. Ale inna sprawa, czy byłaby to rzecz wskazana.

Jeśliby się w Anglii dowiedziano, że on żyje, wieść ta doszłaby i do Francji, a wtedy zarządzo by zaostrzone poszukiwania. To stworzyłoby ogromne niebezpieczeństwo. Marii niewiele przysłoby z informacji, że żyje, gdyby miał przez to zginąć.

— Uważam, że nie byłoby to wskazane — powiedział Hornblower.

Czuł się dziwnie rozdwojony; ten Hornblower, dla którego tak chłodno potrafił obmyślać plany i którego szansę na przeżycie mógł oceniać tak dokładnie, był tworem wyobraźni w porównaniu z Hornblowerem żywym, z krwi i kości, którego twarz golił dziś rano. Wiedział z doświadczenia, że dopiero w chwilach przełomowych, jak wówczas gdy porwany prądem walczył o życie lub kiedy chodził po pokładzie rufowym w gorączce boju, obaj oni zlewali się w jedną postać — w momencie, gdy pojawiał się lęk.

— Kapitanie — rzekł hrabia — mam nadzieję, że te wiadomości nie zmartwiły pana zbyt mocno?

— Ależ nie, sir — odparł Hornblower.

— Cieszę się, że to słyszę. Więc może pan i Mr Bush zechcą sprawić przyjemność pani wicehrabinie i mnie, siadając z nami i dzisiaj do wista?

Wieczory zwykle spędzano przy wiście. Przyjemność, jaką hrabia znajdował w grze,

stanowiła jeszcze jedną nić sympatii między nim a Hornblowerem. Nie był typem gracza matematyka jak Hornblower. Grał raczej na wycucie, stosował taktykę dyktowaną przez instynkt. Nadzwyczajna rzecz, jak często jego zagrywki w ciemno trafiały na krótki kolor u partnera i zdobywały lewe zdawałoby się nie do uzyskania, jak często stając przed dylematem intuicyjnie rozgrywał partię tak, że była wygrana. Rzadko trafiał się wieczór, by ta zdolność go opuszczała, a wtedy siedział ze smętnym uśmiechem, przegrywając robra za robrem w obliczu nieubłaganej precyzji gry swej synowej i Hornblowera. Zwykle jednak, ku irytacji Hornblowera, jeśli byli przeciwnikami, lub ku jego głębokiej satysfakcji, kiedy byli partnerami, jego tajemnicze moce telepatyczne wiodły go triumfalnie poprzez grę — irytacji z powodu tego, że zawiodły go skrupulatne kalkulacje, a zadowolenia z ich całkowitej słuszności.

Wicehrabina, chociaż miała dobrą szkołę, grała poprawnie, ale zupełnie bez polotu, i Hornblower podejrzewał, że jej zainteresowanie grą wypływało głównie z sympatii dla teścia. Te wieczory przy wiście były natomiast prawdziwą pokutą dla Busha. Nie znosił gier karcianych — nawet zwykłego oczka, a w wysoce wyrafinowanym wiście był beznadziejny. Hornblower oduczył go kilku najgorszych nawyków — na przykład pytania: „Co jest atu?” w połowie każdej partii — nalegał, aby liczył karty, w miarę jak schodziły, i uczył się konwencjonalnych wyjść i zrzucania, aż zrobił z niego gracza, którego obecność trzej dobrzy partnerzy będą woleli tolerować, niż stracić wieczorną rozrywkę; ale dla niego te wieczory były porą męczącej wytężonej koncentracji, banalnych błędów i wypowiedzianych z zakłopotaniem przeprosin, przy czym udркę potęgował jeszcze fakt, że rozmowę prowadzono po francusku, w którym to języku nie potrafił nabrać biegłości. W głębi ducha Bush uznawał francuski, wista i trygonometrię sferyczną za przedmioty, do których nauki był już za stary i które, gdyby mu pozwolono, pozostawiłby całkowicie swemu uwielbianemu dowódcy.

Co zaś do Hornblowera, jego francuszczyzna szybko się poprawiała dzięki temu, że musiał jej wciąż używać. Zły słuch sprawiał, że nie był w stanie pochwycić akcentu — na zawsze pozostanie mu bezdźwięczna wymowa cudzoziemca — ale zwiększył swój zasób słów, nabierał pewności w zakresie form gramatycznych i wprawy w stosowaniu idiomów, za co nieraz zdarzyło mu się usłyszeć piękny komplement od pana domu. Przed wpadnięciem w dumę powstrzymywał go zadziwiający fakt, że Brown, przebywając wśród służby, równie szybko nabywał biegłości w tym języku. On też dużo obcował z Francuzami — z Feliksem i jego żoną, gospodynią, oraz z pokojówką Luizą, ich córką, i z mieszkającą nad stajnią po drugiej stronie podwórza rodziną Bertranda, który był bratem Feliksa i przy okazji pełnił obowiązki woźnicy; żona Bertranda była kucharką, dwie córki pomagały jej w kuchni, jeden z młodszych synów służył jako lokaj pod Feliksem, a dwaj pozostali pracowali pod okiem ojca w stajni.

Kiedyś Hornblower napomknął w rozmowie z hrabią, że ktoś z jego służby mógłby zdradzić władzom obecność jego i towarzyszy, ale hrabia pokręcił tylko głową z niewzruszoną pewnością.

— Oni mnie nie zdradzą — powiedział, a jego przekonanie było tak silne, że udzieliło się Hornblowerowi. Im lepiej poznawał hrabiego, tym większej nabierał pewności, że nikt, kto go zna dobrze, nie potrafi go zdradzić. A hrabia dodał z kwaśnym uśmiechem: — Kapitanie, musi pan pamiętać, że tutaj ja jestem władzą.

Po tym oświadczeniu Hornblower mógł znowu pozwolić sobie na zapadnięcie w stan

bezpiecznej gnuśności — uczucie bezpieczeństwa tak silne, że aż prawie nierealne. Przebywanie przez tyle czasu w zamknięciu czterech ścian, bez szerokich widnokręgów i nieustannej zmienności morza, było koszmarem. Mógł spędzać poranki chodząc tam i z powrotem po podwórzu stajennym, jakby to był pokład rufowy, a Bertrand i synowie trajkocący o swojej pracy — załogą zajętą porannym myciem pokładu. Odór stajen i wiatry lądowe wiejące ponad wysokimi murami nie mogły mu zastąpić orzeźwiającej świeżości morza. Spędzał długie godziny w oknie wieżyczki na szczycie domu z niewielkim teleskopem wyszukany mu przez hrabiego, przyglądając się okolicy; patrzył na wyludnione winnice w zimowej pustce, na odległe wieże Nevers — przeładowaną ozdobami wieżę katedry i wdzięczne wieżyczki pałacu Gonzagów; czarną rzekę, płynącą bystro, wierzby na pół zanurzone w wodzie — łód, który skuł ją w styczniu, i śnieg, co tej zimy trzy razy pokrywał nagie wały, stanowiły miłe urozmaicenie monotonnego krajobrazu; widział odległe wzgórza i podchodzące blisko ich zbocza; szlak doliny Loary wijącej się kretowicie w nieznane i wyżej, doliny Allier biegnącej, by się z nią spotkać — dla szczura lądowego widok z okna wieżyczki byłby zachwycający, nawet mimo często siekącego deszczu, ale dla marynarza, i w dodatku więźnia, był on odpychający. Brakowało trudnego do opisu uroku morza, jego tajemniczości, magii i swobody. Widząc ponury nastrój, w jakim Hornblower schodził z wieżyczki ze swoją lunetą, Bush i Brown zastanawiali się, dlaczego trawi czas w ten sposób. On sam też się dziwił, czemu to robi, ale nie miał siły przestać. Jego zły humor był szczególnie widoczny, kiedy hrabia z synową wyjeżdżali konno na przejażdżkę i wracali uszczęśliwieni, z mocnymi rumieńcami na twarzach, przecwałowawszy parę mil na swobodzie, której on łaknął tak bardzo — wymyślał sobie za tę niemądrą zazdrość, lecz nie mógł jej opanować.

Zazdrościł nawet Bushowi i Brownowi przyjemności, jaką im sprawiało budowanie nowej łodzi. Nie miał wprawy w pracach ręcznych, i kiedy ustalono, jaka ma być ta łódź — płaskodenna, długości piętnastu stóp i szerokości czterech — nie mógł już wnieść nic do jej budowy poza niewykwalifikowaną pracą fizyczną. Jego podkomendni radzili sobie znacznie lepiej z heblem, piłą i świdrem i, rzecz charakterystyczna, znajdowali ogromną przyjemność w używaniu tych narzędzi. Irytowała go dziecinna uciecha Busha, gdy na swych dłoniach, wydelikatniałych w czasie długiego okresu rekonwalescencji, znowu zauważył wyraźne zgrubienia. Zazdrościł im prostej radości tworzenia, jaką odczuwali widząc, jak pod ich rękami wyrasta łódź na pustym stryszku zaadoptowanym na warsztat — a jeszcze bardziej zazdrościł Brownowi pewności oka, gdy formował wiosła przy pomocy samego ośnika, bez żadnych przyborów w postaci szablonów czy modeli i naciągniętych sznurów, bez których Hornblower nie mógłby się obyć.

Cała ta zima w zamknięciu była jednym pasmem czarnych dni. Nadszedł styczeń, a z nim czas narodzin jego dziecka; do szaleństwa doprowadzała go niepewność, troska o Marię i dziecko, obawa, że Lady Barbara uzna go za zmarłego i zapomni o nim. Nawet słodczy charakter hrabiego i jego niezmienna kurtuazja wywołały w nim przesyty i zaczęły go drażnić. Oddałby rok życia za usłyszenie cierpkiej repliki na któreś z nietaktownych odezwań Busha; czasem czuł nieodpartą wprost chęć zachowania się wobec hrabiego po grubiańsku, wdania się z nim w sprzeczkę mimo — czy właśnie dlatego — że zawdzięczał mu życie, a konieczność panowania nad sobą jeszcze bardziej pogarszała jego nastrój.

Przejadła mu się niewyczerpana dobroć hrabiego na równi z występującą tak często zbieżnością ich myśli; było rzeczą dziwną, a nawet niesamowitą, tylekroć widzieć w hrabim jak w

lustrze odbicie niejako samego siebie. Jeszcze bardziej niesamowite było wspomnienie, że podobne więzy sympatii odczuwał niekiedy w stosunku do najnikczemniejszego człowieka, jakiego spotkał w życiu — do El Suprema w Ameryce Środkowej.

Za swe zbrodnie El Supremo zginął na szafocie w Panamie; Hornblowera gnębiła myśl, że z przyjaźni hrabia naraża się na gilotynę w Paryżu — szaleństwem było wyciągać jakiegokolwiek analogie między losem El Suprema a hrabiego, ale Hornblower był w nastroju szalonym. Za dużo medytował, a za mało miał do roboty, i jego nadmiernie aktywny umysł omal nie pękał od kłębiących się w nim myśli. Puszczanie się na śmieszne rozważania filozoficzne na temat duchowego pokrewieństwa między nim, hrabią i El Supremem granoczyło z obłąkaniem i Hornblower zdawał sobie z tego sprawę. Przekonywał sam siebie, że tylko panowanie nad sobą i cierpliwość pozwolą mu przebrnąć bezpiecznie przez te ostatnie kilka tygodni oczekiwania, lecz jego cierpliwość zdawała się być na wyczerpaniu, a panowanie nad sobą ogromnie go męczyło.

Kiedy duch osłabł, z pomocą przyszło ciało. Któregoś popołudnia, gdy schodził na dół po długim ogłupiającym siedzeniu z lunetą w wieżyczce, spotkał na górnym krużganku wicehrabinę. Wchodziła właśnie do swego buduaru, lecz usłyszawszy, że nadchodzi, obejrzała się, uśmiechnęła. Zawirowało mu w głowie; w podnieceniu i rozgorączkowaniu wyciągnął ku niej obie dłonie ryzykując odepchnięcie, ryzykując wszystko, w swej tęsknocie za jakąś pociechą, za czymś, co złagodziłoby to trudne do wytrzymania napięcie. Ona, wciąż z uśmiechem, podała mu swoje ręce i pod ich dotknięciem jego spokój prysnął. Szaleństwem było spuścić z wodzy żądze, lecz w tym szaleństwie była niewytłumaczona słodycz. Znaleźli się w jej pokoju i drzwi zamknęły się za nimi. Trzymał w ramionach słodkie, jędrne ciało, które obiecywało zaspokojenie. Zniknęło zwątpienie i niepewność, rozwiały się metafizyczne niepokoje. Teraz doszedł do głosu ślepy instynkt, wszystkie cielesne popędy tłumione w czasie miesiący celibatu. Miała wargi dojrzałe, pełne i uległe, piersi, które przyciskał do siebie gwałtownie, były pagórkami słodocy. Nozdrza napełnił mu delikatny, oszałamiający zapach kobiecości.

Za buduarem była sypialnia; znaleźli się tam i ona mu uległa. Tak jak umysł innego mężczyzny mógłby się oszołomić w zwierzęcym upojeniu alkoholowym, tak umysł Hornblowera otumaniło pożądanie i namiętność. Zapomniał o wszystkim i nie zważał już na nic w tej szaleńczej chwili utraty panowania nad sobą.

A ona, o dziwo, rozumiała jego pobudki i nie czuła się nimi dotknięta, co było jeszcze dziwniejsze. Kiedy fala namiętności odpłynęła, znowu zobaczył wyraźnie jej twarz, opanowaną, wyrażającą niemal macierzyńską czułość. Zdawała sobie sprawę, że jest nieszczęśliwy, że pożądał jej wspaniałego ciała. Dała mu je, ponieważ tak bardzo go potrzebował, jak podałyby kubek wody człowiekowi umierającemu z pragnienia. Teraz przytuliła jego głowę do piersi i gładziła po włosach, lekko go kołyszając, jak dziecko, i uspokajając cichym szeptem. Łzy pociekły z jej oczu na skroń Hornblowera. Pokochała tego Anglika, ale wiedziała aż nadto dobrze, że jego nie miłość rzuciła w jej ramiona. Wiedziała o żonie i o dziecku w Anglii i domyślała się istnienia innej kobiety, którą kochał. Ale to nie myśl o nich wywołała łzy, lecz świadomość, że ona nie jest nawet maleńką częścią jego prawdziwego życia, że dla niego ten pobyt nad brzegami Loary jest nierealny jak sen, jest czymś, co musi przetrwać, zanim ujdzie stąd znowu na morze, do szalonego świata, który dla niego był światem normalnym, gdzie niebezpieczeństwa i niewygody będą rzeczą codzienną.

Pocałunki, którymi ją obsypywał, nie miały dla niego żadnego znaczenia, główną sprawą jego życia była wojna — ta sama wojna, co zabiła jej młodego męża, pustosząca, marnotrawiąca, nieludzka, zaludniająca Europę wdowami i oszpecająca ją wyjałowionymi polami i spalonymi wioskami. Całował ją jak pan głaszcze swojego psa załatwiając jakąś ważną transakcję handlową.

W tym momencie Hornblower znów podniósł ku niej twarz i wyczytał tragedię z jej oczu. Widok łez wzruszył go niewymownie. Pogładził ją po policzku.

— O, moja kochana — odezwał się po angielsku i szukał słów francuskich na wyrażenie tego, co chciał powiedzieć. W sercu jego wzbierała czułość. W nagłym olśnieniu ujrzał miłość, jaką mu darowywała, i motywy, które pchnęły ją ulegle w jego ramiona. Ucałował jej usta i odgarnął z czoła wspaniałe rude włosy spadające na oczy wpatrzone w niego błagalnie. Tkliwość na nowo obudziła namiętność; pod jego pieścizotami resztki jej rezerwy rozplynęły się.

— Kocham cię! — westchnęła, zarzucając mu ramiona na szyję. Nie chciała przyznać się do tego ani przed nim, ani przed sobą. Wiedziała, że jeśli odda mu się z całym uczuciem, on złamie w końcu jej serce, że jej nie kocha, nawet teraz, gdy czułość w jego oczach przestłoniła ślepe pożądanie. Złamie jej serce, jeśli ona pozwoli sobie na tę miłość; zobaczyła to w sekundzie jasnowidzenia, zanim dała się ponieść złudzeniu, które — czuła to — w przyszłości się rozwieje. Lecz pokusa oszukania się myślą, że on ją kocha, wzięła górę. Oddała mu się z całą namiętnością.

Rozdział X

Takie uwieńczenie ich stosunku rozładowało, przynajmniej w odczuciu Hornblowera, atmosferę, jak uderzenie piorunu. Mógł teraz myśleć o czymś bardziej określonym, zamiast tonąć w filozoficznych rozważaniach; kochająca dobroć Marie uspokajała go, a wyrzuty sumienia powodowane uwiedzeniem synowej hrabiego pod jego własnym dachem działały jak drażniący środek leczniczy. Niepokój, aby telepatyczne zdolności hrabiego nie pomogły mu odgadnąć tego, co go łączy z Marie, i obawa, by ktoś nie zauważył spojrzenia czy nie wytłumaczył sobie właściwie jakiegoś gestu, utrzymywała jego umysł w zdrowej aktywności.

Rozwijający się romans przyniósł mu dziwne, nieoczekiwane szczęście. Marie posiadała wszystkie cechy, jakich Hornblower mógłby pragnąć u kochanki. Dzięki małżeństwu należała do rodziny dostatecznie arystokratycznej, by zaspokajać jego upodobanie do wyższych sfer, a świadomość, że jest chłopką z pochodzenia, chroniła go od lęku przed nimi. Potrafiła być to czuła, to znów namiętna, wyniosła i poddańcza, praktyczna i romantyczna; i tak bardzo go kochała, godząc się jednocześnie z jego rychłym odjazdem, zdecydowana pomagać mu we wszystkim w miarę upływu dni, że serce jego miękło dla niej coraz bardziej.

Nagle odjazd stał się bliższy i bardziej realny — dziwnym trafem już w dzień lub dwa po spotkaniu Marie i Hornblowera na górnym krążanku ze sfery odległych nadziei przekształcał się w rzecz rychło spodziewaną. Łódka, pomalowana i wyekwipowana, czekała na strychu gotowa do użytku; Brown napełnił ją wodą ze studni i stwierdzał z dumą, że wcale nie przecieka. Plany wyprawy ku morzu nabierały określonego kształtu. Gruba kucharka Jeanne piekła dla nich suchary — Hornblower puszył się, że jest jedyną osobą znajdującą się na wyrobie sucharów, i Jeanne pracowała pod jego kierunkiem.

Po ożywionej dyskusji z hrabią postanowił nie ryzykować kupowania żywności w trakcie podróży, chyba że okoliczności zmuszą go do tego; pięćdziesiąt funtów sucharów napieczonych dla nich przez Jeanne (w łodzi był na nie schowek) powinno starczyć na siedemnaście dni, po funcie na każdego z nich trzech dziennie, przygotowano też worek kartofli, worek suszonego grochu i cienkie kiełbaski arlejańskie — suche jak kije i według Hornblowera równie niestrawne, ale posiadające tę zaletę, że pozostawały jadalne przez długi czas — oraz trochę suszonego dorsza, którego Hornblower nauczył się jeść w czasie pobytu w niewoli w Ferrol, a także poćić boczku; w sumie — jak udowadniał Hornblower hrabiemu, skłonemu do wątpliwości — będą jedli w czasie wyprawy Loara dużo lepiej niż niejednokrotnie na okrętach jego królewskiej mości króla Jerzego. Nawykły od dawna do długich podróży morskich Hornblower stwierdzał ze zdumieniem, że planowanie wyprawy rzeką jest rzeczą prostą dzięki temu choćby, że problem wody był tak łatwy do rozwiązania; za burtą łodzi będą mieli nieograniczone ilości słodkiej wody do picia, prania i kąpieli — i to wody znacznie lepszej, jak powiedział hrabiemu, niż stęchła zielonkawa ciecz, rojąca się od drobnoustrojów, wydzielana w ilości czterech kwart dziennie na głowę, którą musieli zadowalać się ludzie na okrętach.

Nie przewidywał większych trudności aż do momentu, kiedy znajdą się blisko morza; niebezpieczeństwo mogło im zagrozić dopiero po wejściu na wody pływowe. Wiedział, że wybrzeże Francji roi się od żołnierzy ze stacjonujących tam garnizonów i funkcjonariuszy straży celnej — będąc porucznikiem u Pellewa wysadzał kiedyś szpiega w słonych bagnach Le Bourgneuf — pod ich nosem będą musieli ukraść łódź rybacką i wypłynąć na morze. System kontynentalny, obawa przed angielskimi desantami i środki ostrożności przeciwko szpiegostwu sprawiały, że wody pływowe będą na pewno ściśle strzeżone. Ale wiedział, że pozostaje mu jedynie zaufać losowi — trudno było planować coś przeciwko nieprzewidzianym ewentualnościom, zresztą od niebezpieczeństw tych dzieliły ich jeszcze tygodnie, a ostatnio Hornblower, pełen wewnętrznego zadowolenia, był zbyt leniwy, aby zastanawiać się poważniej nad nimi. W miarę jak pogłębiało się jego uczucie do Marie, coraz trudniej mu też było obmyślać plany, które oddalą go od niej. Tak mocno się już do niej przywiązał. To właśnie hrabia podsunął jeden z najlepszych pomysłów.

— Jeśli pan pozwoli — rzekł — powiem panu, jak sobie wyobrażam najprostszy sposób przedostania się przez Nantes.

— Słucham pana z największą przyjemnością — odparł Hornblower. Przegadana uprzejmość hrabiego była zaraźliwa.

— Proszę nie sądzić — zauważył hrabia — że chcę w jakikolwiek sposób ingerować w opracowywany przez pana plan, lecz przyszło mi do głowy, że pański pobyt nad morzem byłby bezpieczniejszy, gdyby występował tam pan jako wysoki urzędnik służby celnej.

— Na pewno, sir — powiedział Hornblower — ale nie mam pojęcia, jak to zrobić.

— W razie potrzeby mógłby się pan podać za Holendra — ciągnął hrabia. — Teraz, po przyłączeniu Holandii do Francji i ucieczce króla Ludwika Bonapartego należy przypuszczać, że jego urzędnicy przejdą na służbę cesarską. Myślę, że przybycie, powiedzmy, pułkownika holenderskich douanierów[9] do Nantes dla zapoznania się ze sposobem pełnienia swoich obowiązków byłoby rzeczą bardzo prawdopodobną — zwłaszcza że Bonaparte i jego brat poróżnili się na temat wprowadzania w życie zarządzeń celnych. Francuskim włada pan tak świetnie, jak powinien oficer holenderskiej straży celnej, mimo że — proszę mi wybaczyć szczerą — pańska wymowa nieco się różni od wymowy rodowitego Francuza.

— Ale... ale... — jękał się Hornblower; wydawało mu się, że zwykły zdrowy rozsądek tym razem opuścił hrabiego — to byłoby trudne, sir...

— Trudne? — uśmiechnął się hrabia. — Mogłoby być niebezpieczne, ale bynajmniej nie trudne, jeśli wybaczy mi pan tak otwarty sprzeciw. W waszej demokratycznej Anglii nie macie, sądzę, okazji stwierdzić, ile może znaczyć mundur i pewny siebie sposób bycia w takim kraju jak nasz, który stoczył się już po łatwej drodze od autokracji do biurokracji. Pułkownik straży celnej na wybrzeżu może dostać się wszędzie i nakazać wszystko. Nie musi się z niczego tłumaczyć — robi to za niego jego mundur.

— Ależ, sir, ja nie mam munduru — odparł Hornblower i ledwie wyrzekł te słowa, odgadł, co hrabia zamierza powiedzieć.

— Mamy w domu pół tuzina szwaczek — uśmiechnął się hrabia — od Marie poczynając, na córeczce kucharki, małej Krystynie kończąc. Byłbym zdziwiony, gdyby nie potrafiły wspólnymi siłami uszyć mundurów dla pana i pańskich towarzyszy. Powiem jeszcze, że kalectwo pana Busha, nad którym wszyscy tak bardzo ubolewamy, może się okazać bardzo pomocne, jeśli przyjmiecie ten plan. Do metod Bonapartego pasuje zapewnianie bytu oficerowi rannemu w jego służbie przez danie mu posady w celnictwie. Obecność Mr Busha u pana boku dodawałaby — no, powiedzmy — autentyzmu efektowi wywoływanemu przez pańskie pojawienie się.

Hrabia skłonił się lekko przed Bushem, przepaszając za aluzję do jego inwalidztwa, a Bush odkłonił mu się niezręcznie ze swego fotela, nie rozumiejąc co najmniej dwóch trzecich z rozmowy.

Wartość propozycji stała się od razu oczywista dla Hornblowera, i przez następne dni

niewiasty w domu były zajęte krojeniem, zszywaniem i dopasowywaniem, aż nadszedł wieczór, gdy wszyscy trzej przeszli przed hrabią w schludnych niebieskich mundurach lamowanych czerwienią i bielą i w zawadiackich kepi — wykonanie ich wymagało od Marie najwięcej pomysłowości, gdyż w owym czasie kepi było jeszcze niecodziennym nakryciem głowy we francuskiej służbie rządowej. Na kołnierzu Hornblowera lśniły ośmioramienne gwiazdki, oznaka szarży pułkownika, a na kepi miał rozetkę ze złotego galonu; wszyscy trzej obracali się z powagą przed hrabią, a on kiwał głową aprobująco.

— Znakomicie — powiedział, a potem dodał z wahaniem: — Przyszło mi coś do głowy, co w jeszcze większym stopniu podkreśliłoby autentyczność tego przebrania. Przepraszam na chwilę.

Poszedł do swojego gabinetu, a oni spojrzeli po sobie, ale już był z powrotem, z niewielkim skórzanym pudełkiem w ręku. Spoczywał w nim na jedwabiu lśniący krzyż z białej emalii, zwieńczony złotą koroną, ze złotym medalionem pośrodku.

— Musimy przypiąć to panu — rzekł. — Nikt nie dostaje rangi pułkownika bez Legii Honorowej.

— Ojczy! — zawołała Marie — rzadko zwracała się do niego w ten rodzinny sposób. — To należało do Marie-Luisa!

— Wiem, moja droga, wiem. Ale to może zdecydować o powodzeniu lub... lub fiasku przedsięwzięcia kapitana Hornblowera.

Mimo to, gdy przypinał szkarłatną wstęgę do munduru Hornblowera, ręce drżały mu lekko.

— Sir... sir, pan jest zbyt dobry — protestował Hornblower.

Gdy hrabia wyprostował się, jego podłużna ruchliwa twarz tchnęła smutkiem, lecz natychmiast wykrzywił ją w swoim zwykłym wymuszonym uśmiechu.

— Przysłał mi to Bonaparte powiedział — po... po śmierci mego syna w Hiszpanii. To pośmiertne odznaczenie. Dla mnie, rzecz prosta, nic ono nie znaczy — błyskotki rozdawane przez tyrana nie mogą mieć najmniejszej wagi dla kawalera Orderu Ducha Świętego. Ze względu jednak na wartość uczuciową będę wdzięczny, jeśli postara się pan przetrzymać order i zwrócić mi po wojnie.

— Nie mogę tego przyjąć, sir — rzekł Hornblower schylając się z zamiarem odpięcia, lecz hrabia go powstrzymał.

— Bardzo proszę, kapitanie — powiedział — niech pan to nosi przez wzgląd na mnie. Sprawi mi pan tym przyjemność.

Hornblower ustąpił, acz niechętnie. Sumienie gryzło go bardziej niż kiedykolwiek, gdy pomyślał, że uwiódł synową tego człowieka, korzystając z jego gościny, a potem, wieczorem, kiedy został w salonie sam na sam z hrabią, rozmowa ich pogłębiła jeszcze to uczucie winy.

— Kapitanie, teraz, kiedy pański pobyt dobiega końca — zaczął hrabia — zdaję sobie sprawę,

jak bardzo będzie mi brak pańskiej obecności po waszym odjeździe. Towarzystwo pana sprawiało mi niezmierną przyjemność.

— Wątpię, sir, czy można to porównać z wdzięcznością, jaką czuję wobec pana — odrzekł Hornblower.

Hrabia gestem odzegał się od podziękowań, które Hornblower usiłował wyrazić w nieskładnych słowach.

— Przed chwilą mówiliśmy o końcu wojny. Chyba skończy się kiedyś, i ja, stary człowiek, może dożyję tego dnia. Czy wspomni pan wtedy mnie i nasz mały domek nad Loara?

— Oczywiście, sir — obruszył się Hornblower. — Nigdy nie zapomnę.

Potoczył spojrzeniem po znajomym wnętrzu salonu, po srebrnych kandelabrach, staromodnych meblach w stylu Ludwika Szesnastego i szczupłej postaci hrabiego w błękitnym fraku.

— Nigdy nie potrafię pana zapomnieć, sir — powtórzył.

— Moi trzej synowie zginęli młodo — mówił hrabia. — Byli jeszcze w wieku chłopięcym, ale może nie wyrosliby na mężczyzn, z których mógłbym być dumny. Już idąc służyć Bonapartemu patrzyli na mnie jak na zaśniedziałego reakcjonistę; ledwie tolerowali takie poglądy — czego zresztą można się było spodziewać. Gdyby przeżyli wojny, może później stalibyśmy się lepszymi przyjaciółmi. Ale nie przeżyli, i ja jestem ostatnim z Ladonów. Samotny ze mnie człowiek, kapitanie, samotny pod obecnymi rządami, a przecież obawiam się, że jeśli Bonaparte upadnie i reakcyjniści wrócą do władzy, będę tak samo samotny. Lecz tej zimy nie byłem sam, kapitanie. Serce Hornblowera zabiło cieplej dla tego szczupłego starca z twarzą pooraną zmarszczkami, siedzącego naprzeciwko w niewygodnym fotelu.

— Ale dosyć o mnie, kapitanie — ciągnął hrabia. — Chciałem zakomunikować panu wieści, jakie nadeszły — są bardzo ważne. Tak jak przypuszczaliśmy, salut armatni, który wczoraj słyszeliśmy, był na cześć narodzin dziedzica Bonapartego. Mamy już więc króla Rzymu, jak go zwie Bonaparte, dla podtrzymania tronu cesarskiego. Czy podtrzyma go, raczej wątpię — mam wrażenie, że jest wielu bonapartystów, którym nie w smak będzie myśl o utrzymywaniu w nieskończoność władzy w dynastii Bonapartego. A upadek Holandii nie ulega wątpliwości — były już prawdziwe potyczki zbrojne między oddziałami Ludwika Bonapartego a Napoleona Bonapartego z powodu różnic zdań w sprawie zarządzeń celnych. Francja rozciąga się teraz po Bałtyk — Hamburg i Lubeka to miasta francuskie, tak samo jak Amsterdam, Livorno czy Triest.

Hornblower pomyślał o karykaturach w prasie angielskiej tak często porównujących Bonapartego do żaby, która chce się nadmuchać do rozmiarów wołu.

— Myślę, że to jest symptomatyczne dla słabości — stwierdził hrabia. — Ale może pan się ze mną nie zgadza? Zgadza się pan? Rad jestem, że się moje przypuszczenia potwierdzają. Co więcej, zanoszą się na wojnę z Rosją. Już wysyłają oddziały na wschód, a szczegóły nowego poboru zostały ogłoszone równocześnie z proklamacją króla Rzymu.

Zwiększy się w kraju liczba tych, co będą się chcieli uchylić od wojska. Może Bonaparte uzna, że podjął się zadania ponad swoje siły, gdy przyjdzie mu zmierzyć się z Rosją.

— Być może — mruknął Hornblower. Nie miał wysokiego mniemania o zaletach armii rosyjskiej.

— Ale jest jeszcze ważniejsza wiadomość — dodał hrabia. — Opublikowano wreszcie komunikat armii portugalskiej. Jest datowany z Almeidy.

Hornblower potrzebował sekundy czy dwóch, by pojąć znaczenie ostatniego zdania; jego sens rozjaśniał mu się stopniowo w głowie wraz z nieskończonymi implikacjami.

— Oznacza to — mówił hrabia — że wasz Wellington pobił marszałka Bonapartego, Massenę. Że próba podbicia Portugalii nie powiodła się i że w Hiszpanii znowu wszystko zaczyna się kotłować. W boku cesarstwa Bonapartego otworzył się ropiejący wrzód, który może wyssać z niego całą moc — trudno sobie wyobrazić, za jaką cenę dla biednej Francji. Ale pan, kapitanie, może oczywiście dać pewniejszy osąd sytuacji wojskowej niż ja, byłem zbyt zarozumiały, siląc się na to. Niemniej jednak obaj wiemy, że nie ma dobrych warunków do przewidzenia skali moralnych skutków tej wiadomości. Wellington pobił Junota, Victora i Soulta. Teraz uległ mu Massena, największy z nich wszystkich. Pozostał tylko jeden człowiek, z którym może go zestawiać europejska opinia publiczna, a jest nim Bonaparte. Dla tyrana nie jest rzeczą dobrą, gdy ma rywala swojego prestiżu. Ileż to lat władzy dalibyśmy Bonapartemu zeszłego roku, gdyby nas o to zapytano? Dwadzieścia? Chyba tak. Dziś, w 1811, zmieniamy zdanie. Sądzymy, że dziesięć. W 1812 zrewidujemy być może znowu naszą ocenę i powiemy pięć. Ja sam nie uważam, aby cesarstwo takie, jakim je znamy, przetrwało dłużej niż do roku 1814 — cesarstwa upadają w tempie postępu geometrycznego, a to nasze obali wasz Wellington.

— Wierzę, głęboko, że ma pan słuszność, sir — odparł Hornblower.

Hrabia nie mógł wiedzieć, jak bardzo wzmianka o Wellingtonie poruszyła jego słuchacza; nie mógł przypuszczać, że dzień w dzień Hornblower głowił się nad pytaniem, czy siostra Wellingtona owdowiała, czy nie, czy Lady Barbara Leighton, z domu Wellesley, pomyślała czasem o kapitanie marynarki wojennej, o którym doniesiono, że nie żyje. Umysł jej mógł być całkowicie zaabsorbowany triumfami brata, i Hornblower bał się, że gdy wreszcie dotrze do Anglii, ona będzie zbyt wysoko postawioną damą, aby zwracać na niego uwagę. Ta myśl rozdrażniła go.

Poszedł spać w szczególnie trzeźwym nastroju, pogrążając się myślami w rozważaniu coraz to innych problemów — od nadchodzącego upadku cesarstwa francuskiego do spraw związanych z planowaną wyprawą w dół Loary. Leżąc bezsennie jeszcze długo po północy usłyszał nagle, jak drzwi jego sypialni cicho się otwarły i zamknęły; od razu zeszywniał z uczuciem lekkiego niesmaku na wspomnienie przygody miłosnej przeżywanej pod gościnnym dachem. Powoli zasłony przy jego łóżku rozsunały się i patrząc w ciemności półotwartymi oczyma zobaczył niewyraźną sylwetkę pochylającą się nad nim. Delikatna dłoń znalazła jego policzek i zaczęła go gładzić; nie mógł dłużej udawać, że śpi, i ocknął się niby w nagłym zdumieniu.

— Oratio, to ja, Marie — odezwał się cichy głos.

— Tak — mruknął Hornblower.

Nie wiedział, co ma powiedzieć i jak się zachować — w gruncie rzeczy sam nie wiedział, czego chce. Myślał głównie o tym, jak nierozważnie czyni Marie, przychodząc do jego pokoju, ryzykując, że zostaną odkryci i wystawiając całe przedsięwzięcie na niebezpieczeństwo. By zyskać czas na zastanowienie się, zamknął oczy udając, że śpi; ręka przestała gładzić jego policzek. Hornblower odczekał sekundę, może dwie i zdziwił się usłyszawszy znowu lekki szcęk zamka. Zerwał się i usiadł. Marie odeszła równie milcząco jak przyszła. Siedział, dumając dalej nad tym, co się stało, i nic z tego nie rozumiał. Nie miał zamiaru ryzykować i biec za Marie do jej pokoju, aby prosić o wyjaśnienia; wyciągnął się z powrotem, by przemyśleć sprawę i tym razem sen, kapryśny jak zawsze, zaskoczył go w środku rozważań. Spał mocno do chwili, gdy Brown wniósł poranną kawę.

Przez cały ranek zbierał odwagę do stawienia czoła nieprzyjemnej rozmowie, która go czekała, w końcu dokonawszy ostatniego przeglądu łodzi w towarzystwie Busha i Browna, ruszył po schodach w stronę buduaru Marie i zapukał do drzwi. Wszedł na jej zaproszenie i stanął w pokoju, z którym łączyło go tyle wspomnień. Ogarnął wzrokiem złote fotele z owalnymi oparciami wybitymi różowo-białą materią, okna wychodzące na oświetloną słońcem Loarę i Marie z robótką, siedzącą w fotelu u okna.

— Chciałem powiedzieć „dzień dobry” — odezwał się wreszcie, gdy Marie nie uczyniła nic, by mu pomóc.

— Dzień dobry — odpowiedziała. Pochyliła głowę nad robótką — słońce wpadające przez okno wspaniale oświetliło jej włosy — i przemówiła nie podnosząc twarzy: — Tylko dziś jeszcze możemy mówić „dzień dobry”, bo jutro już będziemy musieli powiedzieć sobie „do widzenia”.

— Tak — odparł Hornblower z ogłupiałą miną.

— Gdyby pan mnie kochał — ciągnęła — pańskie odejście i świadomość, że przez wiele lat nie będziemy się mogli zobaczyć — może nawet nigdy — byłaby dla mnie straszną rzeczą. Skoro mnie pan jednak nie kocha, to cieszę się, że wraca pan do żony i do dziecka, do swoich okrętów i do wojaczki. Pan tego pragnie i jestem rada, że będzie pan miał to wszystko.

— Dziękuję — odparł Hornblower.

Marie dalej nie podnosiła oczu na niego.

— Jest pan typem mężczyzny, w którym kobiety łatwo się zakochują — ciągnęła. — Nie spodziewam się, że będę ostatnia. Wątpię, czy pan pokocha kogoś w ogóle lub zrozumie, co znaczy kochać.

Nawet po angielsku Hornblower nie potrafiłby nic odrzec na te dwa zaskakujące stwierdzenia, a cóż dopiero po francusku. Jąkał coś bez ładu i składu.

— Do widzenia — rzekła Marie.

— Do widzenia, madame — powtórzył Hornblower bezradnie.

Wszedł do hallu na górze z płonącą rumieńcem twarzą, w stanie rozbicia wewnętrznego, w którym poniżenie odgrywało podrzędną rolę. Zdawał sobie jasno sprawę, że zachował się podle i że został odprawiony w ubliżający sposób. Lecz zaintrygowały go inne uwagi Marie. Nigdy nie przysłoby mu do głowy, że kobiety łatwo się w nim zakochują. Maria — dziwna zbieżność imion, Maria i Marie — wiedział, kochała go, wydawało mu się to nieco męczące i denerwujące. Barbara sama mu się zaofiarowała, ale nigdy nie pozwoliłby sobie na przypuszczenie, że uczyniła to z miłości — czyż nie poślubiła zresztą innego? A Marie kochała go — z uczuciem winowajcy przypomniawszy sobie incydent sprzed paru dni, gdy leżąc w jego ramionach Marie wyszeptała namiętnie: „Powiedz, że mnie kochasz”, a on odparł posłusznie: „Kocham cię, skarbie”. „Więc jestem szczęśliwa” — westchnęła Marie. Może i dobrze się stało, że Marie wie teraz, iż kłamał, i ułatwiła mu wycofanie się. Inna kobieta na jej miejscu mogłaby jednym słowem posłać jego i Busha do więzienia lub na śmierć — są kobiety zdolne do tego.

A to, że nigdy nie kochał nikogo... Marie na pewno myliła się w tym względzie. Nie знаła udręki tęsknoty, jaką przeżywał z powodu Barbary, nie wiedziała, jak bardzo jej pożądał i jak wciąż jej pragnie. Zawahał się, niepewny, czy to pożądanie przetrwałoby próbę zaspokojenia. Porzucił w panice tę tak niemiłą myśl. Jeśli Marie pragnęła z zemsty naruszyć jego spokój, to z pewnością dopięła swego; jeśli natomiast chciała odzyskać go dla siebie, to też była bliska sukcesu. Gdyby tylko kiwnęła palcem, Hornblower wróciłby do niej, targany wyrzutami sumienia i niezadowolony z siebie, ale nie uczyniła tego.

Tego wieczora przy kolacji wyglądała dziewczęco i pogodnie, oczy jej lśniły, cerę miała zaróżowioną, a gdy hrabia podniósł swój kielich z toastem „za szczęśliwą podróż do domu”, przyłączyła się do niego z wyraźnym entuzjazmem. Hornblower pod maską wymuszonej wesołości był posępny. Dopiero teraz, wobec perspektywy bliskiego odjazdu, uświadomił sobie, że istnieją argumenty wyraźnie przemawiające za stanem zwolnionej wegetacji, w jakim spędzał ostatnie miesiące. Jutro opuści ten azyl pewności, bezpieczeństwa i apatycznego półśnienia. Czekają go niebezpieczeństwa fizyczne; tym mógł stawić czoło spokojnie, najwyżej ze ściśnięciem gardła, ale poza tym czeka go też rozstrzygnięcie tych wszystkich tak gnębiących niepewności i wątpliwości.

Nagle uświadomił sobie, że wcale nie pragnie tak bardzo, aby te niepewności się rozwiązyły. Teraz mógł jeszcze mieć nadzieję. Jeśli Leighton oświadczy, że pod Rosas Hornblower walczył niezgodnie z duchem jego rozkazów; jeżeli sąd wojenny uzna, że o „Sutherlanda” nie bito się do ostatniego tchu — a sądy wojenne to niepewna sprawa; jeżeli... jeżeli... jeżeli... I była sprawa Marii, czekającej na niego ze swoją przesadną słodyczą, od której robiło się mdło, i udręka tęsknoty za Lady Barbarą — wszystko silnie kontrastujące ze spokojem obecnego bytowania, z niezmaconą uprzejmością hrabiego i pobudzającym wpływem zdrowej żywotności Marie. Podnosząc kielich Hornblower musiał się wysilić na uśmiech.

Rozdział XI

Szeroka Loara o zielonych wodach opadła do poziomu letniego. Hornblower obserwował, jak wzbierała, jak lód pokrywał ją i topniał, widział wierzby nadbrzeżne prawie zupełnie zalane wodą, a teraz płynie znowu bezpiecznie szerokim korytem obramowanym cętkami złocistobłękitnego

żwiru. Bystra zielonkawa woda jest przejrzysta, a nie mętna jak kiedyś, a pod błękitnym niebem dalsze odcinki rzeki wydawały się również błękitne, kontrastując prześlicznie barwą z wiosennym szmaragdem doliny i złocistością brzegów.

Z pierwszym brzaskiem dnia ruszyły dwa woły o lśniącej brunatnej sierści, cierpliwe w swoich jarzmach, wlokąc ku brzegowi rzeki legary osadzone na płozach; Brown i Hornblower szli po obu stronach bacząc, by umieszczona na nich drogocenna łódź nie uległa uszkodzeniu, a Bush dysząc ciężko kuśtykał za nimi. Łódka zsunęła się lekko do wody i pod nadzorem Browna chłopcy stajenni ładowali do niej przyniesione wory z zapasami. Lekka mgiełka poranna leżała jeszcze w dolinie i unosiła się nad powierzchnią wody, czekając aż wszędzie słońce i wypije ją. Pora ta była najlepsza do wyruszenia w drogę, mgła kryła ich przed dociekliwym okiem ludzi, w których widok tej ekspedycji mógłby wzbudzić zbytnią ciekawość. Pożegnanie odbyło się w siedzibie hrabiego — on sam był pogodny jak zawsze, jak gdyby przywykł co dzień wstawać o piątej rano, a Marie miała spokojny uśmiech na ustach. W zabudowaniach stajennych i kuchni lały się łzy; wszystkie kobiety opłakiwały odjazd Browna, płacząc bez skrępowania i chichocąc przez łzy, gdy on śmiał się i dowcipkował płynną francuszczyzną, której się zdążył nauczyć, i klepał je po szerokich pośladkach. Hornblower pomyślał, ileż to z nich Brown uwiódł tej zimy i ile anglofrancuskich dzieci przyjdzie wskutek tego na świat jesienią.

— Proszę nie zapomnieć o obietnicy powrotu po wojnie — powiedział hrabia do Hornblowera. — Marie uraduje się widokiem pana tak samo jak ja.

W uśmiechu jego nie było cienia ukrytej aluzji — ale ile mógł się domyślać czy wiedzieć? Wspomnienia ścisnęły krtań Hornblowera.

— Odbijać! — rozkazał. — Brown, do wiosła.

Łódź zazgrzytała na żwirze i spłynęła porwana przez prąd, oddalając się w tanecznych podskokach od grupki chłopców stajennych i od flegmatycznych wołów, już ledwie widocznych przez mgłę. Skrzypiały dulki i łódka przechylała się w rytm pociągnięć wiosła; Hornblower słyszał te odgłosy i czuł obecność Busha obok siebie na rufie, ale przez kilka sekund nie widział nic. Tonął w tumanie gęściejszym niż ten realny.

Gdy słońce przedarło się i Hornblower poczuł na plecach jego ciepło, obie mgiełki, prawdziwa i ta, która spowiła jego świadomość, rozwiały się. Na wysokim brzegu po drugiej stronie leżał sad, na który Hornblower często spoglądał ze swojego okna; wyglądał teraz pięknie, cały w kwieciu. Obejrzawszy się zobaczył chateau tonący w blasku słońca. Wiedział, że narożne wieżyczki zostały dobudowane nie dalej jak pięćdziesiąt lat temu przez kogoś z hrabiów de Gracay z pretensjonalnym upodobaniem do antyku, lecz z tej odległości robiły wrażenie oryginalnych. W perłowej poświacie zamek wyglądał jak z bajki albo z marzeń; miesiące w nim spędzone już mu się wydawały także snem, z którego budził się z żalem.

— Panie Bush — odezwał się szorstko. — Proszę zarzucić wędkę i udawać, że pan łowi ryby. A wy, Brown, wiosłujcie wolniej.

Płynęli majestatyczną rzeką, błękitną w dali, a zieloną za burtą, o wodzie klarownej i

przejrzystej do tego stopnia, że mogli dojrzeć przesuające się pod nimi dno. W kilka minut później dotarli do miejsca, gdzie wpada piękna Allier, dorównująca niemal wielkością Loarze, a ich połączone wody toczyły się majestatycznie korytem o szerokości stu pięćdziesięciu sążni. Od brzegów dzieliła ich odległość strzału z muszkietu, ale byli w sytuacji bezpieczniejszej, niżby się zdawało, gdyż po obu stronach rozciągały się piaszczyste pustkowia porośnięte przy brzegach wikliną, nie zamieszkałe z powodu okresowych wylewów, które mogły być odwiedzane najwyżej przez rybaków i kobiety piorące bieliznę.

Mgielka rozwiała się już zupełnie i upalne słońce niosło zapowiedź jednego z tych wspaniałych wiosennych dni w środkowej Francji. Hornblower przesunął siedzenie w wygodniejsze miejsce. W obecnej wyprawie ciężar hierarchii był przytłaczający; jeden marynarz na jednego porucznika i jednego kapitana, to była proporcja absurdalna. Będzie potrzebował wiele taktu, aby wszyscy trzej byli zadowoleni — żeby Brown nie czuł się urażony tym, iż spycha się na niego całą robotę, i aby dyscyplina nie ucierpiała na zbyt demokratycznym podziale pracy. W łódce o długości piętnastu stóp trudno będzie zachowywać wyniosłą powagę, jaka powinna cechować kapitana.

— Brown — przemówił. — Jak dotąd jestem z was bardzo zadowolony. Tylko tak dalej, a dopilnuję, żebyście byli odpowiednio wynagrodzeni po powrocie do Anglii. Zostaniecie awansowani na starszego podoficera, jeśli wam na tym zależy.

— Dziękuję, sir. Bardzo pięknie dziękuję. Ale za pańskim pozwoleniem, dobrze mi tak, jak jest, sir.

Rozumiał przez to, że jest zadowolony ze swojej rangi sternika łodziowego, lecz ton jego głosu zdradzał coś więcej. Hornblower popatrzył na Browna wiosłującego w powolnym tempie, z twarzą zwróconą do słońca. Malował się na niej błogi uśmiech — ten człowiek był bezmiernie szczęśliwy. Przez długie miesiące dobrze jadł i mieszkał, miał towarzystwo wielu kobiet, lekką pracę i nie odczuwał żadnych braków. Nawet teraz ma przed sobą perspektywę jadła lepszego, niż miał kiedykolwiek przed przybyciem do Francji, trochę spokojnego wiosłowania, co trudno byłoby uważać za ciężką pracę, i ani mowy o tym, żeby musiał wyskakiwać na pokład w huczącą noc do refowania marsli. Hornblower uświadomił sobie, że dwadzieścia lat służby na dolnym pokładzie we flocie króla Jerzego musiało w każdym wyrobić przyzwyczajenie do życia tylko bieżącą chwilą. Jutro może przynieść chłostę, niebezpieczeństwo, chorobę, śmierć, na pewno ciężki trud, a może i głód, a wszystko to bez możliwości przeciwdziałania żadnemu z tych nieszczęść, gdyż jakiegokolwiek przeciwstawianie się wywołałoby rezultat wprost przeciwny. Dwadzieścia lat na łasce nieprzewidzianego, i to nie tylko w sprawach większej wagi, ale i w drobiazgach, musiało uczynić fatalistę z każdego, kto zdołał je przeżyć. Przez moment Hornblower pozazdrościł Brownowi, że nie zazna nigdy udręki bezradności czy poniżającego uczucia towarzyszącego brakowi zdecydowania.

Koryto rzeki rozszczepiało się w tym miejscu na wysepkach okolonych złocistym pasmem żwiru; do Hornblowera należało wybieranie przejść najodpowiedniejszych do żeglugi — zadanie wcale niełatwe. Jak na złość płycizny pojawiały się w samym środku nurtu, który zdawał się być nurtem głównym; przezroczysta zielona woda przepływała po nich coraz szybciej i stawała się coraz płytsza, aż dno łodzi zaczynało szorować o kamienie. Niekiedy piaszczysta ławica urywała się nagle, i w jednej chwili z bystrej wody o głębokości zaledwie sześciu cali wpadali na

szmaragdową głębię, gdzie do dna było sześć stóp, ale teraz częściej zdarzało się im osiadać na mieliźnie i wtedy Brown z Hornblowerem, podwinąwszy nogawki spodni do kolan, musieli wyskakiwać i ciągnąć łódź nieraz ze sto jardów po płyciźnie, zanim znaleźli dostatecznie głębokie miejsce. Hornblower dziękował losowi za to, że zdecydował, aby ich łódź miała płaskie dno — stępka zawadzałaby im tylko.

Wreszcie natknęli się na tamę, podobną do tamtej, która zakończyła katastrofalnie ich poprzednią żeglugę po rzece w ciemnościach nocy. Utworzona była częściowo w sposób naturalny, a częściowo ręką człowieka, z odłamków skał ułożonych byle jak w poprzek koryta rzeki, i w kilku miejscach woda z wściekłością przelewała się przez nią.

— Brown, wiosłujcie na tamten brzeg — rozkazał Hornblower w odpowiedzi na pytające spojrzenie sternika.

Wsunęli łódź na żwir, tuż nad tamą, a Hornblower wysiadł i spojrzał w dół. U stóp tamy kłębiła się woda na odcinku stu jardów; będą musieli wszystko przenosić. Trzy razy Hornblower i Brown obracali tam i z powrotem dźwigając zapasy na miejsce, skąd mogli znowu płynąć — Bush ze swoją drewnianą protezą ledwie zdołał dobrnąć tam po nierównym gruncie — a potem zabrali się do przetransportowania łodzi. Nie było to zadanie łatwe; co innego przeciągać ją po płyciźnie, choćby tylko na cal głębokiej, a zupełnie co innego przenosić na własnych plecach. Hornblower z ponurą miną medytował przez parę chwil, jak to zrobić, zanim przystąpił do dzieła. Schylił się i podłożył ręce z jednej strony.

— Brown, bierzcie z drugiej strony. Teraz — do góry z nią.

We dwóch z trudem zdołali ją unieść; ledwie potykając się przeszli jard, już Hornblower stracił siłę w rękach, łódź wysliznęła mu się i upadła na ziemię. Zdenerwowany, unikając wzroku Browna, schylił się znowu.

— Do góry! — krzyknął.

Nie było mowy o przeniesieniu ciężkiej łodzi w ten sposób. Ledwo ją dźwignął, już wypadła mu z rąk.

— Tak nie da rady, sir — odezwał się nieśmiało Brown. — Musimy wziąć ją na plecy, sir. To jedyny sposób.

Hornblower słuchał tych słów, wypowiedzianych pełnym szacunku tonem, jakby dobiegały z dużej odległości.

— Za pańskim pozwoleniem, sir, jak pan chwyci za dziób, to ja się zajmę rufą. Tak, sir, niech pan weźmie z tamtej strony. Proszę trzymać, sir, aż dojdę do rufy. Dobra, sir. Gotowe. Do góry!

Nieśli ją na grzbietach, uginając się pod wielkim ciężarem. Hornblower podtrzymujący z ogromnym wysiłkiem lżejszą stronę od dziobu pomyślał o Brownie, który dźwigał znacznie cięższą rufę, i zacisnąwszy zęby przysiągł sobie, że nie zaproponuje odpoczynku, póki Brown o to nie

poprosi. Po pięciu sekundach pożałował tego. Oddychał z trudem i czuł kłujący ból w piersi. W miarę jak posuwali się po nierównej powierzchni, było mu coraz trudniej wyszukiwać odpowiednie miejsce dla oparcia stopy. Miesiące spędzone w Chateau de Gracay zrobiły swoje, pozbawiając go krzepy i kondycji; na kilku ostatnich jardach nie czuł już nic prócz straszliwego ucisku na karku i barkach, prócz trudności ze złapaniem tchu. Potem usłyszał gruby głos Busha:

— Dobra, sir. Niech mi pan da chwycić, sir.

Z niewielką, lecz pożądaną pomocą Busha mógł już zsunąć z siebie ciężar i opuścić łódkę na ziemię; nad rufą stał Brown dysząc ciężko i ocierając ramieniem pot z czoła. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, przypuszczalnie na temat ciężaru łodzi, i zamknął je przypomniawszy sobie, że znowu obowiązuje go dyscyplina, która pozwala, by odzywał się tylko wtedy, gdy ktoś się zwraca do niego. A dyscyplina, uświadomił sobie Hornblower, wymaga i od niego, aby nie zdradzał się ze słabością przed podwładnymi — już to było złe, że musiał przyjąć radę Browna co do sposobu niesienia łodzi.

— Chwycicie znowu, Brown, spuścimy ją na wodę — powiedział, z wysiłkiem opanowując nierówny oddech.

Zepchnęli łódź i przenieśli do niej z powrotem zapasy. Hornblowerowi kręciło się w głowie od wysiłku, pomyślał tęsknie o swoim wygodnym miejscu na rufie, ale odrzucił tę myśl.

— Brown, ja wezmę wiosła — oznajmił.

Brown znowu otworzył usta i zamknął, ale nie mógł kwestionować wyraźnego rozkazu. Łódka zatańczyła na wodzie, pchana wiosłami przez Hornblowera, szczęśliwego w bezpodstawnym raczej przeświadczeniu, że pokazał, iż kapitan królewskiej marynarki wojennej dorównuje siłą fizyczną zwykłemu sternikowi, choćby miał mięśnie Herkulesa.

Raz czy dwa tego dnia wjechali na płyciznę pośrodku nurtu i chcąc ją przebyć musieli zmniejszać obciążenie łodzi do minimum. Kiedy Hornblower i Brown, obaj po kostki w bystro płynącej wodzie, nie mogli już ciągnąć dalej, Bush też musiał wysiadać i kuśtykać z prądem ze swą drewnianą nogą, zapadającą się głęboko w piach mimo szerokiej skórzanej podeszwy, do skraju płycizny i czekać tam, aż oni podciągną do niego lżejszą teraz łódź — zdarzyło się, że musiał stać z worem chleba i tobołem pościeli, aż przeholowali łódź przez mieliznę, a wtedy trzeba było odpiąć protezę, pomóc mu wsiąść do łodzi, i potem wyciągać ją wbitą głęboko w piaszczyste dno. Tego samego dnia musieli raz jeszcze powtórzyć przenosiny, szczęśliwie jednak przez odcinek znacznie krótszy niż poprzednio; wszystko to urozmaiciło całodniową podróż, tak że nie mieli czasu na nudę.

Płynąc szeroką opustoszałą rzeką mieli wrażenie, jakby podróżowali po nie zamieszkaney krainie. Przez większą część dnia nie dostrzegli ani żywej duszy. Raz zauważyli skif[10] przycumowany do brzegu i używany widocznie w charakterze promu, to znowu minęli duży prom do przewozu pojazdów — płaskodenną krypę przycumowaną w ten sposób, że pod naporem prądu wahadłowym ruchem przesuwiała się sama na długich linach w poprzek rzeki. Kiedyś znowu przejechali obok łódeczki, na której wydobywano piasek z dna rzeki dla celów budowlanych; dwóch ogorzałych mężczyzn pracowało ciężko na pokładzie posługując się małymi czerpakami osadzonymi na drągach; nabierali nimi piach z dna i wysypywali go do łódki. Był moment nerwowego napięcia,

gdy podpływali do nich, Bush i Brown z zarzuconymi ozdobnymi wędkami, a Hornblower pilnujący się, aby wiosłować od niechcienia, tyle tylko żeby utrzymać łódź pośrodku nurtu. Mijając piaskarzy pomyślał, czy nie kazać Bushowi i Brownowi, żeby od razu uciszyli obu, gdyby tamci zachowali się w sposób podejrzany, lecz powstrzymał się. Mógł być pewien, że sami zadziałają szybko i bez rozkazu, a duma nie pozwalała mu zdradzić się ze swymi obawami.

Lecz te obawy były zupełnie bezpodstawne. Piaskarze obrzucili ich spojrzeniami, w których nie było zainteresowania, w ich uśmiechach i uprzejmym „Bonjour, messieurs” można było wyczuć serdeczność.

— Bonjour — odpowiedzieli Hornblower i Brown — Bush miał na tyle rozsądku, by nie wyrzec ani słowa, gdyż mógłby z miejsca ich zdradzić, i całą uwagę skoncentrował na swojej wędce. Widocznie łodzie z amatorami wędkarstwa były na Loarze rzeczą zbyt codzienną, aby budziły zdziwienie; niewinny charakter tego sposobu spędzania czasu chronił ich przed podejrzeniami, co zresztą przewidział i Hornblower, i hrabia. Komuż przyszłoby do głowy, że załogę małej łódeczki w samym sercu Francji mogą stanowić zbiegli jeńcy wojenni.

Nad rzeką najczęściej widywali kobiety piorące bieliznę, czasem w pojedynkę, czasem w grupkach, a ich paplanina wyraźnie dobiegała do nich po wodzie. Anglicy słyszeli „klap, klap, klap” drewnianych kijanek po mokrej bieliźnie rozpostartej na deskach i obserwowali, jak klęczące kobiety zginały się i prostowały płucząc pranie w wodzie rzecznej; rzucały od niechcienia za nimi spojrzeniem, gdy przesuwały się z prądem, nigdy nie przeprowadzając ich wzrokiem dłużej, a czasem w ogóle nie patrząc na nich. W niespokojny czas wojenny można było w najróżniejszy sposób tłumaczyć widok obcych im ludzi w łódce, toteż się tym w ogóle nie zajmowały.

Dzięki przyłączeniu się wód Allier i ustaniu roztopów wiosennych ani razu nie spotkali już huczących bystrzyn jak te, w których się poprzednio o mało nie potopili. Piaszczyste ławy usiane głazami znaczyły miejsca, gdzie zimą toczyły się bystrzyny i nietrudno było przepływać tamtędy albo raczej je omijać. W gruncie rzeczy wszystko szło jak z płatka. Nawet pogoda była łaskawa, cudny, jasny dzień, ciepły, tonący w słońcu, które oświetlało panoramę złota, błękitu i zieleni. Brown pławiał się w szczęściu bezwstydnie, ale twardy Bush czuł się nieswojo, ilekroć otaczający ich spokój sprowadził na niego drzemkę; zgodnie z jego surową filozofią ród ludzki — a przynajmniej marynarski — został stworzony do smutku, trudów i niebezpieczeństw, i każde odstępstwo od takich warunków należało traktować podejrzliwie i nie radować się nim za bardzo, żeby później nie płacić za to zbyt wysokiej ceny. Ta rozkoszna podróż rzeką, gdy ranek przechodził w południe, a południe w długie, senne popołudnie, z doskonałym lunchem w postaci pasztetu na zimno (pożegnalny prezent grubej Jeanne) i butelki wina, była zbyt piękna, aby mogła być prawdziwa.

Wszystkie mijane miasteczka, czy raczej wioski, leżały wysoko na odległych brzegach, poza linią wylewu rzeki; Hornblower, który poznał już na pamięć skróconą marszrutę i tabele odległości przygotowane przez hrabiego, wiedział, że pierwszym miastem mającym most jest Briare i że dotrzeć tam mogli tylko późnym wieczorem. Zamierzał odczekać do zapadnięcia zmroku i potem przemknąć w ciemnościach obok miasteczka, lecz w miarę upływu dnia coraz bardziej skłaniał się do tego, żeby nie czekać. Nie umiał wyjaśnić sobie kierujących nim motywów. Wiedział, że nie leży w jego charakterze narażać się na najmniejsze nawet niebezpieczeństwo, gdy nie pobudza go ani obowiązek, ani pragnienie odznaczenia się. Jediną korzyścią mogło być zaoszczędzenie godziny czy

dwóch. Wprawdzie miał w sobie głęboko wpojona nelsonowską zasadę „nie tracenia ani godziny”, ale nie tym się powodował.

Częściowo w grę wchodziła jego wrodzona przekora. Wszystko poszło tak wspaniale. Już sama ucieczka eskortie zakrawała na cud, a tym bardziej zbieg okoliczności, który ich doprowadził do Chateau de Gracay, jedyne miejsce w całej Francji, gdzie mogli znaleźć bezpieczne schronienie. Obecna wyprawa w dół rzeki miała wszelkie szanse powodzenia. Instynktowną reakcją na tak niezwykle pasmo sukcesów było pakowanie się w opaty — tylekroć znajdował się w nich w swoim życiu, że bez tego czuł się nieswojo.

Niewykluczone jednak, że jakiś diabeł go do tego podkusił. Był rozdrażniony i markotny. Zostawił za sobą Marie i z każdym jardem, o który się od niej oddalał, coraz mocniej tego żałował. Gnębiło go wspomnienie haniebnej roli, jaką odegrał wobec niej, i pamięć razem spędzonych godzin; opadła go tkliwa tęsknota za nią. A przed nim leżała Anglia, gdzie uważano go za zmarłego, gdzie Maria do tego czasu być może pogodziła się ze stratą i gdyby się zjawił, byłaby szczęśliwa nie do wytrzymania, gdzie Barbara zapomniała już pewnie o nim i gdzie oczekiwał go sąd wojenny, mający zbadać jego postępowanie. Przyszła mu do głowy ponura myśl, że byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby naprawdę nie żył; wzdragał się przed perspektywą powrotu do Anglii jak przed daniem nurka do zimnej wody czy przed grożącym mu niebezpieczeństwem. To był główny motyw jego zachowania. Zawsze zmuszał się do stawiania czoła niebezpieczeństwu, do wychodzenia mu dzielnie naprzeciw. Połykał każdą pigułkę podawaną mu przez życie, wiedząc, że wahanie wywoła jeszcze głębszą pogardę dla samego siebie. I teraz nie pozwoli sobie na żadną wymówkę, która mogłaby wytłumaczyć zwłokę.

Na końcu długiego, szerokiego odcinka rzeki widać już było Briare. Na tle wieczornego nieba rysowała się sylwetka wieży kościelnej, a długi most, wsparty na szeroko rozstawionych przęsłach, czerniał w oddali na tle srebrzącej się wody. Hornblower obejrzał się i objął ten widok spojrzeniem; czuł oczy podwładnych zwrócone na niego z niemym pytaniem.

— Brown, bierzcie wiosła — mruknął.

W milczeniu zamienili się miejscami i zdziwiony Bush przekazał mu ster — pamiętał dobrze o poprzedniej decyzji przechodzenia pod mostami tylko nocą. W dali wolno sunęły rzeką dwa duże ciemne kształty, barki przeciągane na cumach z bocznego kanału z jednej strony do kanału Briare po drugiej stronie, poprzez tor pogłębiony w tym celu w poprzek rzeki. Podpływali coraz bliżej pod silnymi pociągnięciami wiosła Browna, a Hornblower cały czas patrzył przed siebie. Zlustrowawszy szybko, lecz uważnie, powierzchnię wody zorientował się, pod którym łukiem mostu można przejść najłatwiej, dostrzegł też liny holownicze i cumy barek — zaprzęgi koni na moście i na brzegach, wyraźnie widoczne na tle nieba, ciągnęły liny przesuwając wyładowane barki w poprzek bystrego nurtu.

Na moście już ich zauważono, a między barkami pozostała luka dosyć szeroka, by mogli przepłynąć tamtędy bez zatrzymywania się i udzielania wyjaśnień.

— Mocno wiosłować! — rzucił do Browna, i łódź pomknęła rzeką jak strzała. W pędzie prześliznęli się pod mostem i zręcznie okrążyli rufę jednej z barek; gdy przemykali obok niej,

krzepki starzec u steru, z wnukiem stojącym obok, spojrzął na nich z obojętną ciekawością. Hornblower pomachał wesoło ręką do dzieciaka — podniecenie było dla niego najlepszym lekarstwem, zawsze wspaniale poprawiało jego samopoczucie — a spojrzawszy w górę ku ludziom zgromadzonym na moście i brzegach wyszczerzył do nich w uśmiechu zęby. Potem minęli ich wszystkich i zostawili Briare za sobą.

— Poszło jak z płotka, sir — zauważył Bush.

— Tak — odparł Hornblower.

Gdyby podróżowali drogą, na pewno zatrzymywano by ich dla skontrolowania paszportów; tu, na tej niezeglownej rzece, nikogo o to nie pytano. Słońce było już nisko i świeciło prosto w oczy, a za godzinę zrobi się zupełnie ciemno. Hornblower zaczął rozglądać się za miejscem dogodnym na nocleg. Minęli długą wyspę, a potem zauważył idealne miejsce — maleńkie wzniesienie na rzece z trzema wierzbami i zielenią pośrodku okoloną szerokim pasem złocistobrazowego żwiru naniesionego przez opadające wody rzeki.

— Brown, wjeżdżamy na tamtą mieliznę — oznajmił. — Przestać wiosłować. Wiosłować prawym. Teraz obydwoma. Przestać wiosłować.

Łądowanie niezbyt się udało. Mimo niezaprzeczalnej umiejętności kierowania dużymi jednostkami Hornblower słabo się orientował w zachowaniu się łodzi płaskodennych na płycznach rzecznych. Był tam przeciwprąd, który obrócił łódź, a zanim dno jej dotknęło gruntu, prąd ściągał ją z powrotem. Brown wyskoczywszy przez dziób, stojąc prawie do pasa w wodzie musiał schwycić za cumę i owinąć się nią, aby zapanować nad łodzią. Hornblower odczuł taktowne milczenie, jakie zapadło, gdy Brown znowu podciągał łódź w żwir — z irytacją patrzył, jak Bush wierci się niespokojnie i słyszał w myślach słowa, którymi jego zastępca besztalby świeżo upieczonego oficera za tak nierozważny krok. Uśmiechnął się złośliwie na myśl, że Bush musi trzymać język za zębami, i to pozwoliło mu zapomnieć o przykrości.

Wszedł do płytkiej wody i pomógł Brownowi wyciągnąć lżejszą teraz łódź dalej na brzeg — powstrzymując gestem Busha, który też chciał wysiąść. Bush nie potrafił przywyknąć do siedzenia spokojnie, gdy kapitan się trudził. Pozwolił mu wysiąść dopiero, gdy woda sięgała zaledwie do kostek; wyciągnęli łódź tak daleko, jak się dało, i Brown umocował cumę do kołka mocno wbitego w ziemię, aby łódka nie odpłynęła w razie niespodziewanego podniesienia się poziomu wody. Słońce zaczęło już rzucać płomienne blaski zachodu i zmierzch zapadał szybko.

— Kolacja — zarządził Hornblower. — Co będziemy jedli?

Kapitan ściśle przestrzegający dyscypliny wydałby odpowiednie polecenie nie pytając podkomendnych, na co mają ochotę, ale Hornblower zbyt dobrze zdawał sobie sprawę z nienormalnej przewagi liczebnej kierownictwa w jego obecnej załodze, aby do tego stopnia przestrzegać pozorów. Mimo to Bush i Brown wciąż trwali pod wpływem wpajanego im przez całe życie poczucia subordynacji i nie potrafili się zdobyć na zaproponowanie czegokolwiek kapitanowi; milcząc czekali, aż Hornblower zdecyduje, że wykończą pasztet na zimno z gotowanymi kartoflami. Po wysłuchaniu decyzji Bush zinterpretował i uzupełnił po swojemu rozkaz kapitana, jak przystało

na doświadczonego zastępcę.

— Rozpalę ogień — powiedział. — Brown, znajdziecie tu dosyć drewna wyrzuconego przez rzekę. Tak, potrzebny mi też będzie trójnóg do zawieszenia garnka nad ogniem... zetnijcie mi te trzy gałęzie.

Bush czuł, że Hornblower szuka sposobu, jak by bez uszczerbku dla swej godności pomóc w przygotowywaniu kolacji, ale nie chciał do tego dopuścić. Popatrzył więc na kapitana na pół błagalnie, na pół przekornie. Kapitan nie tylko nie może być nigdy widziany przy wykonywaniu pracy uwłaczającej jego stanowisku, lecz powinien przebywać z dala od zwykłych śmiertelników, w niedostępnym sanktuarium swojej kabiny.

Hornblower zostawił im całą robotę i ruszył w obchód wysepki, spoglądając na odległe brzegi i dalekie domostwa szybko znikające w pogłębiającym się zmierzchu. Jak się okazało, przyjemna dla oka zieleń pokrywająca większość wyspy nie była trawą, lecz zaroślami pokrzywowymi, sięgającymi kolan mimo wczesnej pory roku. Sądząc z przekleństw dobiegających z przeciwnej strony wysepki Brown zrobił to samo odkrycie, gdy chodził boszo w poszukiwaniu drewna do ogniska.

Przez jakiś czas Hornblower przechadzał się wzdłuż pokrytego żwirem brzegu, a gdy zawrócił, oczy jego ujrzały sielski obrazek. Brown podtrzymywał mały ogień, trzaskający pod zawieszonym na trójnogu garnkiem, a Bush, z wyciągniętą sztywno ku przodowi drewnianą nogą, kończył obierać kartofle. Widocznie uznał, że porucznik może spełniać podrzędne prace pospołu z jedynym członkiem załogi, nie wystawiając dyscypliny na szwank. Jedli razem, w przyjacielskim, choć milczącym nastroju, przy dogasającym ognisku; nawet wieczorny chłód nie osłabił uczucia koleżeństwa, z którego każdy z nich zdawał sobie sprawę na swój sposób.

— Czy mam wystawić wartę, sir? — spytał Bush po kolacji.

— Nie — odparł Hornblower.

Ta dodatkowa odrobina bezpieczeństwa, jaką zapewniłoby czuwanie jednego z nich, nie zrekompensuje czterech godzin spędzonych przez każdego na czuwaniu.

Bush i Brown spali na gołej ziemi — bardzo niewygodnie, zdaniem Hornblowera — owinięci płaszczami i kocami. On sam miał materac ze ściętych pokrzyw zręcznie ułożonych przez Browna pod plandeką z łodzi na najrówniejszym kawałku żwirowego cypelka, kosztem prawdopodobnie wielu bąbli. Spał spokojnie, z twarzą wilgotną od rosy, a sierp księżyca z rozgwieżdżonego nieba świecił prosto na niego. Poczul lekki wyrzut sumienia pomyślawszy o wielkich wodzach ludzkości — szczególnie Karolu Dwunastym — którzy dzielili proste jadło ze swoimi ludźmi i sypiali jak oni na gołej ziemi. Przez moment zastanawiał się, czy nie powinien pójść w ich ślady, ale zdrowy rozsądek wziął górę i przekonał go, że nie musi uciekać się do teatralnych chwytów, aby zaskarbić sobie oddanie Busha i Browna.

Owe dni na Loarze były przyjemne, a każdy miłszy niż poprzedni. Hornblowerowi dały nie tylko taką przyjemność jak dwutygodniowe wywczasy, ale przede wszystkim radość z nastroju koleżeństwa, jaki cechował całą tę wyprawę. W ciągu dziesięciu lat przepracowanych w randze kapitana wrodzona nieśmiałość wzmagała izolację towarzyszącą normalnie człowiekowi na jego stanowisku i prowadziła do coraz większego zasklepienia się w sobie, aż stracił świadomość tkwiącej w nim potrzeby ludzkiego towarzystwa. W małej łodzi, żyjąc blisko z innymi, gdy niedola jednego była niedolą wszystkich, poznał smak szczęścia. Wyostrzona intuicja pozwoliła mu docenić bardziej niż przedtem solidność Busha, w skrytości ducha gryzącego się utratą stopy i związaną z tym beczynnością oraz niepewnością swego przyszłego losu kaleki.

— Dopilnuję, żeby dostał pan stanowisko kapitana — powiedział Hornblower przy jedynej okazji, gdy Bush zrobił aluzję do swoich kłopotów — choćby to miała być ostatnia czynność w moim życiu.

Sądził, że powinno mu się to udać, nawet jeśli jego samego czekała w Anglii niełaska. Lady Barbara musi jeszcze pamiętać Busha i dawne czasy na „Lydii” i zdawać sobie sprawę z zalet porucznika tak samo jak on. Apel do niej, ubrany w odpowiednie słowa — nawet od człowieka skazanego przez sąd wojenny — mógłby odnieść skutek i poruszyć ukryte sprężyny poparcia w rządzie. Bush zasługiwał na stanowisko dowódcy bardziej niż połowa znanych mu kapitanów figurujących na liście.

Był też Brown, ze swą niezmaconą pogodą. Nikt nie mógł lepiej od Hornblowera ocenić trudnej sytuacji, w jaką popadł Brown przebywając w bezpośredniej bliskości dwóch oficerów. Ale Brown potrafił zawsze znaleźć złoty środek między koleżeńskim zachowaniem się a szacunkiem; umiał pękać ze śmiechu, kiedy pośliznąwszy się na kamieniu lądował w Loarze, i uśmiechać się ze współczuciem, gdy to samo przydarzyło się Hornblowerowi. Przykładał się do pracy, która musiała być zrobiona, i ani razu, nawet po dziesięciu dniach, gdy rozkład zajęć przerodził się niemal w rutynę, nie okazał, że uważa za rzecz oczywistą, aby oficerowie robili część roboty. Hornblower wróżył Brownowi świetną przyszłość, jeśli zyska czyjeś rozsądne poparcie. Mógł też dojść łatwo do rangi kapitana — Darby i Westcott zaczęli jak on na dolnym pokładzie. Nawet jeśli sąd wojenny go złamie, Hornblower będzie mógł zrobić coś, żeby mu pomóc. Wierzył, że przynajmniej Elliott i Bolton go nie zawiodą i przyjmą Browna do siebie na stanowisko młodszego oficera, jeśli ich o to poprosi.

Snując te plany na przyszłość dla swoich przyjaciół Hornblower mógł się zdobyć na spojrzenie z pewnym spokojem na koniec wyprawy i nieunikniony sąd wojenny. Jeśli chodzi o inne sprawy, to w ciągu tych cudownych dni udawało mu się unikać myśli o ich nadchodzącym rozstrzygnięciu. Była to spokojna wędrówka przez cichą otchłań zapomnienia. Zostawiał za sobą haniebną pamięć swego stosunku do Marie, a przyszłe troski były jeszcze odległe; raz w życiu mógł wieść próżniaczy żywot człowieka żyjącego dniem dzisiejszym.

Wielorakość drobnych szczegółów podróży sprzyjała takiemu nastrojowi — były tak nieistotne, a tak chwilami ważne. Wybieranie kursu między złotymi od piasku brzegami rzeki, wchodzenie do wody i przeciąganie łodzi, gdy wybór tego kursu okazywał się niewłaściwy; wyszukiwanie samotnej wysepki dla spędzenia nocy i gotowanie kolacji, gdy już wylądowali; przepływanie wolno obok piaskarzy i nielicznych grup wędkarzy; pamiętanie, by zachowywać się naturalnie przy mijaniu miast

— zawsze znalazły się jakieś drobiazgi absorbujące umysł. Zdarzyły się dwie deszczowe noce, które przespali skurczeni pod kocem rozpiętym na gałęziach wierzb — odczuł dziwną przyjemność, gdy obudził się objęty opiekuńczo ramieniem chrapiącego obok Busha.

Towarzyszyła im wspaniała panorama Loary — Gien, z zamkiem-twierdzą spiętrzoną swymi tarasami, Sully, z wielkimi okrągłymi bastionami, i Chateauneuf-sur-Loire, i Jargeau. Potem płynęli mile mając przed sobą widok wysmukłych kwadratowych wież katedry Orleanu — Orlean był jednym z nielicznych miast z rozległymi bulwarami nadrzecznymi, wzdłuż których musieli przepływać powoli, w sposób nie rzucający się w oczy, zwracając szczególną uwagę na jego trudne do mijania mosty. Ledwie stracili z oczu Orlean, a już byli w Beaugency, z niezwykle długim mostem o wielkiej liczbie przęseł i z dziwną kwadratową wieżą. Woda była niebieska, to znów złota i szmaragdowa. Za Nevers, w środkowym biegu rzeki, skały przeszły w żwirowe zbocza, a potem żwir ustąpił piaskowi, złoćącemu się na tle migotliwego błękitu rzeki, której woda przy burcie wydawała się przezroczyście zielona. Różnorodne odcienie zieloności, zieleń nie kończących się zarośli wiklinowych, winnic, pól zbożowych i łąk radowały oczy Hornblowera.

Minęli Blois, z wygiętym w ostry łuk mostem zwieńczonym piramidą, na której napis głosił, że most ten był pierwszym obiektem robót publicznych za panowania infanta Ludwika Piętnastego, potem Chaumont i Amboise, z pięknymi zamkami górującymi nad rzeką, i Tours — zwrócone ku wodzie szerokim frontem, wzdłuż którego też trzeba się przemknąć — i Langeais. Dzika pustka naszpikowanej wysepkami rzeki wypunktowana była wszędzie wieżami, zamkami i katedrami na odległych brzegach. Poniżej Langeais, z lewej strony, wpadała do Loary spokojna Vienne, wnosząc jak gdyby niektóre własne cechy do połączonego nurtu, który toczył się teraz wolniej i bardziej regularnie, przy malejącej liczbie płycizn. Za Saumur i niezliczonymi wysepkami Les Ponts-de-Ce dołączyła z prawej strony swe wody jeszcze większa Maine, pozbawiając w końcu nieokiełznaną rzekę tych wszystkich cech, które uczyniły ją tak im drogą. Stała się znacznie głębsza, płynęła wolniej i po raz pierwszy zauważyli, że powiodła się tu próba uspławnienia, uczynienia z rzeki arterii handlowej — wcześniej mijali liczne ślady zmarnowanych przez Bonapartego wysiłków w tym względzie.

Poniżej miejsca, gdzie wpadała Maine, tamy i groble przetrzymywały wiosenny przybór wód i ciągłą erozję, toteż po obu brzegach utworzyły się długie plaże pokryte złocistym piaskiem, a w środku głęboki kanał żeglowny dla barek. Minęli ich wiele płynących w górę rzeki z Nantes do Angers. Przeważnie holowały je zaprzęgi mułów, ale jedna czy dwie, korzystając z zachodniego wiatru, szły pod wielkimi gaflowymi grotzagliami. Hornblower odprowadził je pożądlwym spojrzeniem, gdyż były to pierwsze żagle, jakie widział od miesięcy, lecz odrzucił myśl zawładnięcia nimi. Jeden rzut oka na ich niezgrabne linie wystarczył, aby go przekonać, że niebezpieczniej byłoby wybrać się na morze w którejś z nich, nawet na krótką przejażdżkę, niż w łupince, którą płynęli.

Ów wiatr zachodni, który niósł barki pod prąd, przyniósł coś jeszcze ze sobą. Brown, wiosłując pracowicie pod wiatr, nagle zmarszczył nos.

— Za pańskim pozwoleniem, sir — odezwał się — czuję morze.

Wszyscy trzej zaczęli wciągać nosem wiatr.

— Na Boga, Brown, macie rację — rzekł Bush.

Hornblower nie odezwał się, ale i on poczuł słony zapach, który wzbudził w nim taką falę mieszanych uczuć, że aż zaniemówił. Tej nocy, po rozbiciu obozowiska — mimo zmian w charakterze rzeki wciąż mieli do wyboru mnóstwo nie zamieszkanymi wysepek — Hornblower zauważył, że poziom wody podniósł się dostrzegalnie powyżej miejsca, dokąd sięgał w chwili, gdy wyciągali łódź na piasek. Nie był to przybór spowodowany deszczem, jak wtedy, gdy po całodniowej ulewie łódź o mało nie odpłynęła nocą; tego wieczora nad Nantes nie padało, od trzech dni nie było ani śladu deszczu. Hornblower patrzył, jak woda podpełza wolno, nieomal zauważalnie, jak sięga do punktu najwyższego, trwa tam przez chwilę, a potem zaczyna opadać. To był przypływ. Dalej, u ujścia, w Paimboeuf, różnica między poziomem przypływu a odpływu sięgała od dziesięciu do dwunastu stóp, w Nantes od czterech do sześciu; tutaj był świadkiem ostatniego zamierającego wysiłku ze strony wciskającego się w te brzegi morza zepchnięcia rzeki z powrotem, skąd przyszła.

Dziwne uczucie wzbudziła w nim ta myśl. Nareszcie dotarli do obszaru pływowego, środowiska, w którym spędził ponad połowę życia; przewędrowali od morza do morza, ze Śródziemnego do miejsca, które przynajmniej z technicznego punktu widzenia było Atlantykiem; obserwowany przez niego przypływ obmywał również wybrzeża Anglii, gdzie była Barbara, i Maria, i jego nie znane dziecko, i lordowie komisarze Admiralicji. I nie tylko tyle. Oznaczało to, że przyjemna wyprawa Loara dobiegała końca. Nie mogli się spodziewać, że na wodach pływowych uda im się poruszać z poławą tej swobody, jaką cieszyli się w głębi lądu; na obce twarze i nieznanych przybyszów patrzeć tu będą podejrzliwie i być może najbliższe dwie doby zdecydują, czy dotrze do Anglii, by stanąć przed sądem wojennym, czy zostanie schwytany i postawiony przed plutonem egzekucyjnym. Hornblower w tej chwili zdał sobie sprawę, iż doznaje dawnego uczucia podniecenia, które przed samym sobą nazywał strachem — szybciej biło serce, wilgotniały dłonie, mrowiło w łydkach. Musiał zebrać się, by opanować te objawy, nim wróci do towarzyszy, by im powiedzieć, co zauważył.

— Wysoka woda pół godziny temu, sir? — powtórzył Bush w odpowiedzi.

— Tak.

— Hmm — mruknął Bush.

Brown nie odezwał się, bo tak mu nakazywała jego obecna sytuacja życiowa, lecz i po jego twarzy przemknął na chwilę ten sam wyraz głębokiego zamyślenia. Obaj reagowali na ten fakt w sposób właściwy marynarzom. Hornblower wiedział, że od tego momentu, spojrzawszy może tylko na słońce, a niekoniecznie na rzekę, będą w stanie z miejsca, bez zastanowienia określić stan pływu na podstawie praktyki nabytej w ciągu długich lat spędzonych na morzu. On sam to potrafił — różniło ich jednak to, że gdy jego fakt ten interesował jako zjawisko, dla nich był on rzeczą obojętną, a może nawet nie zdawali sobie z niego sprawy.

Rozdział XIII

Przed wpływieniem do Nantes Hornblower zdecydował, że muszą włożyć mundury urzędników

służby celnej. Przemyslał sprawę wszechstronnie, zanim podjął tę decyzję, zważywszy dokładnie wszystkie za i przeciw. Przybывая w ubraniach cywilnych od razu naraża się na indagacje, a wówczas będzie rzeczą zupełnie niemożliwą wyjaśnić brak papierów i paszportów, natomiast mundury powinny ich od tego uchronić, a gdyby nawet ich zaczepiono, mogą się uratować dając nagabującym wyniosłą odprawę. Ale odgrywanie roli pułkownika douanierów będzie wymagało od Hornblowera umiejętności aktorskich, a on nie miał do siebie zaufania — nie dla swych zdolności, lecz dla nerwów. Analizując chłodno swój charakter musiał szczerze przyznać przed sobą, że od lat gra komedię pozując na człowieka o kamiennym spokojem, którym bynajmniej nie był, dlategoż więc nie miałby udawać przez parę minut wyniosłego, nadętego pyszałka, mimo dodatkowej trudności związanej z koniecznością mówienia po francusku. Bez względu zatem na wątpliwości podjął tę decyzję, wdział zgrabny mundur i przypiął do piersi błyszczący order Legii Honorowej.

Jak zwykle, najtrudniejszy był pierwszy moment odbicia — zajęcie miejsca na ławce rufowej i ujęcie steru, podczas gdy Brown brał się za wiosła. Postarał się jednak opanować napięcie, by ręka dzierżąca ster nie zadrżała i głos nie zatrzęsł się przy wydawaniu rozkazów Bushowi. Toteż zachowywał się ze sztywną powagą, do jakiej przywykli jego ludzie, i przemawiał opanowanym szorstkim tonem, jaki zawsze przybierał w boju.

Pod naporem wiosł Browną rzeka uciekała wstecz, a miasto Nantes zbliżało się coraz bardziej. Domy na brzegach gęstniały, a potem rzeka zaczęła się rozwidlać w kilka odnóg; Hornblower rozpoznał od razu główny tor między wysepkami po śladach handlowej działalności na brzegach — przeważnie byłej działalności, gdyż Nantes zamierało, duszone powoli przez blokadę brytyjską. Ludzie włóczący się beczynniami po nabrzeżach, opustoszałe składy, wszystko to świadczyło o niszczącym wpływie wojny na handel francuski.

Przełynęli z szybkim prądem pod kilkoma mostami, zostawiając po prawej burcie ogromną bryłę zamku książęcego. Hornblower zmusił się, aby siedzieć w niedbalej pozycji, tak aby wyglądało, że ani przygląda się badawczo, ani unika obserwacji; order Legii Honorowej dźwięczał kołysząc się na jego piersi. Zrobiło mu się raźniej, gdy kątem oka zobaczył Busha siedzącego z twarzą nieruchomą jak maska, świadcząca, że i on był zdenerwowany. Bush potrafił iść w bój i stawić czoło salwie burtowej wroga zupełnie nie myśląc o niebezpieczeństwie, ale obecna sytuacja, wystawiająca go na oczy tysiąca Francuzów, gdy tylko absolutna bierność mogła go uchronić od uwięzienia i śmierci, była arcytrudną próbą dla nerwów. Jego widok podziałał uspokajająco na Hornblowera. Odpadły troski i poczuł, jak przeszywa go radosny dreszcz zuchwałej odwagi.

Za następnym mostem zaczynał się port morski. Tu dopiero Hornblower zobaczył statki rybackie — patrzył na nie pożądlivym okiem, gdyż nosił się z zamiarem porwania któregoś z nich. Jego dawne doświadczenia z czasów blokady pod Pellewem okazały się teraz bardzo przydatne, gdyż dzięki temu wiedział sporo o zwyczajach kutrów. Kręciły się zwykle wśród wysepek wybrzeża bretońskiego łowiąc pilczardy[11], które Francuzi z uporem nazywali sardynkami, i przywożąc połów do ujścia, by go sprzedać na rynku w Nantes. We trzech z Bushem i Brownem poradziliby sobie łatwo z którymś z tych stateczków, na tyle zdolnych do żeglugi morskiej, by mogli dotrzeć do eskadry blokującej lub w razie potrzeby — do Anglii. Właściwie był pewien, że zdecyduje się na ten plan, gdy więc koło nich przepływali, rozkazał Brownowi, aby wolniej wiosłował, i zaczął przyglądać im się uważniej.

Za łodziami rybackimi stały przy nabrzeżu dwa statki amerykańskie, z gwiazdzistymi banderami dziarsko powiewającymi na łagodnym wietrze. Uwagę jego zwrócił ponury brzęk łańcuchów — brygady więźniów, zgiętych we dwoje pod ciężarem worków ze zbożem, wyładowały statki. To było interesujące. Hornblower popatrzył jeszcze raz. Skuci łańcuchami po kilku, pilnowani byli przez żołnierzy — Hornblower dojrzał czaka i lśniące lufy muszkietów — pozwoliło mu to zorientować się, kim są ci nieszczęśnicy. Byli przestępcami wojskowymi, dezertkami, tymi, co zasnęli na posterunku albo tymi, co nie usłuchali rozkazu, pechowymi żołnierzami z wojsk Napoleona utrzymywanych w każdym zakątku Europy. Skazano ich „na galery”, że jednak flota francuska nie używała już galer, gdzie mogliby zostać przykuci do wiosła, brano ich do wszelkich ciężkich robót w portach; służąc pod Pellewem jako porucznik na „Indefatigable” Hornblower dwukrotnie był świadkiem, jak zabierano na pokład małe grupki zdesperowanych ludzi, którzy uciekli z Nantes w bardzo podobny sposób, w jaki on teraz zamierzał.

A potem, na tle nabrzeża, za amerykańskimi statkami ujrzeli widok, który wprowadził ich w osłupienie. Nad postrzępioną niebieską banderą powiewała tam bandera trójkolorowa, żałośnie pyszniąc się swoim błahym sukcesem.

— To „Witch of Endor”, kuter dziesięciodziałowy — powiedział Bush zduszonym głosem. — Zeszłego roku francuska fregata przycisnęła go do brzegu po zawietrznej pod Noirmoutier. Na Boga, czyż to nie jest podobne do Francuzów? Jedenaście miesięcy minęło, a oni wciąż trzymają francuską banderę nad brytyjską.

Był to piękny okręcik; nawet z tej odległości widzieli doskonałość jego linii — szybkość i łatwość manewrowania na morzu były na nim jakby wypisane.

— Nie wygląda, żeby Żabojady przeciążyły go omasztowaniem, jak oni to lubią — zauważył Bush.

Okręt był gotów do wypłynięcia na morze, a ich fachowe oczy mogły określić z grubsza powierzchnię zwiniętego grotzągla i kliwra. Wysoki, wdzięczny maszt pochylał się ku nim leciutko w rytm lekkiego kołysania kutra przy nabrzeżu. Wyglądało to, jakby więzień prosił ich o pomoc, a trzepocące na kutrze bandery, trójkolorowa nad niebieską, opowiadały jakąś tragiczną historię. Tknięty nagłym impulsem Hornblower wychylił ster.

— Dobijcie do nabrzeża — powiedział do Browna.

Po kilku pociągnięciach wiosłami byli już na miejscu; kierunek pływu zmienił się od jakiegoś czasu, musieli więc iść pod prąd. Brown chwycił za pierścień cumowniczy i przywiązał do niego cumę, i Hornblower pierwszy wbiegł zwinnie na nabrzeże po kamiennych stopniach, a za nim z trudem podążył Bush.

— Suivez-nous — rzucił Hornblower do Browna, przypominawszy sobie w ostatniej chwili, że należy mówić po francusku.

Hornblower zmusił się, żeby kroczyć butnie, z podniesioną głową; pistolety w kieszeniach bocznych obijały się mu o biodra, dodając pewności siebie, a szpada ocierała się o udo. Obok

kroczył Bush, jego drewniana noga stuknęła w regularnych odstępach o kamienną nawierzchnię. Grupa mijających ich żołnierzy zaszalowała przed eleganckim mundurem, a Hornblower podniósł z nonszalancją palce do kepi, zdumiony swoim spokojem. Serce biło mu szybko, ale nie ze strachu, co napełniało go dumą. Warto było podjąć ryzyko, aby doświadczyć tego uczucia.

Przystanęli i patrzyli na „Witch of Endor” stojącą przy nabrzeżu. Pokłady jej nie lśniły tą czystością, jakiej wymagano by na okręcie angielskim, a olinowanie stałe było fatalnie zaniedbane. Dwóch ludzi kręciło się niemrawo po pokładzie pod nadzorem trzeciego.

— Wachta kotwiczna — mruknął Bush. — Dwóch marynarzy i oficer służbowy.

Mówił nie poruszając wargami, jak łobuziak w szkole, żeby ktoś patrzący na nich nie mógł wyczytać słów i odgadnąć, że nie mówi po francusku.

— Reszta załogi na brzegu, szczury lądowe — ciągnął Bush.

Hornblower stał na nabrzeżu, w uszach szumiał mu lekki wiatr; mijali go żołnierze, marynarze i cywile, z dala dobiegał zgiełk towarzyszący wyładowywaniu amerykańskich statków. Myśli Busha pobiegły w ślad za jego myślami. Bush wyczuł, że Hornblower ma chęć opanować „Witch of Endor” i popłynąć nią do Anglii — jemu samemu nigdy by to nie przyszło do głowy, lecz lata służby pod swoim kapitanem wyczuliły go na jego pomysły, nawet graniczące z fantazją.

Fantazja — to było właściwe słowo. Te wielkie kutry budowane były dla załogi złożonej z sześćdziesięciu ludzi i miały osprzęt dostosowany do tej liczby. Oni, we trzech — w tym jeden kaleka — nie mieli nawet co myśleć o podniesieniu wielkiego grotzagli, chociaż manewrowanie statkiem we trójkę pod żaglami na otwartym morzu i przy sprzyjającej pogodzie było rzeczą całkiem możliwą. Właśnie ta możliwość pobudziła jego wyobraźnię, z drugiej jednak strony od morza dzieliło ich niebezpieczne ujście Loary, a jak wiedział Hornblower, Francuzi w obawie przed niespodziewanym wtargnięciem Anglików pousuwali wszystkie boje i znaki nawigacyjne. Bez pilota na pokładzie nie mogą liczyć na przebycie trzydziestu pięciu mil płyczn nie osiadłszy na mieliźnie. Poza tym w Paimboeuf i St Nazaire znajdują się baterie uniemożliwiające nieupoważnionym jednostkom wejście do portu lub wyjście z niego. Rzecz była nie do przeprowadzenia — czysta utopia, przyznał w myślach Hornblower w nagłym przypiływie samokrytycyzmu.

Odwrócił się i podszedł spacerowym krokiem do statków amerykańskich, obserwując z ciekawością skutych łańcuchami nieszczęśników, przechodzących chwiejnym krokiem po kładkach, pod ciężarem worków ze zbożem. Zrobiło mu się niedobrze na widok ich męczarni i sposobu, w jaki pilnujący ich sierżanci znęcali się nad nimi. Jeśli gdziekolwiek, myślał, można było znaleźć związek wyczekiwanego przez wszystkich powstania przeciwko Bonapartemu, to właśnie tu. Brakło tylko gotowego na wszystko przywódcy — warto o tym donieść rządowi, kiedy znajdzie się w kraju. W dali w dole rzeki widać było jeszcze jeden statek zbliżający się ku portowi, z marszlami czerniejącymi na tle zachodzącego słońca; niesiony przypiływem szedł ostrym bejdewindem przy słabym południowym wietrze. Ten także miał amerykańską gwiazdzistą banderę. Hornblowera znowu ogarnęło uczucie irytującej bezradności, znane mu z dawnych czasów służby pod dowództwem Pellewa. Co za pożytek z blokowania wybrzeża i znoszenia niebezpieczeństwa tej służby, jeśli statki neutralne mogły wpływać i wypływać bezkarnie? Oficjalnie przywożone przez nie ładunki pszenicy

nie były traktowane jako przemyt, a przecież pszenica była równie ważna dla Bonapartego jak konopie, smoła czy inne towary znajdujące się na liście towarów kontrabandowych — im więcej pszenicy importował, tym więcej ludzi mógł zaciągnąć do swojej armii. Hornblower spostrzegł się, że zaczyna znowu medytować na odwieczny temat, czy Ameryka mając kiedyś dość kłopotów z neutralnością, obróci swoje siły przeciwko Anglii czy Francji — właściwie przez krótki czas była już w stanie wojny z Francją i w jej interesie leżało dopomóc w obaleniu cesarskiego despotyzmu, ale było rzeczą wątpliwą, czy zdoła oprzeć się pokusie wejścia Anglikom w paradę.

Ten nowo przybyły statek, dosyć dobrze prowadzony, podchodził teraz do nabrzeża. Po przebrasowaniu marsła wytracił szybkość, i liny cumownicze zaskrzypiały na pachołkach. Hornblower, Bush i Brown przyglądali się z pozorną obojętnością. Po przycumowaniu przerzucono kładkę na nabrzeże i niski, tęgi mężczyzna zaczął schodzić ze statku na brzeg. Ubrany był po cywilnemu i miał okrągłą czerwonawą twarz ze śmiesznym czarnym wąsikiem podkreconym na końcach do góry. Ze sposobu, w jaki zęgnął się z kapitanem, i z jego bardzo łamanej angielszczyzny Hornblower odgadł, że to pilot.

Pilot! Mnóstwo pomysłów skłębiło się naraz w głowie Hornblowera. Za niespełna godzinę zrobi się ciemno, księżyc jest w pierwszej kwadrze — już teraz widać jego zarys na niebie wysoko ponad zachodzącym słońcem. Bezchmurna noc, bliski odpływ, łagodny wiatr południowy skręcający lekko na wschód. Jest pilot i załoga. Potem zawahał się. Cały ten ryzykowny i na poczekaniu obmyślony plan był szalony i absurdalny. Przebiegł go spiesznie w myśli, ale mimo to czuł, że ponosi go fala zuchwałej odwagi. Było coś upajającego w odrzucaniu wszelkiego rozsądku, coś, czego nie przeżywał od lat młodzieńczych. W ciągu paru sekund, jakie mu zostały, gdy pilot schodził kładką i szedł ku nim nabrzeżem, zdecydował się. Trącił łokciem towarzyszy i wystąpiwszy zagroził drogę małemu tłuściuchowi, który mijał ich szybkim krokiem.

— Monsieur — powiedział. Pragnę zadać panu parę pytań. Pozwoli pan na chwilę ze mną na mój statek?

Pod wrażeniem munduru, Legii Honorowej i pewnego siebie zachowania pilot odrzekł:

— Ależ oczywiście. — Sumienie miał czyste; nie miał sobie nic do zarzucenia poza drobnymi naruszeniami przepisów systemu kontynentalnego. Zawrócił i poszedł obok Hornblowera.

— Pan, pułkowniku, przybył świeżo do naszego portu, jeśli się nie mylę?

— Przeniesiono mnie tu wczoraj z Amsterdamu — odpowiedział krótko Hornblower.

Brown szedł z drugiej strony, tuż przy pilocie; Bush zaszedł z tyłu i stukając drewnianą nogą kroczył dzielnie starając się dotrzymywać im kroku. Podeszli do „Witch of Endor” i po kładce weszli na pokład; oficer popatrzył na nich nieco zaskoczony, lecz znał pilota, a mundur straży celnej też nie był mu obcy.

— Pozwoli pan, chciałbym spojrzeć na jedną z pańskich map — powiedział Hornblower. — Zechce pan zaprowadzić nas do kabiny nawigacyjnej?

Oficer nie powziął najlżejszego podejrzenia. Dał znak ludziom, by nie przerywali roboty, i poszedł przodem wiodąc ich krótką zejściówką do kabiny na rufie. Wszedł do środka, a Hornblower uprzejmie przepuścił przed sobą pilota. Była to maleńka kajuta, ale można było być pewnym, że z jej drugiego końca nikt ich nie usłyszy. Stał u drzwi i wydobył oba pistolety.

— Jeśli któryś z was piśnie — powiedział z wargami wykrzywionymi z podniecenia w okrutnym grymasie — zabiję.

Stali patrząc na niego w osłupieniu, a gdy pilot otworzył usta, Hornblower warknął:

— Milczeć!

Wszedł nieco głębiej do kabiny, aby wpuścić Browna i Busha.

— Zwiążcie ich! — rozkazał.

Zrobili to przy pomocy pasów, chusteczek i szalów; w mgnieniu oka obaj byli zakneblowani i unieszkodliwieni, z rękami skrępowanymi na plecach.

— Pod stół z nimi — rzekł Hornblower. — Bądźcie teraz gotowi do załatwienia się z dwoma marynarzami, jak tylko ich tu przyprowadzę.

Wybiegł na pokład.

— Hej, wy dwaj! — krzyknął. — Chcę was o coś zapytać. Chodźcie ze mną na dół.

Odłożyli robotę i poszli za nim posłusznie do kabiny, gdzie pistolety Hornblowera kazały im siedzieć cicho. Brown wybiegł na pokład po większą ilość liny, żeby ich związać i wzmocnić więzy dwóch poprzednich. Potem obaj z Bushem — żaden z nich nie odezwał się dotąd słowem — popatrzyli na niego w niemym pytaniu o dalsze rozkazy.

— Uważajcie na nich — rozkazał. — Będę za pięć minut z załogą. Co najmniej jeszcze jednego trzeba będzie skrępować.

Ruszył z powrotem na nabrzeże, tam gdzie zbierały się oddziały galerników, znużone po całodziennej pracy przy wyładunku. Dziesięciu skutych ze sobą mężczyzn pod opieką sierżanta, do którego się zwrócił, patrzyło na niego zmartwiałymi oczyma, zastanawiając się tylko, co za nową udręką szykuje im ten wyelegantowany pułkownik.

— Sierzancie — powiedział. — Zaprowadźcie waszą grupę na mój statek. Jest tam dla nich robota.

— Tak jest, panie pułkowniku — odpowiedział sierżant.

Oстрым głosem rzucił rozkaz wyczerpanym więźniom i wszyscy poszli nabrzeżem za Hornblowerem. Nie było słychać stąpania bosych stóp, tylko łańcuch, którym skuci byli w pasie ze sobą, pogrząkiwał rytmicznie w takt kroków.

— Wprowadźcie ich na pokład — komenderował Hornblower. — A teraz chodźcie na dół do mojej kabiny po rozkazy.

Wszystko poszło łatwo dzięki mundurowi i orderowi. Hornblower musiał się siłą powstrzymać od śmiechu na widok zbaraniałej miny sierżanta, gdy go rozbrajano i krępowano. Wystarczył niedwuznaczny gest pistoletu Hornblowera, aby skłonić sierżanta do pokazania, w której kieszeni ma klucz od łańcucha więźniów.

— Panie Bush, proszę wepchać ich pod stół — rzekł Hornblower. — Wszystkich, z wyjątkiem pilota, potrzebny mi jest na pokładzie.

Sierżant, oficer wachtowy i dwaj marynarze zostali wrzuceni bezceremonialnie pod stół, a Hornblower ruszył na pokład, podczas gdy jego towarzysze wlekli za nim pilota; było już prawie ciemno, świecił tylko księżyc. Galernicy przykucnęli apatycznie przy luku. Hornblower przemówił do nich łagodnym tonem. Mimo trudności w wypowiedaniu się po francusku zdołał wzbudzić ich zainteresowanie.

— Mogę was, ludzie, uwolnić — powiedział. — Skończą się katusze i niewola, jeżeli będziecie robić, co każę. Jestem oficerem angielskim i mam zamiar tym okrętem udać się do Anglii. Czy któryś z was chce popłynąć ze mną?

Od grupy dobiegło ciche westchnienie; jak gdyby nie mogli uwierzyć własnym uszom — przypuszczalnie zresztą nie wierzyli.

— W Anglii — ciągnął Hornblower — otrzymacie nagrodę. Czeka was tam nowe życie.

Teraz dopiero zaczęli rozumieć, że zabrano ich na pokład kutra nie po to, by dalej harowali, że naprawdę stoi przed nimi perspektywa wolności.

— Tak, sir — odezwał się któryś.

— Zdejmę z was łańcuch — rzekł Hornblower. — Ale pamiętajcie, ma być absolutna cisza. Siedźcie spokojnie, póki wam się nie powie, co macie robić.

W półmroku namacał kłódkę, wsadził w nią klucz i otworzył ze szczękiem — pierwszy uwolniony mężczyzna uniósł w górę ramiona patetycznym gestem. Przywykł, że co dzień zamykają go na łańcuch i spuszczają, jak zwierzę. Hornblower uwalniał wszystkich po kolei, aż łańcuch z brzękiem upadł na pokład, potem cofnął się, z dłońmi na kolbach pistoletów, gotów na wypadek kłopotów. Ale nic na to nie wskazywało. Ludzie stali oszołomieni — przejście z niewolnictwa do wolności trwało nie więcej niż trzy minuty.

Wiatr obrócił kuter i Hornblower poczuł jego ruch pod stopami, gdy uderzał łagodnie o odbijacze wiszące między nim a nabrzeżem. Rzut oka przez burtę potwierdził jego przypuszczenie — odpływ się jeszcze nie zaczął. Trzeba było odczekać parę minut, zwrócił się więc do Browna stojącego niespokojnie za kolumną grotmasztu, z nieszczęsnym pistoletem u stóp.

— Brown — przemówił cicho — biegnijcie do naszej łódki i przynieście mi pakunek z moim

ubranie. No już, biegiem — na co czekacie?

Brown ruszył niechętnie. Wydawało mu się absurdem, że kapitan traci cenne minuty na odzyskanie swojego ubrania, że w ogóle o nim pomyślał. Ale Hornblower nie był tak szalony, jak by się mogło wydawać. Nie było mowy o wyjściu z portu, zanim się pływ nie odwróci, a Brown zamiast stać i niecierpliwie się, mógł równie dobrze pobiec po ubranie. Po raz pierwszy w życiu Hornblower nie miał zamiaru przybierać żadnej pozy wobec swoich podwładnych. Umysł miał jasny, mimo podniecenia.

— Dziękuję — rzekł, gdy Brown wrócił, dysząc, z workiem brezentowym. — Wyjmijcie mój mundur.

Zdjął z siebie uniform pułkownika i włożył mundur podany mu przez Browna, odczuwając przyjemny dreszcz przy zapinaniu guzików z koroną i kotwicą. Mundur był okropnie pognieciony, złota lamówka zmięta i poprzerywana, ale przecież był to jego uniform, chociaż ostatni raz nosił go wiele miesięcy temu, gdy wyrócili się z łodzią na Loarze. Mając go na sobie nie mógł już zostać oskarżony, że jest szpiegiem, i gdyby ich próba się nie powiodła i zostaliby znowu schwytani, osłoni zarówno jego, jak i jego podkomendnych. Nie taił przed sobą, że może im się nie udać i wpadną znowu w ręce wroga, lecz teraz nie mogłoby być mowy o potajemnym mordzie.

Uprowadzenie kutra zwróci na nich uwagę opinii publicznej, co sprawi, że zgładzenie ich po cichu stanie się rzeczą niemożliwą. A zatem już poprawił swoją sytuację — nie zastrzelą go jako szpiega ani nie uduszą po cichu w więzieniu. Jeśli teraz zostanie złapany, stanie przed sądem jedynie pod dawnym zarzutem naruszenia prawa wojennego, a Hornblower czuł, że ostatnie wyczyny mogą zjednać mu tyle sympatii, iż Bonapartemu byłoby niezręcznie nalegać nawet i na to oskarżenie.

Nadszedł czas do działania. Wyjął z relingu nagiel do obkładania lin i wążąc z namysłem narzędzie w rękę ruszył wolno ku pilotowi.

— Monsieur — powiedział — chcę, żeby pan wyprowadził ten statek na morze.

W słabym świetle księżyca zobaczył utkwione w siebie wytrzeszczone oczy pilota.

— Nie mogę — wybełkotał pilot. — Mój honor zawodowy... mój obowiązek...

Hornblower przeciął te słowa groźnym gestem ręki dzierżącej nagiel.

— Zaraz ruszamy — ciągnął. — Może pan dawać wskazówki albo nie, jak pan chce. Ale powiem panu jedno, monsieur. W momencie gdy kuter dotknie dna, roztrzaskam tym panu głowę na miazgę.

Hornblower przyglądał się zbielełej twarzy pilota — wąsik śmiesznie mu się przekrzywił po usłyszeniu tej obietnicy. Oczy miał utkwione w nagiel, i Hornblower postukując nim o dłoń poczuł lekki dreszcz triumfu. Dla tego południowca o żywej wyobraźni groźba przeszywania głowy kulą z pistoletu nie byłaby dosyć straszna. Potrafił jednak uzmysłwić sobie do tego stopnia wyraźnie śmiertelne ciosy nagiel o własną czaszkę, że wybrany przez Hornblowera argument okazał się

najskuteczniejszy.

— Dobrze, monsieur — odpowiedział pilot słabym głosem.

— W porządku — odparł Hornblower. — Brown, przywiążcie go tu, do relingu, a potem możemy ruszać. Panie Bush, proszę zająć się rumplem.

Najniezbędniejsze przygotowania trwały krótko; podprowadzono więźniów do fałów i włożono im je w ręce, każąc ciągnąć, gdy usłyszą rozkaz. Dzięki częstym wypadom oddziałów brytyjskich, werbujących siłą do marynarki, Hornblower i Brown już przedtem musieli nieraz zaganiać świeżo upieczone załogi na stanowiska robocze; przyjemnie też było stwierdzić, że francuszczyzna Browna, poparta wymową dawanego przykładu, okazała się zupełnie wystarczająca.

— Odciać cumy, sir? — zaproponował Brown.

— Nie. Odrzucić — rozkazał Hornblower.

Odcięte cumy zwisające z pachołków stanowiłyby oczywisty dowód spiesznego i przypuszczalnie nielegalnego odbicia; odrzucenie mogło wpłynąć na opóźnienie dociekań i pościgu o kilka dalszych minut, a wobec niepewnej przyszłości każda minuta zwłoki mogła być cenna. Rozpoczynający się odpływ naprężył już liny, upraszczając problem odejścia od nabrzeża. Prowadzenie tak małego skośnożaglowego okręciku wymagało tylko odrobiny znajomości rzeczy czy też brutalnej siły, która jest tak potrzebna do manewrowania wielkim rejoycem, a panujące w tej chwili warunki — wiatr od nabrzeża i odpływ — nakazywały jedynie ostrożność polegającą na rzuceniu cumy rufowej wcześniej niż dziobowej. Jak zawsze Hornblower męczył się jeszcze w słabym świetle nad rozplataniem węzłów wyblinkowych, zaciągniętych przez któregoś z francuskich marynarzy, gdy Brown dawno uporał się ze swoją częścią roboty. Napór odpływu odwracał kuter od mola. W niepewnym świetle Hornblower musiał ustalić moment stawiania żagli, biorąc pod uwagę brak wprawy załogi, przeciwprąd przy nabrzeżu, pływ i wiatr.

— Stawiać! — powiedział i zwracając się do ludzi dodał: — Tirez.

Poszedł w górę grotzagiel i kliwer przy akompaniamencie skrzypienia bloków. Żagle załopotały, wydeły się i znowu załopotały. Potem wypełniły się wiatrem i Bush przy rumplu — kuter sterowany był rumplem, a nie kołem — poczuł równomierny nacisk. Kuter nabierał pędu; z martwego przedmiotu przekształcał się w żywą istotę. Przechylił się nieco pod wpływem wiatru, ze stłumionym skrzypieniem olinowania, i od przodu dobiegł Hornblowera cichutki melodyjny bulgot wody roztrącanej przez stewę dziobową. Wziął znowu nagiel i trzema krokami znalazł się u boku pilota, ważąc przyrząd w rękę.

— W prawo, monsieur — wybełkotał człowieczek. — Niech pan skręci mocno w prawo.

— Rumpel w lewo, panie Bush. Wchodzimy w kanał z prawej burty — powiedział Hornblower, a potem, tłumacząc dalsze spieszne instrukcje pilota, dodał: — Wstrzymywać! Tak trzymać!

W słabym świetle księżycy kuter prześlizgiwał się po rzece. Z brzegu musiał wyglądać prześlicznie — nikomu nie przyjdzie do głowy, że wyrusza w niezbyt legalną wyprawę.

Pilot znowu coś mówił; Hornblower nachylił się, żeby usłyszeć. Proponował postawić kogoś z sondą, aby podawał głębokości, ale Hornblower nie mógł na razie tego uczynić. Musiałby robić to on sam albo Brown, a obaj mogli być potrzebni w każdej chwili na wypadek konieczności wykonania zwrotu przez sztag — ponadto sążnie mogłyby się poplątać z metrami.

— Nie — odrzekł Hornblower. — Musi się pan obejść bez tego. I radzę pamiętać o tym.

Postukał nagłem w dłoń i roześmiał się. Ten złowrogi śmiech samego go zaskoczył. Każdy, kto by go słyszał, byłby pewny, że Hornblower jest zdecydowany zatłuc pilota na śmierć, jeśli osiada na mieliźnie. Zadał sobie pytanie, czy nie odgrywa komedii, i stwierdził ze zdziwieniem, że nie umie sobie na to odpowiedzieć. Trudno mu było wyobrazić sobie, jak morduje bezbronnego człowieka — a przecież nie był siebie tak całkiem pewny. Nastrój zawziętej, nieubłaganej determinacji był dla niego czymś nowym, jak zawsze zresztą. Wiedział, że skoro już zabrał się do czegoś, nie pozwoli, aby jakiś wzgląd powstrzymał go od realizacji zamiaru, lecz niezmiennie uważał, że to skutek jego fatalizmu czy poddania się z rezygnacją sytuacji. Za każdym razem był wstrząśnięty odkrywając w sobie cechy, jakie podziwiał u innych. Ale w tej chwili wystarczało mu i zadowalało go, że pilot jest przekonany, iż czeka go śmierć, jeśli kuter osiadzie na dnie.

O pół mili dalej trzeba było przejść w poprzek ku przeciwległemu brzegowi — zabawne, jak to szerokie ujście przypominało w odpowiednio dużej skali cechy rzeki w górnym jej biegu, gdzie kanał żeglowny biegł serpentynami od brzegu do brzegu, między ławicami piasku. Ostrzeżony przez pilota Hornblower trzymał w pogotowiu zaimprovizowaną załogę, na wypadek gdyby trzeba było wykonać zwrot przez sztag, ale ostrożność ta okazała się zbyteczna. Idąc na wiatr i niesiony odpiływem, podczas gdy Hornblower i Brown obsługiwali szoty, kuter prześliznął się gładko, a Bush przy rumplu pokazał raz jeszcze, jaki z niego znakomity żeglarz. Ustawili się na nowy kurs mając znowu wiatr z baksztagu, a Hornblower wciąż sprawdzał jego kierunek i spoglądał w górę na majaczące żagle.

— Monsieur — jęczał pilot. — Monsieur, te sznury tak cisną.

Hornblower zaśmiał się znowu okrutnie.

— Przynajmniej nie dadzą panu usnąć.

Instynkt podyktował mu tę odpowiedź, a rozsądek ją zaaprobował. Najlepszą rzeczą było nie okazać ani cienia słabości wobec tego człowieka, od którego zależało teraz wszystko — im bardziej pilot będzie przeświadczony, że nie może się spodziewać litości, tym mniejsze będzie prawdopodobieństwo, że zrobi im jakiś kawał. Lepiej, aby on jeden znosił ból powodowany przez ciasne więzy, niż gdyby trzej ludzie mieli się narazić na ryzyko uwięzienia i śmierć. Raptem Hornblower przypomniał sobie o tych czterech: sierżancie, oficerze wachtowym i dwóch marynarzach — którzy leżeli w kajucie związani i zakneblowani. Gotowi się tam jeszcze podusić... Cóż, trudno. Nie ma mowy, żeby odesłać do nich kogoś z pokładu choćby na moment. Muszą tam leżeć do czasu, aż ktoś będzie mógł przyjść im z ratunkiem.

Było mu ich żal, ale machnął ręką. Historia wojen morskich obfitowała w przykłady utraty przyzów na skutek tego, że więźniom udało się pokonać słabe załogi przyzowe. Nie miał zamiaru wystawiać się na takie ryzyko. Był zaskoczony, jak na myśl o takiej ewentualności zwarły mu się szczęki w zacięty wyraz. Obawa przed powrotem do kraju i wystawieniem się na wszystkie czekające go tam nieprzyjemności walczyła z postanowieniem, by mieć już to wszystko za sobą. Nie chciał doznać niepowodzenia, i myśl, że mógłby być zadowolony z fiaska, ponieważ odroczyłyby ono załatwienie jego sprawy, tylko jeszcze bardziej utwierdziła w nim decyzję wygrania.

— Rozluźnię sznury — powiedział do pilota — dopiero za Noirmoutier. Nie wcześniej.

Rozdział XIV

Dniało, gdy znaleźli się za Noirmoutier, przygnani ostatnimi podmuchami zamierającego wiatru. Świt zastał ich unieruchomionych ciszą, spowitych w lekką mgiełkę, która unosiła się płatami nad spokojną powierzchnią morza, nim ją wypije wschodzące słońce. Gdy szczegóły otoczenia stały się wyraźniejsze, Hornblower rozejrzał się dokoła. Wszyscy galernicy spali na pokładzie dziobowym, przytuleni, dla ciepła, jeden do drugiego, jak wieprze w chlewie; Brown przykucnął przy nich na pokrywie łukowej, z twarzą w dłoniach. Bush trwał wciąż przy rumplu, nie zdradzając śladów znużenia po bezsennej nocy; rumpel oparł o biodro, wsparłszy drewnianą nogę o pierścień do mocowania linobloków. Skrępowany sznurami pilot zwisał z relingu; oblicze jego, wczoraj pełne i różowe, ściągnęło się i poszarzało z bólu i zmęczenia.

Z dreszczem odrazy Hornblower przeciął mu więzy.

— Jak pan widzi, dotrzymuję słowa — powiedział, ale pilot osunął się na pokład, z twarzą wykrzywioną cierpieniem, a w chwilę potem zaczął jęczeć z bólu powodowanego przez powracający obieg krwi.

Grotzgiel załopotał i jego wielki bom przesunął się z łoskotem na środek.

— Nie mogę utrzymać kursu, sir — oznajmił Bush.

— Bardzo dobrze — odrzekł Hornblower.

Powinien był się tego spodziewać. Łagodny powiew, który przepchnął ich przez ujście rzeki, był taki, co to cichnie o świcie, zostawiając okręty unieruchomione. Gdyby utrzymał się pół godziny dłużej, gdyby odpłynęli jeszcze parę mil dalej, byłiby w o wiele bezpieczniejszej sytuacji. Na lewo mieli Noirmoutier, a za rufą stały ląd; poprzez rzednącą mgłę rozróżniał smukłe zarysy lądowej stacji semaforowej — szesnaście lat temu był zastępcą dowódcy oddziału desantowego, wysłanego przez Pellewa na brzeg, aby ją zniszczyć. Z powodu nieustannych wypadów angielskich wszystkie wyspy były teraz obsadzone mocnymi garnizonami i wyposażone w ciężkie działa. Zmierzył okiem odległość dzielącą ich od Noirmoutier — uznał, że są poza zasięgiem dużych armat, lecz pływ mógł ich łatwo przynieść bliżej. Przypomniawszy sobie to, co wiedział o kierunku pływów, zaczął się nawet obawiać, że może ich znieść do zatoki Bourgneuf.

— Brown — krzyknął. — Obudźcie ludzi! Zasadzić ich do wiosła.

Po obu stronach każdego z dział znajdowały się dulki na wiosła, po sześć w obu burtach statku; Brown zapędził ogłupiałą załogę na stanowiska i pokazał im, jak odchylać wielkie wiosła, z trzonami połączonymi długą liną.

— Raz, dwa, trzy, pociągnąć! — komenderował.

Ludzie naparli ciężarem swoich ciał na wiosła; w spokojnej wodzie pióra zabulgotały bez większego skutku.

— Raz, dwa, trzy, ciąg! Raz, dwa, trzy, ciąg!

Brown był w nieustannym ruchu, gestykulując, biegając od jednego do drugiego wybijał takt całym swoim ciałem. Stopniowo kuter nabierał szybkości, a gdy już raz ruszył, pióra wioseł zaczęły napierać na wodę z większym skutkiem.

— Raz, dwa, trzy, ciąg!

Nie miało znaczenia, że Brown dyrygował po angielsku, gdyż trudno było nie zrozumieć jego słów i gwałtownych ruchów jego potężnego ciała.

— Mocno wiosłować!

Ciągnąc wiosła galernicy wpierali się stopami w pokład; zapal Browna był tak zaraźliwy, że odchylając się do tyłu jeden czy dwóch odpowiadało nawet wesołym okrzykiem. Teraz czuło się wyraźnie ruch kutra; Bush obrócił rumpel, poczuł, jak woda napiera na ster, i ustawił statek na kurs. Z klekotem bloków okręcił wznosił się i opadał na drobnej martwej fali.

Hornblower przeniósł wzrok z trudzących się ludzi na spokojne wody morza. Jeśli szczęście będzie mu sprzyjać, może natknąć się już blisko wybrzeża na któryś z okrętów eskadry blokującej — często wpływały między wyspy, jak na urągowisko Bonapartemu. Ale dziś, jak okiem sięgnąć, nie było widać żagli. Oglądał uważnie posępne zarysy wyspy, szukając oznak życia. Właśnie gdy patrzył w tamtą stronę, przypominające szubienicę ramiona lądowej stacji semaforowej podniosły się na baczność. Trwały w tej pozycji, i Hornblower domyślił się, iż oznajmiają gotowość operatora do przyjęcia depeszy ze stacji położonej głębiej na lądzie i dla niego niewidocznej — mógł się domyślić treści tej depeszy. Potem ramiona zaczęły sygnalizować urywanymi ruchami na tle błękitnego nieba, przekazując krótką odpowiedź na ląd. Znowu chwila bezruchu, a potem Hornblower zobaczył, że ramiona sygnałowe zwracają się ku niemu — przedtem widział je prawie z profilu. Odwrócił się odruchowo ku Noirmoutier i spostrzegł, jak maleńki punkcik flagi na maszcie opadł na potwierdzenie. Noirmoutier było przygotowane do przyjęcia rozkazów z lądu. Ramiona semafora wciąż obracały się w kółko; flaga podnosiła się i opadała potwierdzając każde zdanie.

U stóp masztu pojawił się długi słup białego dymu, zwinął się błyskawicznie w kulę i jedna za drugą cztery fontanny wody wyskoczyły nad gładką powierzchnię morza, w miarę jak pocisk przeskakiwał po niej, a potem odezwał się głuchy pogłos. Od najbliższej fontanny dzieliło ich pół mili, byli więc dostatecznie daleko poza zasięgiem.

— Każcie ludziom mocniej wiosłować! — ryknął Hornblower do Browna.

Zastanawiał się, co nastąpi dalej. Na wiosłach kuter robił niecałą milę na godzinę, i przez cały dzień będzie nad nim wisało niebezpieczeństwo, chyba że nadejdzie bryza, ale chociaż wyteżał wzrok, ani na spokojnej powierzchni morza, ani na żywym błękitcie porannego nieba nie mógł dostrzec niczego, co by na to wskazywało. Każdej chwili mogą ruszyć ku nim łodzie wypełnione ludźmi — łodzie, których wiosła będą je niosły szybciej niż ich wiosła kuter. W każdej będzie z pięćdziesięciu chłopów, a może i armata na dziobie. We trzech, z problematyczną pomocą galerników, nie mogą mieć nadziei, że zdołają się im przeciwstawić.

— Ależ zdołam, na Boga — powiedział do siebie Hornblower.

Podrywając się do czynu zobaczył łodzie odbijające od brzegu wyspy, maleńkie punkciki na powierzchni morza. Załoga garnizonu musiała ruszyć pędem do nich natychmiast po otrzymaniu rozkazu z lądu.

— Mocniej wiosłować! — dał się Brown.

Wiosła zazgrzytały w dulkach i kuter poszedł szybciej.

Hornblower zajrzał za ostatnią sześćofuntówkę po lewej burcie na rufie. W schowku pod relingiem były kule, ale ni śladu prochu.

— Brown, pilnujcie, żeby ludzie wiosłowali bez przerwy i miejcie oko na pilota — rzekł.

— Tak jest, sir — odpowiedział Brown.

Wyciągnął szeroką dłoń i złapał pilota za kołnierz, a Hornblower ruszył do kabiny. Jeden z czterech uwięzionych tam ludzi zdołał się jakoś przesunąć ku zejściówce — w pośpiechu Hornblower nadepnął na niego. Zakławszy odciągnął go na bok; tak jak przypuszczał, był tam luk do magazynu. Hornblower szarpnięciem otworzył pokrywę i dał nura na dół; wewnątrz było prawie ciemno, gdyż światło dostawało się tylko przez świetlik kabiny, toteż potykając się błądził po omacku wśród nagromadzonych zapasów. Zaczął uspokajać samego siebie; jeśli nawet trzeba się spieszyć, to nic mu nie przyjdzie z paniki. Odczekał, aż oczy przywykły do ciemności, nad głową słyszał ciągle pokrzykiwania Browna i jęk wiosła w dulkach. Potem zobaczył grodz, a w niej to, czego szukał, niskie drzwiczki z szybą z grubego szkła — musiał to być skład prochu — artylerzysta pewnie poruszał się tu zwykle przy świetle latarni przeświecającej z zewnątrz.

Odrzucił z przejścia zapasy, ociekając potem z pośpiechu i gorąca, i gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwiczki. Macając dookoła w ciasnocie pomieszczenia, prawie zgięty we dwoje, natrafił rękoma na cztery duże beczułki prochu strzelniczego. Zdawało mu się, że i pod stopami czuje jego ziarna. Byle ruch mógł wywołać iskrę i rozsadzić kuter na drzazgi — taka lekkomyślność w obchodzeniu się z materiałami wybuchowymi pasowała do Francuzów. Odetchnął z ulgą, gdy jego palce napotkały papierowe opakowania gotowych ładunków. Miał nadzieję, że je tu znajdzie, ale mógł się mylić, nie uśmiechała mu się jednak perspektywa nabierania prochu szuflą. Objuczył się ładunkami, wycofał z ciasnego magazynu do kabiny i wyskoczył na pokład, w jasność

słońca.

Łodzie znacznie się zbliżyły, gdyż były to już nie plamki, ale wyraźnie trzy szalupy, pełzły niby jakieś żuki po powierzchni morza, rozciągnięte w pościgu za kutrem. Hornblower złożył ładunki na pokładzie. Serce waliło mu z wysiłku i podniecenia, i coraz trudniej przychodziło mu się opanowywać. Co innego obmyślić plan i wydawać polecenia: „zróbcie to” czy „idźcie tam”, a zupełnie co innego wiedzieć, że powodzenie zależy od zręczności własnej ręki i pewności oka.

Odczuwał prawie to samo co za każdym razem, gdy wypił o szklaneczkę wina za dużo — doskonale wiedział, co powinien robić, ale kończyny nie bardzo chciały słuchać nakazów mózgu. Próbę założenia talii kierunkowej działa musiał powtarzać kilka razy.

Te nieudane wysiłki otrzeźwiły go; skończywszy podniósł się i zrzucił z siebie zdenerwowanie jak chrześcijanin ciężar grzechów. Zupełnie opanowany skoncentrował się nad tym, co miał do zrobienia.

— Hej, panie — zawołał na pilota.

Pilot sprzeciwiał się przez chwilę, dowodząc w górnolotnych słowach niemożności skierowania działa na swoich rodaków, lecz zobaczywszy zmianę wyrazu twarzy Hornblowera natychmiast ustąpił. Hornblower czuł tylko chwilowe rozdrażnienie faktem, że ktoś mu się sprzeciwia, i nie zdawał sobie sprawy, jak okrutnie bezlitosne było jego spojrzenie. Lecz pilot uznał, że zwlekając ryzykuje głową — i kto wie, czy nie miał racji. Złapali obaj za linę i odciągnęli działo do tyłu. Hornblower wyjął zatyczkę wylotu lufy i przeszedł naokoło do zamka; manipulował śrubą elewacyjną, aż stwierdził, że działo znalazło się w maksymalnym kącie podniesienia, przy którym jeszcze można je było natoczyć. Odwiódł spust i nachyliwszy się nad armatą, tak że jego cień przesłaniał słońce, szarpnął za sznur zapalnika. Iskra była zadowolająca.

Rozerwał ładunek, wsypał proch do lufy, zrobił z papieru przybitkę i giętym stemplem przybił ładunek. Spojrzawszy na łodzie uznał, że są jeszcze poza zasięgiem strzału, tak że nie musiał się zbytnio spieszyć. Poświęcił kilka sekund na wyszukanie w schowku dwóch czy trzech najokrągłych kul, a potem przeszedł do skrzyni na prawej burcie, żeby i z niej coś wybrać. Mając strzelać z sześćofuntówki na daleki dystans nie miał zamiaru używać pocisków, które obijałyby się przechodząc przez lufę, a po wystrzeleniu mogłyby polecieć Bóg wie gdzie. Wybraną kulę dobił mocno stemplem do przybitki — przy obecnej elewacji wystarczała jedna przybitka — i rozerwawszy drugi ładunek podsypał prochu na panewkę.

— Allons! — krzyknął na pilota i razem natoczyli działo. Dwóch ludzi stanowiło minimum obsługi sześćofuntówki, ale w potrzebie ciało Hornblowera zdolne było do nadzwyczajnego wysiłku.

Handzpakiem wykręcił armatę do tyłu, ile się dało. Wciąż jednak nie była wycelowana prosto na łódź czołową, która szła daleko za trawersem. Kuter będzie musiał myszkować, żeby ją ostrzelać.

Hornblower wyprostował się w słońcu. Brown ochryplym głosem dyrygował galernikami, ostatnie wiosło rufowe pracowało tuż obok niego, a on nic z tego nie zauważył, tak był pochłonięty

swoim zadaniem. Myszkowanie znaczyło dla kutra zmniejszenie odległości między nim a łodziami; musiał rozważyć, czy warto ponieść nieuniknioną stratę dla zyskania wątpliwej okazji trafienia łodzi pociskiem z sześćofuntówki z odległości dwóch tysięcy jardów. W danej chwili to się nie opłacało; należało poczekać, aż dystans się zmniejszy, lecz problem jako taki był ciekawy, mimo że trudno byłoby o jego dokładne rozwiązanie ze względu na istnienie niewiadomej w postaci możliwości zerwania się wiatru.

Jak dotąd, nic na to nie wskazywało, chociaż Hornblower rozglądał się długo i uważnie po szklistym morzu. Tocząc wokół spojrzeniem napotkał pytający wzrok Busha u rumpla — czekał na rozkaz myszkowania. Hornblower uśmiechnął się do niego i dawszy przeczący znak głową, wrócił do studiowania widnokregu, odległych wysp, dziewiczej przestrzeni pełnego morza, gdzie była wolność. Mewa, olśniewająco biała na tle błękitu, zataczała nad nimi koła kwiląc żałośnie. Kuter kiwał się lekko na małej martwej fali.

— Za pozwoleniem, sir — odezwał się Brown nad jego uchem. — Za przeproszeniem, sir... Mocno wiosłować! Oni już dłużej nie dadzą rady, sir. Niech pan popatrzy na tego z prawej burty, sir... Wiosłuj!

Nie było wątpliwości, ludzie ślaniali się ze zmęczenia zarzucając do przodu długie wiosła. Brown potrząsał kawałkiem sznura, całym w węzłach; musiał już używać tego oczywistego argumentu, by ich zachęcać do wysiłku.

— Dać by im zdziebko wytchnienia, sir, i trochę pojeść, i popić, a zaraz przyjdą do siebie, sir. Mocno wiosłować, takie syny! Nie dostali wczoraj kolacji ani dziś śniadania, sir.

— Dobrze — zgodził się Hornblower. — Możecie dać im odpocząć i coś do jedzenia. Panie Bush, proszę ostrzej na wiatr!

Nachylił się nad dziobem, od razu przestawszy słyszeć łoskot wiosel składanych przez galerników, niepomny, że sam od wczoraj nie jadł, nie pił i nie spał. Po lekkim wychyleniu rumpla kuter idący resztką szybkości zaczął obracać się powoli. W widełkach celownika pojawiła się ciemna plama łodzi, i Hornblower dał Bushowi znak ręką. Łódź zniknęła i pojawiała się w polu widzenia w miarę jak Bush regulował obrót rumplem, ale jeszcze, nie całkiem na linii z działem. Hornblower naprowadzał je handszpakiem, aż znalazło się w linii celu, i trzymając sznur do odpalania cofnął się przed odrzutem. Rzecz oczywista, że znacznie mniej był pewny co do zasięgu niż kierunku, toteż należało koniecznie sprawdzić, gdzie upadnie pocisk. Zaobserwowawszy ruch kutra na martwej fali odczekał, aż przyjdzie jej szczyt, i szarpnął za sznur. Armata ryknęła i przesunęła się w tył pod siłą odrzutu; odskoczył na bok spod kłębow dymu. Cztery sekundy lotu kuli wydawały się trwać nieskończoność, aż wreszcie dojrzał fontannę wody, która poszła w górę na mgnienie, o całe dwieście jardów za blisko i sto zanadto w prawo. Był to marny strzał.

Zwilżył lufę wyciorem z gąbki i załadował ponownie, szorstkim ruchem przywołał do siebie pilota i znowu natoczyli działo. Wiedział, że trzeba poznać broń, jeśli chce się z niej strzelać pokazowo, nie zmieniając więc elewacji przygotował działo dokładnie tak jak poprzednio i pociągnął za sznur do odpalania, starając się uczynić to w tym samym możliwie położeniu kutra na fali. Tym razem wyglądało, że elewacja jest prawidłowa, gdyż pocisk upadł na wysokości łodzi, ale

wciąż co najmniej pięćdziesiąt jardów za bardzo w prawo. Znaczyło to, że armata ma tendencję do znoszenia w prawo. Wycelował więc nieco bardziej w lewo i dalej nie zmieniając podniesienia, wystrzelił znowu. Strzał był o dwieście jardów za krótki i za daleko w lewo.

Hornblower mówił sobie, że strzelając z sześciofuntówki przy pełnej elewacji można się spodziewać rozrzutu rzędu dwustu jardów i wiedział, że to prawda, ale była to mała pociecha. Każdy ładunek prochu był inny od poprzedniego, żaden pocisk nie był idealnie okrągły, nie mówiąc już o zmieniających się warunkach atmosferycznych i wahającej się temperaturze lufy armatniej. Zacisnął zęby, wycelował i strzelił znowu. Za krótki i odrobinę zboczony w lewo. Można było oszaleć.

— Śniadanie, sir — powiedział Brown stając przy nim.

Hornblower odwrócił się gwałtownym ruchem i zobaczył Browna z tacą, na której była miska sucharów, butelka wina, dzbanek wody i kubek cynowy; na ten widok Hornblower poczuł, że jest bardzo głodny i spragniony.

— A wy? — zapytał.

— W porządeczku, sir — odparł Brown.

Przycupnąwszy na pokładzie galernicy jedli łąpczywie chleb i popijali wodą; to sarno czynił Bush przy rumplu. Hornblower miał język i podniebienie suche jak podeszwa — ręce mu drżały, gdy mieszał wodę z winem i podnosił kubek do ust. Przy świetliku leżeli ci czterej, których pozostawiono skrępowanych w kabinie. Ręce mieli już wolne, tylko nogi związane. Sierżant i jeden z marynarzy byli bardzo bladzi.

— Sir, pozwoliłem sobie przynieść ich tutaj — wyjaśnił Brown. — Tych dwóch ledwo już zipało przez te kneble. Ale chyba zaraz przyjdą do siebie, sir.

Hornblower pomyślał, że pozostawienie ich w więzach było niepotrzebnym okrucieństwem, lecz przebiegając myślą wydarzenia ubiegłej nocy nie znajdował wolnej chwili, aż do teraz, żeby się mógł nimi zająć. Wojna zawsze niesie za sobą okrucieństwo.

— Te łachudry, sir — powiedział Brown wskazując na galerników — jak tylko zobaczyły sierżanta, zaraz się brały wyrzucać go za burtę.

Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu, jakby to, co mówił, było bardzo śmieszne. Uwaga ta dała początek całemu strumieniowi myśli o udrękach żywota galerniczego i brutalności dozorców.

— Tak — odparł Hornblower, połykając kawał suchara i popijając. — Lepiej zasadźcie ich wszystkich do wioseł.

— Tak jest, sir. Z przeproszeniem pańskim, myślałem o tym samym, sir. Możemy z nich mieć dwie wachty.

— Róbcie, jak uważacie — odparł Hornblower odwracając się do działa.

Łódź najbardziej wysunięta do przodu wyraźnie się zbliżyła; Hornblower uznał, że należy zmniejszyć nieco elewację, i tym razem pocisk padł tuż przy łódce, jak się wydawało, między wiosłami po jednej stronie.

— Pięknie, sir! — wykrzyknął Bush od rumpla.

Hornblowera swędziała skóra od potu i dymu prochowego. Zdjął mundur lamowany złotym galonem, pistolety w bocznych kieszeniach zaciążyły mu nagle; wyciągnął je w stronę Busha, lecz ten z szerokim uśmiechem pokręcił odmownie głową, wskazując na rusznicę z lejowatą lufą stojącą obok na pokładzie. Ta broń będzie znacznie skuteczniejsza na wypadek kłopotów ze zbieraniną ludzi stanowiącą ich załogę.

Zirytowany Hornblower zastanawiał się przez chwilę, co zrobić z pistoletami, a potem odłożył je do otworu ścieków pokładowych, by je mieć pod ręką, i zabrał się do zwilżania i ponownego ładowania działa. Następny strzał też padł blisko celu — widocznie niewielkie zmniejszenie się dystansu miało poważny wpływ na dokładność działania armaty. Hornblower widział, jak pocisk padł przy dziobie łodzi; trafienie z tej odległości byłoby czystym przypadkiem, gdyż od żadnego działa nie można oczekiwać dokładności większej niż do pięćdziesięciu jardów.

— Wiosła gotowe, sir — zameldował Brown.

— Doskonale. Panie Bush, proszę utrzymywać kurs tak, żebym mógł mieć tę łódź pod ostrzałem.

Brown był niezmordowany. Połączył po trzy wiosła od dziobu po obu burtach kutra i zasadził do nich tylko sześciu ludzi. Resztę spędził na dziób, gdzie czekali, aby zmienić wiosłarzy, gdy ci się zmęczą — sześć wioseł z ledwością wystarczało, aby zapewnić sterowność dużemu kutrowi, lecz ciągle, choć powolne, posuwanie się naprzód było lepsze od ruchu z przerwami. Hornblower wolał nie pytać, jakich użył argumentów, aby skłonić czterech Francuzów, którzy nie byli galernikami, do pracy przy wiosłach — wystarczało, że są tam, ze związanymi nogami, wiosłując z wyteżeniem w takt komendy Browna, machającego węzłastym końcem trzymanej w garści liny.

Kuter znowu zaczął sunąć wolno po błękitnej wodzie, a jego osprzęt zgrzytał przy każdym ruchu wioseł. Aby przeciągnąć pościg, jak długo się dało, należało ustawić się do ścigających rufą, a nie ćwiartką rufową. Hornblower uznał jednak, że szansa na celny strzał warta jest straty na dzielącym ich od pogoni dystansie — był boleśnie świadom odwagi tej decyzji i konieczności jej uzasadnienia. Schylił się nad działem i wycelował starannie, ale i tym razem chybił. Obserwując z relingu rozbryzg wody poczuł, że ogarnia go rozdrażnienie. Przez moment czuł chęć powierzenia armaty Bushowi, żeby i on spróbował celności swej ręki, lecz odsunął tę pokusę od siebie. W obliczu twardej rzeczywistości, odłożywszy na bok fałszywą skromność, wolał polegać na sobie, spodziewając się, że przygotuje działo do strzelania lepiej od Busha.

— Tirez! — rzucił do pilota, i znowu wspólnymi siłami natoczyli armatę.

Ścigające łodzie, pełnące czarnymi plamkami po niebieskim morzu, nie zdradzały na razie oznak, że przestraszyły się ostrzału. Wiosła ich pracowały równo, a one same trzymały

zdecydowanie kurs, na którym chciały przeciąć drogę „Witch of Endor” w odległości mniej więcej mili. Wszystkie trzy były dużymi jednostkami, mieszczącymi w sumie co najmniej stu pięćdziesięciu ludzi — wystarczyło, aby jedna z nich zbliżyła się do burty i byłoby po wszystkim. Hornblower wystrzelił znowu, potem jeszcze raz, z zawziętością, przełykając gorycz rozczarowania po każdym niecelnym strzale. Według jego oceny odległość zmniejszyła się teraz do nieco ponad tysiąca jardów — „na długi strzał armatni”, jak by to określił w oficjalnym sprawozdaniu. Nienawidził tych czarnych łodzi, sunących w nietkniętym stanie naprzód i zagrażających jego życiu i wolności, tak jak nienawidził tego kapryśnego działa, które nie chciało oddać dwóch jednakowych strzałów. Od potu koszula przywarła mu do pleców, a ziarenka prochu drażniły skórę.

Po następnym pocisku nie było fontanny wody; Hornblower nie dojrzał nigdzie śladu jego upadku. A potem zobaczył, że łódź wiodąca zrobiła pół obrotu i wiosła jej przestały pracować.

— Pan ją trafił, sir! — zawołał Bush.

W chwilę później łódź znowu wróciła na swój kurs i szła pod silnymi uderzeniami wiosła. Poczł rozczarowanie — istniało małe prawdopodobieństwo, aby taka długa szalupa przetrwała celne trafienie z działa sześćofuntowego bez szkody dla swej zdolności bojowej, ale przecież było to możliwe. Po raz pierwszy Hornblower poczuł lęk, że grozi mu niepowodzenie. Jeśli celny strzał, nad którym tyle się napracował, nie odniósł skutku, co za sens kontynuować walkę? A potem, na przekór, pochylił się znowu nad armatą, wyęzając wzrok przez celowniki, aby wziąć małą poprawkę na znoszenie przez dział w prawo. Patrząc zauważył, że na łodzi czołowej wiosła znowu przerwały pracę. Zachwiała się i obróciła, sygnalizując gwałtownie do pozostałych. Hornblower wycelował, strzelił, nie trafiając, lecz widział, że zanurza się w wodę coraz głębiej. Pozostałe łodzie podeszły do jej burty, widocznie aby zabrać załogę.

— Rumb w lewo, panie Bush! — zawołał Hornblower — już grupa łodzi była poza polem obstrzału armatniego, ale stanowiła cel zbyt kuszący, by go zignorować. Francuski pilot jęczał pomagając przy nataczaniu działa, lecz Hornblower nie miał czasu wysłuchiwać jego patriotycznych protestów. Wycelował starannie i wystrzelił. Znów ani śladu rozbryzgu — pocisk trafił jednak widocznie w tę samą łódź co poprzednio, gdyż momentalnie dwie pozostałe odsunęły się od nabierającej wody towarzyszki, by podjąć pościg.

Brown zmieniał ludzi przy wiosłach — przypominał sobie, że usłyszał jego triumfalny okrzyk w momencie trafienia — i Hornblower patrzył z podziwem, jak on świetnie radzi sobie z ludźmi, jeńcami wojennymi czy byłymi katorżnikami, z podziwem, ale nie zazdrością. Ścigający zmienili taktykę — jedna łódź szła prosto na nich, a druga, zboczywszy nieco, dalej próbowała zająć im drogę. Wkrótce powód tego stał się jasny, gdyż z dziobu pierwszej wzbił się obłoczek dymu, kula armatnia wyrzuciła fontannę wody obok kutra i przemknęła za jego rufą.

Hornblower skwitował to wzruszeniem ramion — trzyfuntowe działko łodziowe, strzelające z platformy kołyszącej się jeszcze bardziej niż „Witch of Endor”, nie mogło nic im zrobić z tej odległości, a każdy strzał oznaczał dla nich zwłokę w pościgu. Wycelował armatę na łódź zachodzącą im drogę, wystrzelił i chybił. Brał ją ponownie na cel, gdy dobiegł jego uszu huk drugiego wystrzału z działka łodzi, ale nawet nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić, gdzie poszedł pocisk. Jego własna kula upadła blisko celu, ponieważ odległość malała, a on sam poznawał coraz

lepiej swoje działo i coraz bardziej wczuwał się w rytm długiej atlantyckiej martwej fali kołyszącej „Witch of Endor”. Trzykrotnie posłał pocisk tak blisko łodzi, że woda musiała opryskać wiosłarzy — wiedział, że każdy strzał powinien być celny, ale nieobliczalne kombinacje pozostałych zmiennych, cech prochu, kul i armaty sprawiały, że miejsce w promieniu pięćdziesięciu jardów, gdzie padał pocisk, choćby wycelowany jak najlepiej, pozostawało sprawą przypadku. Dziesięć dobrze obsługiwanych dział załatwiłoby sprawę jedną salwą burtową, ale nie było mowy o wystrzeleniu z dziesięciu armat naraz.

Od dziobu dobiegł trzask i fontanna odłamków frunęła z podstawy wspornika, a pocisk przeorał pokład na ukos tuż obok przedniego luku.

— Nie, nie ruszysz się! — wrzasnął Brown, wyskakując ku przodowi z węzłastą liną w rękę. — Wiosłuj porządnie dalej, taki synu!

Popchnął z powrotem przerażonego galernika na jego miejsce przy wiosle — pocisk musiał przelecieć najwyżej o jard od niego.

— Mocno wiosłować! — wołał, stojąc pośrodku nich, wspaniały w swojej sile fizycznej, z węzłastą liną zwisającą z dłoni, gdy jedni, wyczerpani, leżeli na pokładzie, a inni zlewali się potem przy wiosłach. Wyglądał jak pogromca w klatce lwów. Hornblower stwierdził, że nie jest tam potrzebny ani on, ani jego pistolety, i pochylił się znowu nad działem, tym razem z uczuciem prawdziwej zazdrości.

Ostrzeliwująca ich łódź nie zbliżała się wcale — a nawet chyba pozostawała nieco w tyle — ale druga była teraz znacznie bliżej. Hornblower mógł na niej rozróżnić postacie poszczególnych ludzi, ciemne głowy i brązowe ramiona. Na moment wiosła jej stanęły i zapanowało na niej poruszenie, jakby przegrupowanie wiosłarzy. Ruszyła znowu, znacznie szybciej, sunąc prosto ku nim. Dowodzący oficer podszedłszy tak blisko zdwoił załogi u wiosel, aby przemknąć błyskawicznie ostatnią najbardziej niebezpieczną strefę, szafując rozrzutnie zaoszczędzonymi przedtem przezornie siłami swoich ludzi, chcąc jak najszybciej dopaść burty kutra.

Hornblower ocenił malejącą szybko odległość, pokręcił śrubą elewacyjną i wystrzelił. Pocisk upadł w wodę o dziesięć jardów od dziobu łodzi i musiał przejść rykoszetem tuż nad nią. Zwilżył łufę gąbką, załadował, przybił — powiedział sobie, że byłoby teraz fatalnie chybić, i zmusił się do wykonania wszystkich zwykłych czynności z tą samą co przedtem precyzją. Celowniki działa nastawione były prosto na dziób łodzi oddalonej na odległość bezpośredniego strzału. Szarpnął za sznur zapału i natychmiast zaczął ładować znowu, nie tracąc czasu na śledzenie lotu kuli. Musiała przemknąć tuż nad głowami wiosłarzy, bo gdy spojrział ponownie przez celowniki, zobaczył łódź idącą wciąż prosto na niego. Zmniejszył odrobinę podniesienie, odstąpił na bok i pociągnął za sznur. Popatrzył dopiero po odciągnięciu liny kierunkowej. Dziób łodzi otworzył się jak wachlarz. W powietrzu zaczętnił nad nim punkcik — przypuszczalnie beczułka z wodą, jak piłka futbolowa wyrzucona w górę uderzeniem pocisku, który trafił dziobnicę tuż nad linią wody. Dziób wysunął się z wody, luźne kawałki poszycia rozprysły się na boki, a potem znowu poszedł w dół, woda runęła do wnętrza i łódź momentalnie zanurzyła się aż po krawędzie burt, z dnem strzaskanym przypuszczalnie przez ten sam pocisk co dziób.

Brown znowu wznosił okrzyk triumfu, a Bush przy rumplu podskakiwał niezdarnie na drewnianej nodze, pilot zaś francuski stojący przy Hornblowerze głośno wciągnął nosem powietrze. Czarne punkciki na powierzchni niebieskiej wody wskazywały, gdzie ludzie walczą o życie — musiało być przeraźliwie zimno i na pewno ci, którzy nie znajdą oparcia w rozbitym kadłubie łodzi, pójdą na dno, ale nic nie można było zrobić, by im pomóc. Mieli i tak już za dużo jeńców, a każda zwłoka przybliżyłaby drugą łódź do ich burty.

— Niech ludzie będą wciąż zajęci! — bez potrzeby krzyknął Hornblower ostro do Browna. Potem raz jeszcze schylił się, żeby załadować armatę.

Jaki kurs sir? — zawołał Bush od rumpla. Chciał się dowiedzieć, czy ma sterować tak, aby umożliwić otwarcie ognia na trzecią łódź, która właśnie przestała strzelać i spieszenie szła ku wrakowi.

— Tak trzymać — warknął Hornblower. Wiedział doskonale, że ta łódź już im nie zagrazi. Widząc, jak inne toną i będąc przepelniona ludźmi zawróci raczej, zamiast kontynuować walkę. I tak się też stało. Wyłowiwszy żywych, zmieniła kurs i podążyła ku Noirmoutier, żegnana szyderczym okrzykiem Browna.

Hornblower mógł się teraz rozejrzeć wokół siebie. Przeszedł na rufę i stanął przy relingu rufowym obok Busha — rzecz ciekawa, że o wiele naturalniej czuł się tutaj niż przy armacie — i omiół spojrzeniem widnokrąg. W czasie walki wiosła wyniosły kuter daleko na morze. Łąd stały zasnuty był lekką mgiełką; Noirmoutier zostało daleko za nimi. Ale wciąż nie pojawiał się wiatr. I dalej byli w niebezpieczeństwie — jeśli przed zapadnięciem mroku nie odpłyną poza zasięg łodzi z ładu, nocny atak może się skończyć znacznie gorzej. Ważny jest każdy przebyty jard, i jeśli będzie trzeba, ludzie przy wiosłach muszą dalej pracować jak niewolnicy przez cały dzień, a także i noc.

Po szalonym wysiłku, jakiego wymagała obsługa działa przez cały ranek, bolały go wszystkie stawy, a nie spał wcale tej nocy — to samo Bush i Brown. Poczul, że cuchnie potem i dymem, a skóra świerzbi go od prochu. Potrzebował odpoczynku, lecz automatycznie ruszył do działa, by je zamocować i usunąć nie zużyte naboje w bezpieczne miejsce oraz włożyć do kieszeni pistolety, które wydobyl z otworów ściekowych, łajac siebie w duchu za lekkomyślność.

Rozdział XV

Dopiero o północy lekki powiew przemknął nad zamgloną powierzchnią wody; odchylił tylko wielki grot i wzbudził szmer w takielunku, a potem nasilił się, żagle schwyciły go i trzymały, wypełniając się w ciemności, i Hornblower mógł kazać wyczerpanym wiosłarzom odejść, a kuter zaczął się ślizgać tak wolno, że woda pod dziobem pozostawała nie wzburzona, a mimo to szybciej, niż gdy szedł na wiosłach. Od wschodu nadleciała bryza, trwała, choć słaba; manewrując szotem grota Hornblower ledwie wyczuwał ciąg, a jednak duża powierzchnia żagli wystarczała, by nieść wdzięczny kadłub kutra po niewidocznej gładzi wody.

Hornblower czynił, co do niego należało, ale wskutek zmęczenia i braku snu poruszał się jak lunatyk. Galernicy i jeńcy spali pokotem — po dwudziestu godzinach pracy przy wiosłach dłonie ich ku wieczorowi spływały krwią, toteż na razie nie groziły z ich strony żadne kłopoty, ale nie było snu

dla niego, Busha i Browna. Gdy wydawał rozkazy, własny głos brzmiał mu w uszach dziwnie i odległe, jak głos kogoś obcego przemawiającego z sąsiedniego pokoju; własne ręce, którymi trzymał liny też wydawały mu się obce. Czuł się tak, jakby jakaś luka powstała między mózgiem, który wciąż próbował myśleć, a ciałem godzącym się łaskawie jeszcze go słuchać.

Gdzieś na północnym zachodzie znajdowała się flota nieustannie strzegąca Brestu. Położył kuter na ten kurs przy sprzyjającym wietrze z baksztagu, i jeśli nie natrafi na flotę Kanału opłynie Ushant[12] i poprowadzi kuter do Anglii. To były fakty, lecz wciąż trudno mu było w nie uwierzyć. Wspomnienie buduaru Marie de Gracay na piętrze zamku czy walki o życie w wezbranych wodach Loary wydawały się znacznie realniejsze niż ten solidny okręcik, po którego pokładzie stapał i którego szotem manewrował. Ustalając kurs, jakim Bush miał prowadzić okręt, doznawał wrażenia, że bawi się z dzieckiem w podróż na niby. Perswadował sobie wprawdzie, że to nic nowego, że i przedtem dosyć często zauważał, iż o ile mógł bez szkody spędzić jedną noc bezsennie, o tyle w czasie drugiej wyobraźnia płatała mu figle, ale nie wpłynęło to na rozjaśnienie jego umysłu.

Wrócił do Busha stojącego przy rumplu; słabe oświetlenie kompasu ledwie wydobywało z ciemności jego twarz. Hornblower był nawet gotów wdać się w rozmowę za cenę znalezienia się znowu w świecie rzeczywistości.

— Zmęczony pan, panie Bush? — zapytał.

— Nie sir. Wcale nie. Ale jak z panem, sir? Bush przeszedł ze swym dowódcą zbyt wiele bitew, by mieć przesadne wyobrażenie o jego siłach.

— Dziękuję dosyć dobrze.

— Sir, jeśli ten wiatr się utrzyma — zauważył Bush zdawszy sobie sprawę, że ma oto jedną z rzadkich okazji rozmowy ze swoim kapitanem — to rano dopłyniemy do naszej floty.

— Mam nadzieję, że tak — odrzekł Hornblower.

— Na Boga, sir — ciągnął Bush — co o tym powiedzą w Anglii?

Bush miał wniebowzięty wyraz twarzy. Marzył o sławie, o awansie zarówno dla swojego dowódcy, jak i dla siebie.

— W Anglii? — powtórzył Hornblower nieprzytomnie.

Był zbyt zaabsorbowany, żeby snuć marzenia, myśleć, co brytyjska opinia publiczna, sentymentalna jak zawsze, będzie sądzić o ucieczce brytyjskiego kapitana, który niemal w pojedynkę odbił zdobyczy okręt wojenny i wrócił nim triumfalnie do kraju. Zdobył „Witch of Endor” przede wszystkim dlatego, że nadarzyła się do tego okazja i że był to najdotkliwszy cios, jaki mógł zadać nieprzyjacielowi; od chwili porwania był najpierw zbyt zaabsorbowany, a potem za bardzo zmęczony, by uświadomić sobie dramatyczny wydźwięk swego wyczynu. Brak wiary we własne osiągnięcia i odwieczny pesymizm, gdy szło o jego własną karierę, nie pozwoliły mu myśleć o sobie jako o kimś, kogo stać na odniesienie efektownego sukcesu. Bush ze swoim brakiem

wyobraźni potrafił lepiej ocenić potencjalne efekty tego czynu.

— Tak, sir — mówił Bush z przejęciem — mimo że rumpel, Kompas i wiatr wymagały z jego strony wiele uwagi. — Pięknie będzie wyglądało w „Gazette” to odbicie „Witch of Endor”. Nawet „Morning Chronicle”, sir...

„Morning Chronicle”, zawsze gotowa do pomniejszania zwycięstw i zbijania kapitału na niepowodzeniach, była solą w oku rządu. Hornblower wspomniał, jak to w czasie pierwszych gorzkich dni niewoli w Rosas martwił się, co „Morning Chronicle” napisze o poddaniu przez niego „Sutherlanda”.

Nagle poczuł się znużony. Powiedział sobie, że jego rozterki to głównie skutek tchórzliwego odsuwania myśli o przyszłości. Aż do tej nocy wszystko było wątpliwe — w każdej chwili mógł zostać znowu schwytany, ale teraz na pewno, jeśli cokolwiek może być pewnego na morzu, zobaczy znowu Anglię. Będzie musiał przejść przez proces w związku ze stratą „Sutherlanda” i po osiemnastu latach służby stanąć przed sądem wojennym. Sąd może uznać go winnym, że nie uczynił wszystkiego, co było w jego mocy, w obliczu nieprzyjaciela, a za to groziła jedna kara; śmierć — ten punkt Regulaminu Wojennego nie kończył się, jak inne, łagodzącymi słowami; „lub niższą z wymienionych kar”... Na mocy tego artykułu rozstrzelano Bynga przed pięćdziesięciu laty.

Gdyby nawet został oczyszczony z tego zarzutu, słusność jego poczynań jako dowódcy „Sutherlanda” mogła zostać mimo to zakwestionowana. Mogli go uznać winnym błędów w ocenie sytuacji i wystawienia okrętu na ryzyko walki przeciwko czterokrotnie silniejszemu nieprzyjacielowi i ukarać w różny sposób, od zwolnienia ze służby poczynając, co uczyniłoby z niego wyrzutka społeczeństwa i nędzarza, po zwykłą naganę, która jedynie zamknęłaby mu drogę do dalszej kariery. Sąd wojenny był zawsze ryzykownym doświadczeniem, ciężką próbą, z której nieliczni tylko wychodzili obronną ręką — Cochrane, Sydney Smith, pół tuzina wspaniałych dowódców ucierpiało wskutek sądu wojennego, zaś pozbawiony przyjaciół kapitan Hornblower mógł być następnym.

A sąd wojenny był tylko jedną z prób, jakie go oczekiwały. Dziecko ma teraz trzy miesiące; do tej chwili nie miał czasu się zastanawiać — czy to chłopiec, czy dziewczynka, czy jest zdrowe, czy słabowite. Bał się o Marię — a przecież musiał sobie powiedzieć tę gorzką prawdę, że wcale nie chce wracać do niej. Nie pragnie tego; dziecko poczęte zostało w momencie nieprzytomnej zazdrości, gdy dowiedział się o małżeństwie Lady Barbary i admirała Leightona. Maria w Anglii, Marie we Francji — sumienie dręczyło go z powodu ich obu, ale pod tym uczuciem kryło się grzeszne pożądanie Lady Barbary, które przycichło na czas, kiedy był tak zajęty, lecz wiedział, że w momencie gdy jego kłopoty się skończą, jeśli to jest w ogóle możliwe, zacznie go znowu dręczyć, jak nieuleczalna choroba.

Obok uszczęśliwiony Bush ciągnął swoje wywody. Hornblower słuchał, nie przywiązując wagi do jego słów.

— Hmm — mruczał. — Istotnie.

Nie umiał cieszyć się jak Bush z prostych radości — przestwór morza, pokład pod stopami —

w każdym razie nie teraz, gdy gorzkie myśli stłoczyły się w jego głowie. Ostre brzmienie jego głosu zmroziło tok szczerych i tak rzadkich wynurzeń Busha, i porucznik zamilkł. Hornblower uważał, że trudno oczekiwać, aby Bush, nieraz traktowany przez niego w sposób brutalny, żywił wciąż do niego przywiązanie. Ale Bush jest jak pies, pomyślał z gorzkim cynizmem, jak pies, co liże dłoń, która go bije. Z uczuciem pogardy dla samego siebie Hornblower skierował się znowu do szota grotzągla, by tam spędzić długie godziny sam na sam z sobą, w piekle swej udręki.

Blady świt zaczynał perłową poświatą rozpraszać ciemności nocy i szarość złagodziła jej zamgloną czerń, gdy Brown przyszedł na rufę do Hornblowera.

— Za pańskim pozwoleniem, sir, ale mnie się zdaje, że coś się tam pokazało. Na lewo od dziobu, sir — o tam, widzi pan, sir?

Hornblower wpił wzrok w ciemność. Coś tam mogło być, coś bardziej zwartej niż czarna mgła, coś maleńkiego. Przemknęło i poczuł, że ma oczy zmęczone.

— Jak myślicie, Brown, co to takiego?

— Jak pierwszy raz zobaczyłem, sir, to myślałem, że okręt, ale w tym tumanie, sir...

Zachodziło niewielkie prawdopodobieństwo, że to francuski okręt wojenny — tak małe, jak przy kolorze złożonym z czterech kart i wyjściu w asa szansa trafienia u przeciwnika na singla króla. Prędzej to angielski okręt wojenny albo statek handlowy. Najbezpieczniej było podejść z nawietrznej, ponieważ kuter, idąc bliżej wiatru, niż potrafi jakikolwiek okręt rejonowy, mógł w razie potrzeby zawrócić i dzięki mgłę, ciemności i szybkiej reakcji umknąć na czas, zanim zostanie pozbawiony zdolności do żeglugi.

— Panie Bush, zdaje się, że mamy statek po zawietrznej. Proszę iść pełnym wiatrem w tamtym kierunku. Niech pan będzie gotowy do zwrotu przez sztag na mój rozkaz. Brown, na szot kliwra

W obliczu ewntualnego niebezpieczeństwa Hornblowerowi znowu rozjaśniło się w głowie. Miał tylko sobie za złe, że serce przyspieszyło rytm — ja zwykle w niepewnej sytuacji. Kuter położył się na nowy kurs, idąc fordewindem po zasnutej mgłą wodzie, z bomem grotzągla wychylonym daleko w lewo. Hornblower poczuł przelotną obawę, czy Bush nie wychylił bomu na niewłaściwą stronę, ale powstrzymał się z ostrzeżeniem — wiedział, że w tak poważnej sytuacji może polegać na żeglarzu tej miary co Bush. Wbijał oczy w mrok; mgła szła pasmami, to gęstniała, to znowu rzedła, ale to był z całą pewnością okręt. Płynął pod samymi marslami — co wskazywało niemal na pewno, że na kursie ich znalazł się brytyjski okręt wojenny, któryś z floty czuwającej nieustannie koło Brestu. Stracili go z oczu w gęstszej mgłę, a gdy przeszli przez nią, był już znacznie bliżej, a jego żagle majaczyły szaro w świetle wstającego świtu. Teraz byli już bardzo blisko.

Nagle ciszę rozdarło wysokie, przenikliwe zawołanie o brzmieniu niemal wcale nie skażonym przez tubę — człowiek, który je wydał, musiał mieć głos zaprawiony w wichurach atlantyckich.

— Hej, na kutrze! Kim jesteście?

Usłyszawszy angielską mowę Hornblower poczuł odprężenie. Nie było potrzeby robienia zwrotu przez sztag, trzymania się nawietrznej, szukania schronienia we mgle. Z drugiej strony jednak wszystkie przyszłe nieprzyjemności, które sobie dotąd tylko wyobrażał, nabierały realnych kształtów. Przełknął ślinę, szukając przez chwilę brakujących słów.

— Kim jesteście? — powtórzył głos niecierpliwie.

Choćby miało się stać najgorsze, co się stać może, on będzie szedł do końca z podniesioną banderą i jeśli to ma być kres jego kariery, zakończy ją dobrym żartem.

— „Witch of Endor”, uzbrojony kuter jego królewskiej brytyjskiej mości, dowodzony przez kapitana Hornblowera. A wasz co za okręt?

— „Triumph”, kapitan Sir Thomas Hardy... jak pan powiedział, co za kuter?

Hornblower uśmiechnął się do siebie. Oficer wachtowy na obcym okręcie rozpoczął automatycznie swoją odpowiedź i dopiero gdy do jego mózgu dotarła nazwa jednostki i nazwisko dowódcy, uprzytomnił sobie, że odpowiedź z kutra jest zupełnie nie do wiary. „Witch of Endor” była od roku w rękach Francuzów jako przyz, a kapitan Horatio Hornblower nie żył od sześciu miesięcy.

Hornblower jeszcze raz powtórzył swoją odpowiedź; Bush i Brown chichotali głośno, ubawieni.

— Przejdźcie na moją zawietrzną i żadnych głupstw, bo was zatopię — zawołał głos.

Z kutra usłyszeli odgłosy wytaczania dział na „Triumphie”; Hornblower wyobrażał sobie krzątanie na pokładzie, wywoływanie załogi, przywoływanie kapitana — Sir Thomas Hardy to chyba były kapitan flagowy Nelsona spod Trafalgaru, ze stażem kapitańskim o dwa lata dłuższym od stażu Hornblowera. Hornblower poznał go jako porucznika i od tamtego czasu nie spotykali się prawie wcale. Bush przeprowadził kuter pod rufą dwupokładowca i stanął do wiatru po jego zawietrznej. Rozwidniało się szybko; widać już było detale okrętu postawionego w dryf i kołyszącego się na martwej fali i z piersi Hornblowera wyrwało się długie przejmujące westchnienie. Potężne piękno okrętu, dwie żółte pręgi wzdłuż burt nakrapiane czarnymi furtami strzelniczymi, proporzec na grotmaszcie, załoga na pokładzie, czerwone uniformy żołnierzy piechoty morskiej, głos bosmana łającego opieszających marynarzy — wszystkie te znajome obrazy i odgłosy charakterystyczne dla marynarki wojennej wzruszyły go niewymownie w tej chwili, u kresu długiej niewoli i ucieczki.

„Triumph” opuścił szalupę, która podskakując na wodzie szybko podeszła do nich, i młody kadet ze sztyletem u pasa i wyrazem aroganckiej podejrzliwości na twarzy zwinnie wskoczył na pokład, a wraz z nim czterej marynarze z pistoletami i kordami.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał kadet. Ogarnął spojrzeniem pokład kutra, z zaspanymi więźniami przecierającymi oczy, cywilem u rumpla, z drewnianą protezą, i oczekującym go z odkrytą głową mężczyzną w mundurze królewskiej marynarki wojennej.

— Do mnie ma się pan zwracać „sir” — warknął Hornblower takim samym tonem, jakim przemawiał zawsze do kadetów, od kiedy został porucznikiem.

Kadet popatrzył na lamowany złotem mundur z insygniami kapitana o trzyletnim przeszło stażu; mężczyzna, który miał go na sobie, zachowywał się w sposób bardzo pewny siebie.

— Tak jest, sir — odpowiedział kadet nieco speszony.

— Przy rumplu jest porucznik Bush. Zostanie pan ze swoimi ludźmi pod jego rozkazami, a ja tymczasem popłynę zobaczyć się z pańskim dowódcą.

— Tak jest, sir — odrzekł kadet stając na baczność.

Szalupa dowiozła Hornblowera do burty „Triumph” i sternik wystawił cztery palce, co oznaczało przybycie kapitana, lecz gdy Hornblower wchodził na pokład, nie czekali tam ani żołnierze piechoty morskiej, ani trapezi — marynarka wojenna nie mogła ryzykować ceremonialnego powitania ewentualnych oszustów. Lecz Hardy był na pokładzie, jego wysoka postać górowała nad wszystkimi; Hornblower spostrzegł, jak wyraz mięsistej twarzy zmienia się na jego widok.

— Dobry Boże, to rzeczywiście Hornblower — powiedział Hardy występując naprzód z wyciągniętą dłonią.

— Witamy serdecznie, sir. Jak się pan tu dostał, sir? Jak odbił pan „Witch”? Jak...

Hardy miał zamiar zapytać; „Jak pan wstał z grobu?”, ale pytanie tego rodzaju nie byłoby na miejscu. Hornblower wymienił z nim uścisk dłoni i z przyjemnością kroczył znowu po pokładzie rufowym liniowca. Za wiele spraw mu ciążyło i umysł zbyt miał otępiaty od zmęczenia, aby mógł odpowiadać na pytania Hardy'ego.

— Chodźmy do mojej kabiny — zaprosił uprzejmie Hardy. Chociaż sam nie podlegał łatwo wzruszeniom, potrafił zrozumieć, co tamtem przeżywa.

Nastrój zelżał, gdy siedli w kabinie na wysłanej poduszkami skrzyni pod wiszącym na grodzi portretem Nelsona, słysząc wokoło stłumione trzeszczenie drewnianych części okrętu; duże okno rufowe otwierało widok na błękitne morze. Hornblower opowiedział coś niecoś z tego, co mu się przydarzyło — nie za wiele i bez szczegółów; kilka krótkich zdań, Hardy bowiem był człowiekiem, któremu nie trzeba dużo mówić. Słuchał uważnie szarpiąc bokobrody i potakując w ważniejszych punktach opowieści.

— Jeden cały numer „Gazette” — zauważył — był o bitwie w zatoce Rosas. Przywieźli ciało Leightona, żeby je złożyć w katedrze Św. Pawła.

Kabina zawirowała wokół Hornblowera; przyjazne oblicze Hardy'ego ze wspaniałymi bokobrodami rozplynęło się we mgle.

— A więc zginął? — zapytał Hornblower.

— Zmarł z ran w Gibraltarze.

Zatem Barbara jest wdową — już od pół roku.

— Czy miał pan jakieś wiadomości o mojej żonie? — zapytał Hornblower. Pytanie to było dla Hardy'ego naturalne, chociaż on sam mało miał do czynienia z kobietami; nie dopatrzył się w nim związku z tym, o czym była mowa poprzednio.

— Przypominam sobie, że otrzymała od rządu emeryturę po nadejściu wiadomości o... o pańskiej śmierci.

— I nic poza tym? Spodziewaliśmy się dziecka.

— Nic mi więcej nie wiadomo. Jestem na tym okręcie od czterech miesięcy.

Hornblower opuścił głowę. Wiadomość o śmierci Leightona jeszcze bardziej zwiększyła chaos w jego głowie. Nie wiedział, czy ma się tym smucić, czy cieszyć. Barbara pozostanie dla niego nieosiągalna, jak dotychczas, i być może będzie musiał znowu przechodzić męki zazdrości z powodu jej powtórnego zamążpójścia.

— A teraz — odezwał się Hardy — śniadanie?

— Na kutrze został Bush i mój sternik — odrzekł Hornblower. — Muszę wpierw sprawdzić, czy wszystko z nimi w porządku.

Rozdział XVI

Podczas śniadania do kabiny wszedł kadet.

— Z salingu widać okręty — zameldował Hardy'emu.

— Doskonale. — Po wyjściu kadeta Hardy znowu zwrócił się do Hornblowera. — Muszę złożyć jego lordowskiej wysokości raport o pańskim przybyciu

— Więc on wciąż jest dowódcą? — zapytał zaskoczony Hornblower. Było dla niego niespodzianką, że rząd przez trzy lata pozostawiał dowództwo floty Kanału w rękach lorda Gambiera mimo katastrofalnego zmarowania przez niego okazji na redzie baskijskiej.

— Opuszcza swoją flagę w przyszłym miesiącu — odparł ponuro Hardy. Większość oficerów posepniała, gdy była mowa o „Ponurym Jimmy”. — Wybielili go przed sądem wojennym i został do końca trzyletniej kadencji.

Cień zakłopotania pojawił się na obliczu Hardy'ego; wymknęło mu się o tym sądzie wojennym w obecności człowieka, który będzie musiał przejść przez to samo.

— Widocznie musieli go zostawić — powiedział Hornblower idąc za biegiem myśli swego kolegi i zastanawiając się, czy i jego będą „wybielać” na procesie.

Hardy przerwał kłopotliwe milczenie, jakie zapadło po tych słowach.

— Może chce pan wyjść ze mną na pokład? — zapytał.

Na horyzoncie po zawietrznej pojawił się długi rząd okrętów idących bejdewindem. Płynęły wyrównaną, regularną linią, wykonując kolejno zwrot przez sztag w idealnym porządku, jakby były powiązane ze sobą niewidzialnym łańcuchem. Flota Kanału odbywała ćwiczenia — osiemnaście lat ćwiczeń na morzu zapewniło jej niezaprzeczną wyższość nad wszystkimi flotami świata.

— Ten na czele to „Victory” — zauważył Hardy, podając lunetę Hornblowerowi. — Kadet sygnałowy! „»Triumph« do okrętu flagowego. Mam na pokładzie...”

Hornblower patrzył przez lunetę, a Hardy dyktował swoją depezę. Trójpokładowiec z admirałską flagą na maszcie wiódł długą kolumnę okrętów, w słońcu połyskiwały szerokie pasy na jego burtach. Był flagowym okrętem Jervisa pod St Vincent, Hooda na Morzu Śródziemnym, Nelsona pod Trafalgarem. A teraz Ponurego Jimmy — tragiczny zbieg okoliczności. Rzuty flag wzbijały się po flaglinkach; Hardy ledwie nadażał z dyktowaniem odpowiedzi.

— Admirał wzywa pana do siebie na pokład, sir — rzekł wreszcie odwracając się do Hornblowera. — Mam nadzieję, że zrobi mi pan ten zaszczyt i skorzysta z mojej łodzi?

Barkas „Triumph” pomalowany był na kolor bladożółty z czarnym, tak samo pióra wiosel; załoga miała na sobie również bladożółte bluzy z czarnymi chustami na szyi. Zająwszy miejsce, czując jeszcze mocny uścisk dłoni Hardy'ego, Hornblower pomyślał ze smutkiem, że nie stać go było na przyodzianie załogi swojego barkasa w specjalne uniformy; zawsze cierpiał z tego powodu. Hardy musi być bogatym człowiekiem, z przyzwoitym, które mu przypadło za Trafalgar, i pensją pułkownika piechoty morskiej. Zestawił jego i siebie — Hardy'ego, baroneta zasobnego w pieniądze i sławę, i siebie, ubogiego, nic nie znaczącego, mającego w bliskiej perspektywie sąd wojenny.

Na „Victory”, zgodnie z regulaminem Admiralicji, powitał go świst trapowy — żołnierze piechoty morskiej prezentujący broń, trapowi w białych rękawiczkach pomagający mu przy wejściu, świergot gwizdków bosmańskich; a na pokładzie czekał kapitan, by uścisnąć mu dłoń — dziwne wydało się to Hornblowerowi, gdy pomyślał, że wkrótce stanie przed sądem.

— Jestem Calendar, kapitan floty — przedstawił się. — Jego lordowska mość oczekuje pana na dole.

Z uprzedzającą grzecznością poprowadził go na dół.

— Byłem pierwszym na „Amazon” — przypomniał — gdy pan służył na „Indefatigable”. Czy pan mnie pamięta?

— Tak — odparł Hornblower. — Nie chciał sam tego powiedzieć, by się nie narazić na afront.

— Świetnie sobie pana przypominam — ciągnął Calendar. — Pamiętam, co Pellew mówił o panu.

Cokolwiek by Pellew o nim powiedział, na pewno były to słowa pochlebne — swój awans zawdzięczał entuzjastycznej rekomendacji Pellewa — to ładnie ze strony Calendar, że mu to przypomina w krytycznym momencie jego kariery.

W kabinie lorda Gambiera, o wiele skromniej urządzonej niż kabina Hardy'ego, przedmiotem najbardziej rzucającym się w oczy była wielka oprawna w brąz Biblia leżąca na stole. Sam Gambier, ponury, z obwisłymi policzkami, siedział u okna rufowego dyktując urzędnikowi, który wycofał się na widok dwóch kapitanów.

— Może pan na razie złożyć swój raport ustnie, sir — rzekł admirał.

Hornblower zaczerpnął głęboko powietrza i zaczął. Naszkicował sytuację strategiczną w momencie, gdy rzucił „Sutherlanda” w bój przeciwko eskadrze francuskiej pod Rosas. Samej bitwie poświęcił jedno, najwyżej dwa zdania — ci ludzie też staczali bitwy i mogli sobie dopowiedzieć resztę. Mówił o rozbitych okrętach francuskich, dryfujących bezradnie w stronę zatoki Rosas, pod osłonę dział fortecznych, oraz o kanonierkach wroga, które wyruszyły stamtąd na wiosłach.

— Stu siedemnastu zabitych — powiedział Hornblower. — Stu czterdziestu pięciu rannych, z których czterdziestu czterech zmarło, zanim zabrano mnie z Rosas.

— Mój Boże! — westchnął Calendar. Słów tych nie wywołała liczba zmarłych w szpitalu — to była zwykła proporcja lecz pełna lista strat w ludziach. Grubo ponad połowa całej załogi „Sutherlanda” została wytrącona z boju, zanim się poddano.

— Milordzie, Thompson na „Leandrze” stracił dziewięćdziesięciu trzech na trzystu — powiedział. Thompson poddał „Leandra” liniowcowi francuskiemu koło Krety po obronie, która wzbudziła zachwyty całej Anglii.

— Wiem o tym — odrzekł Gambier. — Proszę kapitanie, niech pan kontynuuje.

Hornblower opowiedział, jak był świadkiem rozbicia eskadry francuskiej, jak Caillard przybył, by go zabrać do Paryża, jak najpierw uciekł eskortcie, a potem uratował się od utonięcia. Wspomniał mimochodem o hrabim de Gracay i splywie Loara — te sprawy nie obchodziły admirała — natomiast rozwiódł się szerzej o odbiciu „Witch of Endor”. Szczegóły były tu istotne, ponieważ przy różnorodnych operacjach floty brytyjskiej mogła okazać się przydatna znajomość urządzeń portowych w Nantes i trudności nawigacyjnych w dolnej Loarze.

— Na Boga Ojca, człowieku — zawołał Calendar — jak może pan mówić o tym tak spokojnie?! Czyż nie był pan...

— Kapitanie Calendar — przerwał Gambier — prosiłem pana już przedtem, aby nie nadużywał pan imienia boskiego w tak bluźnierczy sposób. Będę naprawdę bardzo niezadowolony, jeśli powtórzy się to jeszcze raz. Kapitanie Hornblower, bardzo proszę mówić dalej.

Pozostało jeszcze opowiedzieć o starciu z łodziami w Noirmoutier. Hornblower relacjonował sucho jego przebieg, lecz tym razem przerwał mu sam Gambier

— Mówi pan, że otworzyliście ogień z sześciofuntowego działła — zauważył. — U wiosła byli więźniowie, a ktoś musiał sterować kutrem. Któż obsługiwał armatę?

— Ja, milordzie. Pomagał mi pilot francuski.

— Hmm. I pan je odstraszył?

Hornblower przyznał się, że udało mu się zatopić dwie z trzech łodzi wysłanych w pościg za nim. Calendar gwizdnął z podziwem, lecz kamienne oblicze admirała przybrało jeszcze bardziej twarde wyraz.

— Tak? — powiedział. — A potem? — Płynęliśmy na wiosłach do północy, milordzie, a później chwyciliśmy wiatr. O świcie zobaczyliśmy „Triumphą”.

W kabinie zapadła cisza, przerywana jedynie hałasem z pokładu, aż Gambier poruszył się w fotelu.

— Ufam, kapitanie — powiedział — że podziękował pan Wszechmocnemu za to swoje cudowne ocalenie. Widzę w tym wszystkim palec Boży. Polecę mojemu kapelanowi, by przy wieczornej modlitwie specjalnie wyraził wdzięczność i dziękczynienie w pańskim imieniu.

— Tak, milordzie.

— A teraz proszę sporządzić raport na piśmie. Zdaży pan chyba z tym do obiadu — mam nadzieję, że zechce mi pan dotrzymać towarzystwa przy obiedzie? Chciałbym dołączyć pańskie pismo do mojego pakietu z korespondencją do Admiralicji.

— Tak, milordzie.

Gambier medytował nad czymś głęboko.

— „Witch of Endor” może zabrać depesze — powiedział. Jak wszyscy admirałowie świata, miał nieustanne kłopoty ze zbieraniem i przekazywaniem informacji w taki sposób, by nie osłabiać swoich głównych sił; kuter, który spadł mu jak z nieba i mógł zabrać korespondencję, musiał sprawić mu wielką ulgę. Po dalszej chwili namysłu oznajmił;

— Awansuję tego pańskiego porucznika Busha na jego dowódcę.

Hornblowerowi dech zaparło. Awans na dowódcę oznaczał prawie na pewno otrzymanie oficjalnej nominacji na kapitana w przeciągu roku, właśnie to prawo awansowania stanowiło najbardziej cenny sposób poparcia, jakim dysponował admirał dowodzący. Bush zasługiwał na ten stopień, niemniej jednak było rzeczą zdumiewającą, że Gambier mu go przyznał — admirałowie miewają zwykle jakiegoś ulubionego porucznika, bratanka lub siostrzeńca czy syna starego przyjaciela, czekającego, aż się zwolni takie stanowisko. Hornblower wyobrażał sobie radość Busha na wiadomość, że i on znalazł się w końcu na drodze do rangi admirałowskiej, jeśli pożyje dostatecznie długo.

Ale to znaczyło więcej, dużo więcej. Awansowanie zastępcy było wyrazem uznania dla jego dowódcy, przypieczeniem oficjalną aprobatą jego poczynań. Ta decyzja Gambiera była publicznym — a nie tylko prywatnym — stwierdzeniem, że Hornblower działał właściwie.

— Dziękuję milordzie, dziękuję — mówił Hornblower.

— Naturalnie kuter jest pańskim przyzem — ciągnął Gambier. Rząd będzie musiał go odkupić od pana po jego zawinięciu do portu.

Hornblower nie pomyślał o tym. A znaczyło to, że co najmniej tysiąc funtów wpłynie do jego kieszeni.

— Pański sternik będzie miał byt zapewniony — zaśmiał się Calendar. — Zgarnie wszystko co przypada na załogę.

I to też było prawdą. Brown dostanie dla siebie czwartą część wartości „Witch of Endor”. Będzie mógł kupić domek czy kawałek ziemi i prowadzić, jeśli zechce, jakiś własny interes.

— „Witch of Endor” poczeka, aż pański raport będzie gotowy — oznajmił Gambier. — Przyśle panu mojego sekretarza do pomocy, a kapitan Calendar znajdzie dla pana kabinę i wszystko, czego mógłby pan potrzebować. Mam nadzieję, że zechce pan być moim gościem aż do mojego wyruszenia do Portsmouth w przyszłym tygodniu. Chyba tak będzie najlepiej.

Ostatnie słowa były delikatną aluzją do tego aspektu sprawy, który do chwili przybycia przede wszystkim zaprzętał umysł Hornblowera, a o którym nie było dotąd mowy — do tego mianowicie, że musi przejść sąd wojenny za utratę „Sutherlanda” i że aż do rozprawy musi pozostawać w areszcie. Wedle ustalonego zwyczaju powinien przez ten czas być pod nadzorem oficera tej samej rangi; nie było mowy o odesłaniu go do kraju na „Witch of Endor”.

— Tak, milordzie.

Mimo całej uprzejmości i wyrozumiałości Gambiera, mimo jawnej admiracji Calendara wciąż odczuwał skurcz gardła i suchość w ustach na myśl o sądzie wojennym; objawy te nie ustąpiły, choć próbował się uspokoić układając swój raport przy pomocy młodego, kompetentnego urzędnika, który zjawił się we wskazanej mu przez Calendarą kabinie.

— „Arma virumque cano” — zacytował sekretarz admirała po pierwszych podyktowanych z trudem zdaniach. Sprawozdanie Hornblowera rozpoczynało się oczywiście od bitwy pod Rosas. — Zaczyna pan, sir, in medias res, jak przystało na dobrego epika.

— To jest urzędowy raport — ofuknął go Hornblower. — Stanowi dalszy ciąg sprawozdania złożonego admirałowi Leightonowi.

Małeńka kabina pozwalała na trzy kroki tam i trzy z powrotem, i to w zgarbionej pozycji; wyrzucono stąd jakiegoś Bogu ducha winnego porucznika, by jemu zrobić miejsce. Na okręcie flagowym, nawet trójpokładowcu wielkości „Victory”, kabin było zawsze mniej niż potrzeba, bo oprócz admirała należało pomieścić kapitana floty, porucznika flagowego, sekretarza, kapelana i

resztę personelu oficerskiego. Przysiadł na zamku dwunastofuntowego działa obok koi.

— Proszę kontynuować — rozkazał — „Mając na względzie te warunki, przystąpiłem więc...”

Wreszcie raport ukończono — już po raz trzeci tego ranka Hornblower relacjonował swoje przygody, toteż straciły już dla niego swoją atrakcyjność. Był straszliwie zmęczony. Gdy przysiadł na dziale, głowa opadła mu na piersi, ale własne chrapanie ocuciło go. Zasypiał na siedząco.

— Pan jest zmęczony, sir — powiedział sekretarz.

— Tak.

Zmusił się, by przełamać senność. Sekretarz patrzył na niego oczyma pełnymi uwielbienia dla bohatera. Było to krępujące.

— Może pan tylko podpisze, sir, a ja zajmę się pieczęciami i zaadresowaniem.

Sekretarz wstał z krzesła i Hornblower podpisał spiesznie dokument, na podstawie którego wkrótce będzie sądzony za swe czyny.

— Dziękuję, sir — rzekł sekretarz, zgarniając papiery.

Hornblower był tak znużony, że przestał się nim krępować. Rzucił się na koję twarzą do poduszki, niedbając o pozory. Z oszalałamiącą szybkością staczał się w czarną otchłań — chrapał, nim sekretarz doszedł do drzwi, i nie poczuł, że ten otulił go kocem wszedłszy na palcach pięć minut później.

Rozdział XVII

Coś niewymownie bolesnego przywracało Hornblowera do życia. Nie chciał wracać. Budzenie się było udręką, torturą uczucie, że opuszcza go nieświadomość. Uczepił się jej, próbował pochwycić, lecz daremnie. Wymknęła mu się bezlitośnie. Ktoś delikatnie potrząsał go za ramię. Nagle oprzytomniał i odwrócił się na plecy ujrawszy, że to sekretarz admirała pochyła się nad nim.

— Za godzinę obiad u admirała — powiedział. — Kapitan Calendar myślał, że chciałby pan mieć trochę czasu, żeby się przygotować.

— Tak — burknął Hornblower. Instynktownie przejechał dłonią po podbródku nie golonym od kilku dni. — Tak.

Sekretarz stał sztywno i nieruchomo i Hornblower spojrział na niego ze zdziwieniem. Sekretarz miał dziwnie poważny wyraz twarzy, za plecami niezręcznie ukrywał gazetę.

— O co chodzi? — zapytał Hornblower.

— Zła wiadomość dla pana, sir — powiedział sekretarz.

— Jaka?

Hornblower przeraził się. Może Gambier zmienił zamiary. Może mają go zamknąć do ścisłego aresztu, postawić przed sąd, skazać i rozstrzelać. Może...

— Przypomniałem sobie, że widziałem tę wzmiankę w „Morning Chronicle” trzy miesiące temu, sir — mówił sekretarz — powiedziałem więc o tym jego lordowskiej wysokości i kapitanowi Calendarowi. Uznali, że należy ją panu natychmiast pokazać. Jego lordowska wysokość mówi...

— Co to za wzmianka? — pytał Hornblower wyciągając rękę po gazetę.

— To zła wiadomość, sir — powtórzył sekretarz z wahaniem.

— Proszę mi to dać, u diabła.

Sekretarz podał mu gazetę, wskazując palcem właściwe miejsce.

— Bóg dał, Bóg wziął — rzekł. — Niech będzie błogosławione imię Jego.

Wzmianka była krótka.

Zawiadamy z żalem, że dnia siódmego bieżącego miesiąca zmarła w połogu pani Maria Hornblower, wdowa po nieżyjącym kapitanie Horacym Hornblowerze, męczeńsko zamordowanym przez Bonapartego. Tragiczny ten zgon nastąpił w mieszkaniu pani Hornblower, w Southsea, i jak się dowiadujemy, jej syn, dorodny chłopiec, jest w dobrym zdrowiu.

Hornblower przeczytał tekst dwukrotnie i zaczął czytać po raz trzeci. Maria nie żyje, Maria, czuła, kochająca.

— Znajdzie pan pociechę w modlitwie, sir... — odezwał się sekretarz, ale Hornblower nie zwracał uwagi na jego słowa.

Stracił Marię. Zmarła w połogu i biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich dziecko zostało poczęte, można by powiedzieć, że to on sam ją zabił. Maria nie żyje. Nie będzie nikogo, absolutnie nikogo, kto by go witał powracającego do Anglii. Maria czekałaby na wynik sądu wojennego i jakkolwiek zapadłby wyrok, nigdy nie uwierzyłaby w jego winę. Pamiętała łzy zwilżające jej chropawe zaczerwienione policzki, gdy żegnając go ostatni raz zarzuciła mu ręce na szyję. Był wtedy nieco skrepowany tym ostentacyjnym pożegnaniem. A teraz jest wolny — na myśl o tym skurczył się jak pod strumieniem zimnej wody w ciepłej kąpieli. Ale to nie było sprawiedliwe wobec Marii. Nie chciał wolności za tę cenę. Swoim oddaniem zasłużyła na jego względy, na jego dobroć i dbałość i zapewniałby jej to wszystko, nie skarżąc się, do końca życia. Był zrozpaczony jej śmiercią.

— Jego lordowska wysokość polecił mi — rzekł sekretarz — przekazać panu wyrazy współczucia z powodu pańskiej bolesnej straty. Powiedział, że nie weźmie za złe, jeśli zamiast wziąć ze wszystkimi udział w obiedzie, będzie pan wolał szukać pocieszenia religijnego w samotności swojej kabiny.

— Tak — powiedział Hornblower.

— Gdybym mógł panu w czymś pomóc, sir...

— W niczym — odparł Hornblower.

Siedział dalej na krawędzi koi, ze zwieszoną głową, sekretarz więc zaszurał nogami.

— Proszę wyjść — powiedział Hornblower nie podnosząc na niego oczu.

Siedział przez jakiś czas ze zmaconymi myślami; odczuwał w głębi duszy przejmujący smutek, bolesne uczucie podobne do bólu fizycznego, lecz zmęczenie i zdenerwowanie pozbawiły go zdolności jasnego myślenia. Wreszcie zmusił się, aby się opanować. Czuł, że nie ma czym oddychać w dusznej kabynie; szczeciniasta broda i pot zaschły na czole napełniały go obrzydzeniem.

— Zawołajcie mojego sługę — rozkazał wartownikowi przy drzwiach kabiny.

Dobrze mu zrobiło zgolenie brody, obmycie się zimną wodą i przyobleczenie czystej bielizny. Wyszedł na pokład i wciągnął w płuca świeże powietrze morskie. Dobrze było mieć znowu pokład pod stopami, i spacerować po nim, tam i z powrotem, tam i z powrotem, między prowadnicami karonad rufowych, a rzędem zamocowanych w pokładzie pierścieni, gdy wszystkie znajome odgłosy życia okrętowego brzmiały jak kołysanka dla znużonego mózgu. Chodził tam i z powrotem, tam i z powrotem, jak zwykł był chodzić kiedyś godzinami na „Indefatigable”, „Lydii” i „Sutherlandzie”. Zostawili go w spokoju; oficerowie wachtowi zgromadzeni przy przeciwległej burcie przyglądali mu się dyskretnie, grzecznie maskując swoje zaciekawienie nim, człowiekiem, który przed chwilą dowiedział się o śmierci żony, który uciekł z niewoli francuskiej i który oczekiwał na sąd za poddanie swego okrętu — pierwszym kapitanem, który opuścił banderę na okręcie brytyjskim od czasu Ferrisa na „Hańnibal” pod Algeciras. Chodził tam i z powrotem, a błogosławione zmęczenie ogarnęło go znowu i otumaniło mózg. Poczł, że już ledwie powłóczy nogami. Wtedy zszedł na dół, w objęcia snu i zapomnienia. Nękały go jednak burzliwe sny — sny o Marii, przeciw którym bronił się cały spocony, wiedząc, że jej ciało już się do tej pory obróciło w proch; majaczenia o uwięzieniu i śmierci i powtarzający się na tle osaczających go koszmarów widok uśmiechającej się Barbary.

Jedną tylko korzyść przyniosła Hornblowerowi śmierć żony podczas tych dni oczekiwania. Pozwalała mu milczeć i unikać towarzystwa. Nie narażając się na zarzut niegrzeczności mógł szukać odosobnienia na pokładzie i chodzić po nim bez przeszkód w blasku słońca. Czy przechodził w pobliżu Gambier z kapitanem floty albo z kapitanem flagowym, czy spacerowali, pogrążeni w lekkiej rozmowie, porucznicy i młodszy oficerowie, wszyscy schodzili mu z drogi; nie brano mu za złe, że podczas obiadu siadywał milcząco przy admirałskim stole i że trzymał się na uboczu w czasie spotkań u admirała na modlitwie.

Gdyby nie to, byłby zmuszony włączyć się w ożywione życie towarzyskie okrętu flagowego, gawędzić z oficerami, którzy unikaliby starannie wszelkiej wzmianki o swym udziale w charakterze sędziów w zbliżającym się sądzie wojennym. Nie musiał uczestniczyć w nie kończących się dyskusjach natury technicznej, udając ze stoicyzmem, że nie męczy go zbyt odpowiedzialność za

poddanie liniowca brytyjskiego. Mimo całej uprzejmości, z jaką go traktowano, czuł się jak parias. Calendar mógł podziwiać go otwarcie, Gambier wyróżniać, młodzi porucznicy patrzeć na niego z uwielbieniem jak na bohatera, lecz oni nigdy nie opuścili swojej bandery. Podczas długiego oczekiwania Hornblower niejednokrotnie chwycił się na tym, iż żałuje, że kula armatnia nie zmiotła go z pokładu rufowego „Sutherlanda”. Nie miał teraz nikogo na świecie, kto dbałby o niego — maleńki synek w Anglii mógł w ramionach nieznanej opiekunki nauczyć się wstydić noszonego przez siebie nazwiska.

Sądząc w swej chorobliwej podejrzliwości, że inni, gdyby mogli, traktowaliby go jak wyrzutka społeczeństwa, z gorzką dumą sam się od ludzi izolował. Przeżywał w odosobnieniu cały ten okres czarnej melancholii, ostatnie dni dowództwa Gambiera, aż przybył Hood na „Britannii”, by przejąć dowództwo, i wśród huku salutów „Victory” odpłynęła do Portsmouth. Przeciwnie wiatry przedłużały powrót; podróż przez kanał trwała siedem dni, aż wpłynęli do Spithead i lina kotwiczna z piskiem wysunęła się przez kluzę.

Hornblower siedział w swojej kabinie — nie interesowały go ani zielone wzgórza wyspy Wight, ani ożywiony krajobraz Portsmouth. Pukanie do drzwi zwiastowało, jak sądził, nadejście rozkazów co do sądu wojennego.

— Wejść! — powiedział, ale wchodzącym okazał się Bush, cały w uśmiechach. Postukując drewnianą nogą niósł naręczę paczek i paczuszek.

Na widok znajomej twarzy przygnębienie Hornblowera rozwiało się jak mgła. Uśmiechnął się także, kilka razy potrząsnął dłonią Busha, usadowił go na jedynym krześle i zaproponował, że pośle po coś do picia, a wszelki ślad skrępowania i rezerwy zniknął pod napływem gwałtownej radości.

— Och, czuję się zupełnie dobrze, sir, dziękuję — odpowiedział Bush na pytanie Hornblowera. — Po raz pierwszy mam okazję podziękować panu za mój awans.

— Proszę dziękować nie mnie — rzekł Hornblower, a głos jego miał gorzki odcień — lecz jego lordowskiej wysokości.

— Niemniej wiem doskonale, komu to zawdzięczam — odparł stanowczo Bush. — W tym tygodniu mają mi dać nominację na kapitana. Z tą nogą nie dadzą mi okrętu — ale czeka na mnie posada w stoczni Sheerness. Gdyby nie pan, nigdy nie zostałbym kapitanem, sir.

— Brednie — odparł Hornblower. Patetyczna wdzięczność w głosie Busha i wyraz jego twarzy wprawiły go w zakłopotanie.

— A jak z panem, sir? — spytał Bush spoglądając z niepokojem w swoich niebieskich oczach.

Hornblower wzruszył ramionami.

— W porządku — powiedział.

— Zmartwiłem się wiadomością o pani Hornblower, sir — powiedział Bush.

Nic więcej nie potrzebował mówić na ten temat. Znali się zbyt dobrze, by trzeba było więcej słów.

— Pozwoliłem sobie, sir — ciągnął Bush spiesznie — przynieść tu listy do pana — tyle ich czekało.

— Tak? — zdziwił się Hornblower.

— Ta duża paczka to na pewno spada, sir — ciągnął Bush. Był dostatecznie sprytny, by znaleźć sposób na zainteresowanie go.

— No to ją rozpakujmy — powiedział zgodnie Hornblower.

Istotnie w paczce znalazł szpadę ze złotą rękojeścią, a po wyjęciu jej z oprawnej w złoto pochwy na błękitnej klindze stalowej ujrzał napis wyryty złotymi literami. Była to szpada „wartości stu gwinei”, ofiarowana mu przez Fundusz Patriotyczny za zwycięstwo odniesione nad „Natividad” w czasie, gdy dowodził „Lydia”, a zastawiona w Plymouth u dostawcy okrętowego, Duddingstone'a, tytułem gwarancji za dostarczone na „Sutherlanda” zapasy kapitańskie w czasie przygotowywania tego okrętu do wyprawy. „Jak dla mnie, za dużo tu tej pisaniny” — narzekał wtedy Duddingstone.

— Zobaczmy, co Duddingstone ma do powiedzenia — rzekł Hornblower rozdzierając dołączoną do przesyłki kopertę.

Sir,

Z głębokim wzruszeniem przeczytałem dziś o Pańskim wyrwaniu się ze szponów Korsykanina i nie umiem znaleźć słów na wyrażenie ulgi na wiadomość, że doniesienia o Pańskiej przedwczesnej śmierci były bezpodstawne, oraz podziwu dla Pańskich bohaterskich czynów dokonanych podczas ostatniej wyprawy. Sumienie nie pozwala mi zatrzymywać szpady tak znakomitego oficera, toteż pozwalam sobie przesłać ją Panu przy niniejszym z nadzieją, że będzie ją Pan miał u boku umacniając i w przyszłości panowanie Brytanii na morzach.

Pański oddany i uniżony sługa, zawsze do usług.

J. Duddingstone

— A niechże go! — zawołał Hornblower.

Dał Bushowi list do przeczytania; Bush był teraz równym mu rangą kapitanem i przyjacielem, toteż względy służbowe nie stały na przeszkodzie, by mógł się dowiedzieć, jakich wybiegów był zmuszony używać przygotowując „Sutherlanda” do wyjścia w morze. Hornblower zaśmiał się z zakłopotaniem, gdy przeczytawszy Bush podniósł na niego oczy.

— Nasz przyjaciel Duddingstone — rzekł Hornblower — musiał być bardzo poruszony, jeśli pozwolił, aby zastaw wartości czterdziestu gwinei wymknął mu się z rąk. — Tą żartobliwą uwagą

chciał zamaskować ogarniającą go dumę, lecz trudno było opanować wzruszenie i musiał walczyć ze łzami cisnącymi mu się do oczu.

— Mnie to wcale nie dziwi, sir — odrzekł Bush, grzebiąc w stosie przyniesionych przez siebie gazet. — Niech pan spojrzysz tu, sir, i tu. To „Morning Chronicle” i „Times”. Schowałem je dla pana, bo pomyślałem, że to pana zaciekawi.

Hornblower rzucił okiem na wskazane szpalty; nie musiał czytać, domyślił się, co mogą tam pisać. Prasa brytyjska rozwodziła się szeroko na jego temat. Jak przewidział Bush, społeczeństwo brytyjskie zostało głęboko poruszone wiadomością, że kapitan, którego uważano za zgładzonego podle przez korsykańskiego tyrana, zdołał uciec, i nie tylko uciec, lecz uprowadzić brytyjski okręt wojenny, od miesięcy pozostający jako przyz w rękach Korsykanina. Poświęcono całe szpalty na wychwalanie odwagi i umiejętności Hornblowera. Jeden ustęp w „Timesie” zwrócił jego uwagę, przeczytał go więc dokładniej; „Kapitan Hornblower ma stanąć wprawdzie przed sądem wojennym za utratę „Sutherlanda”, lecz jak to wykazaliśmy, analizując doniesienia o bitwie w zatoce Rosas, poczynania jego w tym wypadku były tak roztropne, a zachowanie tak przykładne, niezależnie od tego czy działał wypełniając rozkazy zmarłego admirała Leightona, czy nie, że chociaż sprawa jest wciąż sub judice, nie wahamy się przepowiadać jego rychłego powrotu do służby”.

— A tu jest „Anti-Gallican”, sir — pokazywał dalej Bush.

„Anti-Gallican” pisał mniej więcej to samo co inne gazety; Hornblowerowi zaczynało świtać w głowie, że stał się sławny. Roześmiał się z przymusem. Wszystko to razem było bardzo dziwne i wcale nie był pewien, czy go cieszy. Zastanawiając się nad tym na zimno, znalazł powód takiej kampanii prasowej. Potrzebny był oficer marynarki wojennej, którego naród darzyłby sympatią — Cochrane sam zaprzepścił swoje szansę po tym, co się wydarzyło na redzie baskijskiej, a od chwili, gdy Hardy ucałował umierającego Nelsona, upłynęło sześć lat; nie żył Collingwood, zginął Leighton — a społeczeństwo zawsze chciało mieć swoje bożyszcze. Niczym Izraelitom na pustyni nie wystarczał im niewidzialny przedmiot adoracji. Okoliczności uczyniły z niego takie bożyszcze, a władze przypuszczalnie nie miały nic przeciwko temu, rozumiejąc, że popularność człowieka w służbie rządowej poważnie wzmocni pozycję rządu. Ale jakoś nie cieszyło go to; nie przywykł do sławy i nie ufał jej, a wrodzona mu skromność sprawiała, że czuł się tym wszystkim zażenowany.

— Mam nadzieję, sir, że jest pan zadowolony — powiedział Bush patrząc ze zdumieniem na oznaki walki wewnętrznej na twarzy Hornblowera.

— Tak, raczej tak — odrzekł Hornblower.

— Wczoraj w sądzie przyzowym marynarka wojenna zakupiła „Witch of Endor” — ciągnął Bush, szukając gorączkowo wiadomości, która uradowałaby jego dziwnego kapitana. — Zapłacili cztery tysiące funtów, sir. A podział przyzowego w wypadku zdobycia przyzu przez niepełną załogę odbywa się na zasadzie starego przepisu — nie wiedziałem o tym, sir, póki mi nie powiedzieli. Wydano go, gdy załoga szalupy z okrętu „Squirrel” po jego zatonięciu zdobyła w dziewięćdziesiątym siódmym statek hiszpański ze skarbami. Dwie trzecie dla pana, sir — to znaczy dwa tysiące sześćset funtów. Tysiąc dla mnie i czterysta dla Browna.

— Hmm — chrząknął Hornblower.

Dwa tysiące sześćset funtów to ładna sumka — nagroda dużo bardziej konkretna niż poklask kapryśnej opinii publicznej.

— A tu są listy i przesyłki, sir — dodał Bush, pragnąc wyzyskać sprzyjający moment.

Pierwszy tuzin listów pochodził od nie znanych mu ludzi gratulujących powodzenia i ucieczki. Dwa z nich na pewno pisali jacyś pomyłeńcy, ale za to dwa inne były od parów; ich podpisy i ozdobiony koronami papier listowy zrobiły pewne wrażenie nawet na Hornblowerze, a o wiele większe na Bushu, gdy mu je podał do przeczytania.

— Czy to nie wspaniałe, sir? — powiedział. — Mam tu jeszcze kilka.

Hornblower rozpoznawszy pismo wśród podanej mu korespondencji wyciągnął gwałtownie rękę i chwycił ten list, a potem trzymał go w dłoni przez sekundę bojąc się otworzyć. Bush z niepokojem zauważył, że wargi jego zacisnęły się i policzki przybladły; obserwował go w trakcie czytania, ale Hornblower już zapanował nad wyrazem swojej twarzy.

Londyn

129 Bond Street

3 czerwca 1811

Drogi kapitanie.

Jestem tak bardzo zaskoczona i uradowana otrzymaną w tej chwili wiadomością z Admiralicji, że jest Pan wolny i zdrowy, że aż trudno mi pisać. Spieszę donieść, że mam pod opieką Pańskiego syna. Gdy został sierotą po nieodżałowanej śmierci Pana małżonki, ośmieliłam się zaopiekować nim i wziąć na siebie odpowiedzialność za jego wychowanie, moi zaś bracia, lordowie Wellesley i Wellington, zgodzili się być chrzestnymi ojcami dziecka, które przy chrzcie otrzymało imiona Richard Artur Horatio. Richard to dorodny, zdrowy chłopiec, niezwykle podobny do swego Ojca. Pokochałam go tak bardzo, że gdy przyjdzie czas na zabranie go przez Pana, odczuję to jako głęboką stratę. Proszę mi wierzyć, że z radością będę się zajmować Richardem do tego czasu, gdyż wyobrażam sobie jak bardzo będzie Pan zajęty swoimi sprawami po przybyciu do Anglii. Będzie mi bardzo miło, jeśli zechce Pan wpaść do mnie, by zobaczyć syna, który rozwija się z każdym dniem. Sprawi Pan radość nie tylko jemu, ale również

Pańskiej oddanej przyjaciółce,

Barbarze Leighton

Hornblower odchrząknął nerwowo i raz jeszcze przeczytał list. Zawarte w nim nowiny poruszyły go do głębi. Richard Arthur Horatio Hornblower, chrześniak dwóch Wellesleyów, rozwijający się z każdym dniem. Może czeka go wielka przyszłość. Do tej chwili Hornblower prawie nie myślał o dziecku — nie budziło w nim uczuć ojcowskich niemowlę, którego nie widział

na oczy, tym bardziej za mąciły je wspomnienia malutkiego Horatia zmarłego w jego ramionach na ospę przed wielu laty. Lecz teraz opanowała go fala czułości dla nie znanego malca w Londynie, który potrafił podbić serce Barbary.

A Barbara wzięła go pod opiekę; może dlatego, że owdowiawszy bezdzietnie szukała jakiejś sierotki do zaadoptowania — ale mogło to być również przez pamięć na kapitana Hornblowera, którego w owym czasie uważała za zgładzonego rękoma Bonapartego.

Nie był w stanie dłużej myśleć o tym. Wsunął list do kieszeni — wszystkie inne zostawił na biurku — i napotkał wzrok Busha z niewzruszonym wyrazem twarzy.

— Są jeszcze inne listy — powiedział Bush taktownie.

Były to pisma od ludzi wybitnych i wariatów — któryś zawierał uncję tabaki jako dowód uznania i szacunku ze strony jakiegoś ekscentrycznego ziemianina — ale tylko jeden zwrócił uwagę Hornblowera. Napisał go prawnik z Chancery Lane o nie znanym mu nazwisku — dowiedziawszy się od Lady Barbary Leighton, że wiadomość o śmierci kapitana Hornblowera była bezpodstawna. Poprzednio na zlecenie lordów komisarzy z Admiralicji, zajął się spadkiem po kapitanie Hornblowerze w porozumieniu z agentem przyzowym w Mahoń. Za zgodą Lorda Kanclerza po śmierci pani Marii Hornblower, która nie pozostawiła testamentu, działał jako powiernik spadkobiercy, Richarda Arthura Horatia Hornblowera, i zainwestował w jego imieniu w państwowych papierach wartościowych sumy uzyskane ze sprzedaży przyzów kapitana Hornblowera, po potrąceniu kosztów. Jak kapitan Hornblower zorientuje się z załączonego rozliczenia, w papierach tych zainwestowana jest suma trzech tysięcy dwustu dziewięćdziesięciu jeden funtów, sześciu szylingów i czterech pensów, która oczywiście przechodzi na niego. Adwokat oczekiwał na jego łaskawe instrukcje.

Wśród załączonych rachunków, które Hornblower chciał już odłożyć na bok, pośród niezliczonych pozycji w szylingach i pensach jedna przyciągnęła jego oko — były to wydatki na pogrzeb zmarłej Marii Hornblower, grób na cmentarzu kościoła Św. Tomasza a Beckett, nagrobek, pieniądze dla ludzi utrzymujących mogiłę w porządku; widok tej ponurej listy wstrząsnął Hornblowerem. Bardziej niż cokolwiek innego uzmysłowił mu stratę Marii — wystarczyło wyjść na pokład, by zobaczyć wieżę kościoła przy którym była pochowana.

Zwalczył ogarniające go znowu przygnębienie. Mógł przynajmniej dla odmiany myśleć o wiadomościach zawartych w liście adwokata, napawać się tym, że jest posiadaczem przeszło trzech tysięcy funtów w papierach wartościowych. Zapomniał zupełnie o przyzach zdobytych na Morzu Śródziemnym, zanim przeszedł pod komendę Leightona. W sumie jego majątek wynosił blisko sześć tysięcy funtów — znacznie mniej, niż udało się osiągnąć niektórym kapitanom, ale i tak sporo. Teraz będzie mógł żyć dostatnio nawet na połowie pensji, zapewnić odpowiednie wychowanie Richardowi Arthurowi Horatiowi i mieć swoje skromne miejsce w społeczeństwie.

— Lista kapitańska zmieniła się bardzo od czasu, kiedy oglądaliśmy ją ostatnio, sir — rzekł Bush, a jego słowa były jak gdyby echem toku myśli Hornblowera.

— Przeglądał ją pan? — wyszczerzył zęby Hornblower.

— Oczywiście, sir.

Od miejsca ich nazwisk na tej liście zależał awans na stanowiska flagowe — rok za rokiem będą się wspinać po niej w miarę eliminowania przez śmierć lub awans tych, co stoją wyżej od nich, aż któregoś dnia, jeśli będą żyć dostatecznie długo, zostaną admirałami, z pensją i przywilejami przywiązanymi do tej rangi.

— Największe zmiany zaszły w górnej połowie listy, sir — ciągnął Bush. — Nie żyje Leighton, Bali zmarł na Malcie, a Troubridge zaginął na morzu — na wodach indyjskich, sir — odeszło jeszcze siedmiu czy ośmiu innych. Jest pan już wyżej niż w połowie listy.

Swoją obecną szarżę otrzymał Hornblower jedenaście lat temu, lecz z każdym następnym rokiem będzie posuwał się w górę wolniej, w miarę zmniejszania się liczby starszych rangą od niego, i flagę admirałską mógłby podnieść dopiero gdzieś około roku 1825. Wspomniał przepowiednię hrabiego de Gracay, że wojna skończy się w roku 1814 — a w czasie pokoju trudniej o awans. Bush zaś, starszy od niego o dziesięć lat, dopiero zaczynał się wspinać po szczeblach hierarchii. Prawdopodobnie nie dożyje czasu, kiedy mógłby zostać admirałem, ale Bush był zupełnie zadowolony ze swego stopnia kapitana. Szczęśliwy człowiek. Jego ambicje nigdy wyżej nie sięgały.

— Obaj mieliśmy szczęście, Bush — powiedział Hornblower.

— Tak, sir — zgodził się Bush i dodał po chwili wahania; — Mam zeznawać przed sądem wojennym, ale pan wie, naturalnie, sir, jakie będą moje zeznania. Wypytywali mnie już w Whitehall i powiedzieli, że to, co mam zamiar oświadczyć, zgadza się całkowicie z tym, co im wiadomo w tej sprawie. Może się pan wcale nie obawiać sądu wojennego, sir.

Rozdział XVIII

W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin Hornblower często sobie powtarzał, że nie musi się bać sądu wojennego, a jednak oczekiwanie było bardzo denerwujące — wysłuchiwanie świergotu gwizdków i stapań żołnierzy piechoty morskiej nad głową przy witaniu kapitanów i admirałów przybywających, żeby go sądzić, cisza, jaka ogarnęła okręt, gdy sąd się zebrał, i grzmot działa oznajmiający otwarcie rozprawy, szcęk zamka kabiny, gdy przybył Calendar, by go doprowadzić przed oblicze sędziów.

Później Hornblower słabo przypominał sobie szczegóły rozprawy — w pamięci utkwіło mu tylko parę wrażeń; blask i migotanie złotych galonów na mundurach oficerów siedzących półkolem za stołem w wielkiej kabinie „Victory” i niepokój na pocziwym obliczu Busha, gdy zeznawał, że żaden dowódca nie mógł lepiej i z większym zdeterminowaniem kierować okrętem niż Hornblower „Sutherlandem” w zatoce Rosas. Bardzo zręczne było posunięcie „obrońcy” Hornblowera — oficera wydelegowanego do tej funkcji przez Admiralicję, który tak sformułował pytania, aby ujawnić fakt, że straciwszy stopę przed poddaniem okrętu Bush stał się absolutnie niezdolny do działania, tak że nie mógł ponosić żadnej odpowiedzialności za poddanie, a zatem nie jest zainteresowany w przedstawieniu sprawy w możliwie najlepszym świetle. Jakiś oficer bezbarwnym tonem czytał i czytał bez końca długie wyjątki z zeznań i oficjalnych raportów. Zdenerwowanie związane z

powagą sytuacji sprawiało, że mamrotał niewyraźnie ku wielkiemu niezadowoleniu przewodniczącego sądu, który w pewnym momencie odebrał mu kartkę i sam głosem o nosowym brzmieniu przeczytał oświadczenie admirała Martina, że właśnie rzucenie „Sutherlanda” w bój przeciwko przeważającej sile wroga umożliwiło późniejsze zniszczenie eskadry francuskiej. Zdarzył się nieprzyjemny moment, kiedy odkryto rozbieżność między zapisami w dziennikach sygnałowych „Plutona” i „Caliguli”, lecz skwitowano ją uśmiechami, gdy ktoś przypomniał sądowi, że kadeci sygnałowi popełniają niekiedy omyłki.

W czasie przerwy w posiedzeniu podszedł do Hornblowera elegancki cywil w żółtawoniebieskim ubraniu i w gustownym jedwabnym krawacie i zasypał go pytaniami. Nazwisko jego brzmiało Frere, Hookham Frere — Hornblower przypomniał sobie niejasno, że gdzieś zetknął się z tym nazwiskiem. Był to jeden z tych spryciarzy pisujących do „Anti-Galican”, przyjaciel Canninga, który przez pewien czas występował jako ambasador przy patriotycznym rządzie hiszpańskim. Hornblower był nieco zaintrygowany obecnością kogoś wtajemniczonego w sekrety rządu, lecz zbyt zaabsorbowany czekaniem na wznowienie posiedzenia, by poświęcić mu więcej uwagi lub odpowiadać wyczerpująco na jego pytania.

Jeszcze gorzej było, gdy przewod sądowy został zamknięty i Hornblower w towarzystwie Calendarą oczekiwał na werdykt. Poznał wówczas co to prawdziwy strach. Trudno było siedzieć w pozornym spokoju, gdy minuty wlokły się w nieskończoność, aż wezwą go do dużej kabiny, gdzie usłyszy, jaki zgotowano mu los. Gdy wchodził, z sercem walącym, czuł, że jest blady. Wyprostował głowę, by patrzeć sędziom w oczy, lecz sędziów w ich niebiesko-złoty uniformach przesłaniała mgiełka zaciemniająca całą kabinę, tak że Hornblower nie widział nic poza miejscem na stole, przed przewodniczącym gdzie leżała jego szpada wartości stu gwinei, ofiarowana mu przez Fundusz Patriotyczny. Tylko ją widział — jakby była zawieszona w pustej przestrzeni. Rękojeścią zwrócona była do niego, został uniewinniony.

— Kapitanie Hornblower — przemówił przewodniczący sądu — jego nosowy głos miał przyjemne brzmienie — sąd uznał jednomyślnie, że pańska waleczna, bezprecedensowa walka na „Sutherlandzie”, okęcie jego królewskiej mości, przeciwko tak przeważającej sile zasługuje na najwyższą pochwałę naszego narodu i zgromadzonego tu trybunału. Postępowanie pańskie i pana oficerów i podkomendnych przynosi zaszczyt nie tylko panu, ale i całemu krajowi. Zostaje pan uniewinniony ze wszystkimi honorami.

Pozostali członkowie sądu wydali szmer aprobaty i w kabinie nastąpiło ogólne poruszenie. Ktoś przypinał mu do boku szpadę, ową szpadę wartości stu gwinei, ktoś inny poklepywał go po ramieniu. Hookham Frere mówił natarczywym głosem;

— Gratulacje, sir. A teraz, czy jest pan gotów towarzyszyć mi do Londynu? Od sześciu godzin trzymam zaprzężoną bryczkę pocztową.

Powoli ustępowało zamroczenie, choć wszystko wokół wciąż wydawało mu się zamglone; pozwolił wywieść się na pokład i sprowadzić do barkasu czekającego przy burcie okrętu. Ktoś wznosił okrzyk. Podjęły go setki głosów. Załoga „Victory” weszła na reje i darła się do zachrypnięcia, a za nią marynarze na wszystkich innych okrętach stojących tu na kotwicach. To była sława. To był sukces. Kilku zaledwie dowódców dane było słyszeć takie wiwaty całej floty.

— Proponuję, żeby pan zdjął kapelusz, sir — usłyszał głos Frere'a tuż nad uchem — i okazał, jak bardzo ceni sobie to uznanie.

Zdjął więc kapelusz i siedział zażenowany w popołudniowym słońcu na rufowej ławce barkasa. Próbował się uśmiechać, ale wiedział, że czyni to sztucznie — bliżej mu było płaczu niż śmiechu. Znowu spowił go tuman zamroczenia, a potężny ryk marynarzy brzmiał mu w uszach jak drwiące gwizdy dzieci.

Łódź otarła się o nabrzeże. Podawano go sobie z rąk do rąk, wszyscy wznosili radosne okrzyki. Ludzie grzmocili go po plecach, rozgniatali dłoń w uścisku, a oddział piechoty morskiej pomagając sobie przekleństwami, torował mu przejście do bryczki pocztowej zaprzęzonej w konie niespokojne wśród zgiełku. Rozległ się stukot podków, koła zazgrzytały, pocztylion strzelił z bata i wyjechał pędem z podwórza.

— Wysoce zadowolająca demonstracja uczuć zarówno ze strony społeczeństwa, jak i sił zbrojnych Korony — orzekł Frere, wycierając twarz z potu.

Nagle Hornblower przypomniał sobie o czymś, co sprawiło, że wyprostował się na siedzeniu.

— Stanać przy kościele! — krzyknął na pocztyliona.

— Mogę zapytać, sir czemu wydał pan ten rozkaz? Mam wyraźne polecenie jego księżęcej wysokości dostawić pana bezwłocznie do Londynu.

— Tu pochowano moją żonę — odpowiedział szorstko Hornblower.

Odwiedziny grobu nie przyniosły mu ulgi — cały czas był przy nim Frere, zirytowany i podekscytowany, spoglądający bez przerwy na zegarek.

Hornblower zdjął kapelusz i skłonił głowę nad mogiłą przykrytą rzeźbioną płytą kamienną, lecz był zbyt roztrzęsiony, by myśleć. Próbował mrużyć pod nosem modlitwę — Marii by się to nie podobało, zawsze bolała nad tym, że nie jest religijny. Frere kręcił się niecierpliwie.

— Idziemy — powiedział Hornblower obróciwszy się na pięcie i ruszył przodem z powrotem do bryczki.

Gdy wyjeżdżali z miasta, słońce świeciło wspaniale oświetlając prześliczną zieleń drzew i majestat pofalowanego pasma Downs. Hornblower patrzył ze ściśniętym gardłem. To była Anglia, za którą bił się przez osiemnaście długich lat, i gdy rozglądając się dokoła wdychał jej powietrze, czuł, że była tego warta.

— Prawdziwa gratka dla rządu — gadał Frere — ta pańska ucieczka. Właśnie czegoś takiego było potrzeba. Chociaż Wellington zajął właśnie Almeidę, motłoch zaczynał już szumieć. Kiedyś mieliśmy ministerstwo złożoną z mądrych głów — teraz rządzą nami półgłówki. Nie mogę pojąć, czemu Castlereagh i Canning stoczyli ten pojedynek. To nas niemal zgubiło. To samo można powiedzieć o wyczynie Gambiera na redzie baskijskiej. Od tego czasu Cochrane gorzej nudzi w Izbie niż kiedykolwiek. Czy przyszło panu do głowy, że mógłby pan wejść do parlamentu? Ale będzie

jeszcze dosyć czasu, aby o tym pomówić po pańskiej wizycie na Downing Street. Na razie wystarczy, że dał pan motłochowi okazję do wiwatowania.

Pan Frere uważał wiele rzeczy za oczywiste — na przykład to, że Hornblower był całym sercem po stronie rządu, że walczył w zatoce Rosas i uciekł z Francji jedynie po to, by utrzymać przy władzy tuzin polityków. To przygasiło nastrój Hornblowera. Siedział milcząco wsłuchany w turkot kół.

— Z księcia jegomości niewiele jest pożytku — ciągnął Frere. — Nie usunął nas wprawdzie stawszy się regentem, ale nas nie kocha — nie podoba mu się projekt ustawy regencyjnej. Proszę o tym pamiętać podczas jutrzejszego spotkania z nim. Lubi też pochlebstwo. Jeśli zdoła go pan przekonać, że swój sukces zawdzięcza pan inspirującym przykładom zarówno jego książęcej wysokości, jak i pana Spencera Percevala, będzie pan na właściwej drodze. Co to za miejscowość? Horndean?

Pocztylion zatrzymał konie przy gospodzie, a stajenni nadbiegali już ze świeżą parą.

— Sześćdziesiąt mil do Londynu — zauważył Frere. — Będziemy akurat na czas.

Zaciekawiona służba z zajazdu zasypała pytaniami pocztyliona, dołączyła do nich grupka robotników rolnych w zasmolonych ubraniach roboczych i wędrowny druciarz i wszyscy wytrzeszczonymi oczyma gapili się na odzianego w błękit i złoto Hornblowera. Ktoś jeszcze biegł spiesznie z gospody; ogorzała twarz, jedwabny krawat i skórzane sztylpy wskazywały, że to miejscowy dziedzic.

— Uniewinniony, sir? — zapytał.

— Naturalnie, sir — pospieszył z odpowiedzią Frere. — Uniewinniony z wszystkimi honorami.

— Hurra dla Hornblowera! — zawył druciarz wyrzucając kapelusz w górę. Szlachcic machał rękami i tupał z radości, a parobcy podchwycili okrzyk.

— Precz z Boniem! — rzucił Frere. — Ruszamy.

— Rzecz zdumiewająca, ile zainteresowania wzbudziła pańska sprawa — odezwał się Frere po chwili. — Chociaż można się było spodziewać, że największe będzie właśnie tu, na drodze do Portsmouth.

— Tak — mruknął Hornblower.

— Przypominam sobie — ciągnął Frere — jak tłum rycząc domagał się, aby Wellingtona powieszono, włączono koźmi i poćwiartowano — to było zanim nadeszły wiadomości spod Cintry[13]. Myślałem wtedy, będziemy musieli odejść. Uratowało nas śledztwo w jego sprawie, tak jak pańskie teraz. Pamięta pan Cintrę?

— Dowodziłem wówczas fregatą na Pacyfiku — odparł sucho Hornblower.

Był trochę zirytowany — sam się dziwił odkryciem, że nie cieszą go ani wiwaty druciarzy na jego cześć, ani pochlebstwa polityków.

— Niemniej jednak — dodał Frere — dobrze się stało, że Leighton został trafiony pod Rosas. Nie dlatego, abym mu źle życzył, ale to osłabiło ich klikę. Myślę, że w przeciwnym razie musieliby zostać albo oni, albo my. Jego poplecznicy rozporządzali dwudziestoma głosami w parlamencie. Słyszałem, że zna pan wdowę po nim?

— Mam ten honor — odparł Hornblower.

— Czarująca kobieta dla wielbicieli tego typu urody. I bardzo wpływowa, stanowi ogniwo łączące między stronnictwem Wellesleyów, a zwolennikami jej zmarłego męża.

— Tak — mruknął Hornblower. Uleciała gdzieś cała radość z sukcesu. Promienne popołudniowe słońce zdawało się tracić swój blask.

— Za tym wzgórzem jest Petersfield — powiedział Frere. — Myślę, że tam będzie spory tłumek.

Frere miał rację. Pod „Czerwonym Lwem” czekało dwadzieścia albo i trzydzieści osób, a zbiegało się coraz więcej; wszyscy żądni usłyszeć, jaki był werdykt sądu wojennego. Gdy się dowiedzieli, zaczęli entuzjastycznie wiwatować, a pan Frere skorzystał z okazji, by przemówić parę słów za rządem.

— To wina prasy — utyskiwał Frere, gdy odjechali zmieniawszy konie. — Chciałbym, żebyśmy mogli brać przykład z Bonia i pozwalać im drukować tylko to, o czym naszym zdaniem powinni wiedzieć. Emancypacja — reforma — polityka morska... pospółstwo chce dziś wsadzać swój nos do wszystkiego.

Nawet bajeczny urok mijanego Devil's Punch Bowl był dla Hornblowera stracony. Rozwiął się gdzieś cały smak życia. Zapragnął być, jak dawniej, nieznanym kapitanem marynarki wojennej, stawiającym czoło atlantyckim sztormom. Każdy obrót kół bryczki zbliżał go do Barbary, a przecież odczuwał boleśnie podświadome pragnienie, żeby być z Marią, nudną, nieatrakcyjną, nie absorbującą. Tłum witający go okrzykami w Guildford — właśnie skończył się jarmark — cuchnął potem i piwem. Był rad, gdy pod wieczór Frere przestał gadać, pozostawiając go własnym, chociaż niewesołym myślom.

Ściemniało się, kiedy zmieniali konie w Esher.

— Przyjemnie pomyśleć, że nie zostaniemy obrabowani przez jakiegoś włóczęgę, albo rozbójnika — zażartował Frere. — Wystarczy wspomnieć nazwisko bohatera dnia, aby wyjść bez szwanku.

Ale żaden włóczęga ani rozbójnik nie stanął na ich drodze. Nie napastowani przez nikogo przejechali rzekę w Putney i posuwali się ciemnymi ulicami wśród coraz gęstszych zabudowań.

— Hej, woźnico, Downing Street dziesięć — zawołał Frere.

Uwaga „Wyszedł cało”, szeptem rzucona przez Frere'a Percevalowi, a pochwycona przez Hornblowera, była tym, co zapamiętał najżywiej z audiencji, która prowadzona tonem urzędowym przez jedną stronę, przy rezerwie drugiej nie trwała dłużej niż dziesięć minut. Premier nie był wyraźnie w nastroju do rozmowy. Chciał przede wszystkim obejrzeć człowieka, mogącego mu zaszkodzić w oczach księcia regenta albo społeczeństwa. Hornblower nie wyrobił sobie najlepszego zdania ani o jego zdolnościach, ani o uroku osobistym.

— Pall Mall, a potem Ministerstwo Wojny — rozkazał Frere. — O Boże, jak my musimy się męczyć.

Londyn czuć było koźmi — Hornblower przypomniał sobie, że tak się zawsze wydawało ludziom świeżo przybywającym z morza. Światła Whitehall lśniły dziwnie jasno. W Ministerstwie Wojny oczekiwał na niego młody lord, który spodobał mu się od pierwszego wejrzenia. Był to podsekretarz stanu nazwiskiem Palmerston. Zadał szereg inteligentnych pytań na temat nastrojów ludzi we Francji, stanu ostatnich zbiorów i ucieczki Hornblowera. Pokiwał głową ze zrozumieniem, gdy Hornblower wahał się podać mu nazwisko człowieka, który udzielił mu schronienia.

— Zupełnie słusznie — powiedział. — Obawia się pan, że jakiś półgłówek wypaple o tym i człowieka rozstrzelają. Nie jest wcale wykluczone, że tak by się stało. Poproszę więc pana o tę informację tylko wtedy, gdy naprawdę będzie nam bardzo potrzebna, i wówczas będzie pan mógł na nas polegać. A co się stało z tymi galernikami?

— Wcielono ich do załogi „Triumph”, milordzie.

— A więc od trzech tygodni są marynarzami na okręcie wojennym? Jeśli mam być szczery, wolałbym pozostać galernikiem.

Hornblower był tego samego zdania. Ucieszyło go, że znalazł kogoś na wysokim stanowisku, kto nie żywił złudzeń co do tej służby.

— Mógłbym kazać ich odnaleźć i sprowadzić tutaj, gdyby zdołał pan przekonać pańskich zwierzchników w Admiralicji, aby z nich zrezygnowano. Potrafię znaleźć sposób na zatrudnienie ich z większym pożytkiem. Lokaj przyniósł list, który Palmerston otworzył.

— Jego książęca wysokość nakazuje panu zjawić się u siebie — oznajmił. — Dziękuję, kapitanie. Mam nadzieję, że wkrótce znowu będę miał przyjemność spotkać pana. Nasza rozmowa była bardzo pożyteczna. Luddyści[14] na północy niszczą maszyny, a Sam Whitbread robi piekło w Izbie Gmin, toteż przybył pan bardzo w porę. Dobranoc, kapitanie.

Ostatnie słowa zepsuły całe wrażenie. Lord Palmerston planujący nową kampanię przeciwko Bonapartemu zdobył respekt Hornblowera, ale zaraz go utracił, powtarzając jak echo uwagi Frere'a na temat politycznych skutków jego ucieczki.

— Czego chce ode mnie jego książęca wysokość? spytał Frere'a, gdy schodzili razem schodami.

— To ma być dla pana niespodzianka — odrzekł Frere z tajemniczym uśmiechem. — Żeby się dowiedzieć, będzie pan być może musiał poczekać nawet do jutrzejszego porannego przyjęcia. Nieczęsto regencik bywa dosyć trzeźwy o tej porze wieczora, aby załatwiać sprawy. Przypuszczalnie już jest pod dobrą datą. Może się okazać, że w pańskiej z nim rozmowie potrzeba będzie szczególnie wiele taktu.

Przecież jeszcze dziś rano, pomyślał Hornblower z zamętem w głowie, siedziałem słuchając zeznań składanych w mojej sprawie przed sądem wojennym. A tyle się już wydarzyło tego dnia. Był przesycony nadmiarem nowych wrażeń. Czuł się słaby i przygnębiony. A Lady Barbara i jego synek byli na Bond Street, nawet nie o ćwierć mili stąd.

— Która godzina? — zapytał.

— Dziesiąta. Młody Pan wysiaduje do późna w Ministerstwie Wojny. To szatan pracy.

— Och — mruknął Hornblower.

Bóg tylko wie, o której godzinie uda mu się wyrwać z pałacu. Z wizytą na Bond Street będzie musiał chyba zaczekać do jutra. Przed drzwiami stała kareta z woźnicami i lokajami w czerwonych liberiach królewskich.

— Przysłana przez marszałka dworu — wyjaśnił Frere. — To uprzejmie z jego strony.

Przepuścił Hornblowera przed sobą i wsiadł za nim.

— Zetknął się pan kiedykolwiek z jego książęcą wysokością? — spytał.

— Nie.

— Ale był pan na dworze?

— Brałem udział w dwóch porannych przyjęciach. Zostałem przedstawiony królowi Jerzemu w dziewięćdziesiątym ósmym.

— Ach! Regencik jest zupełnie inny niż jego ojciec. Ale Clarence'a ma pan chyba?

— Tak.

Pojazd stanął przed wejściem jasno oświetlonym przez latarnie; drzwi były otwarte i grupka lokajów czekała, by pomóc im wysiąść. U wejścia, w lśniącym hallu, ktoś w mundurze z upudrowaną głową i białą laską w dłoni obrzucił Hornblowera uważnym spojrzeniem.

— Kapelusz pod pachę — szepnął. — Tędy proszę.

— Kapitan Hornblower. Pan Hookham Frere — zaanonsował czyjś głos.

Była to olbrzymia sala rozjarzona od blasku świec; w oddali na drugim końcu lśniącej

posadzki stała grupka ludzi błyszczących złotymi galonami i klejnotami. Ktoś odziany w mundur marynarki wojennej podszedł do nich — był to książę Clarence, z wyłupiastymi oczyma i spiczastą głową.

— A, Hornblower — powiedział wyciągając dłoń — witamy w kraju.

Hornblower skłonił się podając rękę.

— Chodźmy, przedstawię pana. To jest kapitan Hornblower, sir.

— Dobry wieczór, kapitanie.

Zażywny, przystojny i rozpustny, słaby, a przebiegły, tak określił księcia w myślach Hornblower zginając się w ukłonie. Przerzedzone loki były z pewnością farbowane; zamglone oczy i zarumienione obwisłe policzki wskazywały, że jego książęca wysokość jest po dobrym obiedzie, czego Hornblower nie mógł o sobie powiedzieć.

— Kapitanie, wszyscy mówią o panu, od kiedy pański kuter — no, jakże on się nazywa? — przybył do Portsmouth.

— Doprawdy, sir? — Hornblower stał sztywno na baczność.

— Taak. I, u diaska, powinni. Tak, powinni, u diaska, kapitanie. Najlepszy kawałek roboty, o jakim słyszałem — zupełnie jakbym to ja zrobił... Ty Conyngham, załatwiał te prezentacje.

Hornblower kłaniał się Lady Takiej i Lady Owakiej, lordowi Jak-go-tam i sir Johnowi Jak-mu-tam. Dumne spojrzenia i obnażone ramiona, wykwintne stroje i niebieskie wstążeczki Orderu Podwiązki — to było wszystko, co zapamiętał. Zdawał sobie sprawę, że mundur skrojony przez krawca z „Victory” leży na nim fatalnie.

— A teraz załatwimy sprawę — powiedział książę. — Zawołajcie tych panów.

Ktoś rozesał chodnik na podłodze, ktoś inny przyniósł poduszkę, na której coś lśniło i migotało. Weszło, jak w procesji, trzech mężczyzn z uroczystymi minami, odzianych w czerwone płaszcze. Ktoś przyklęknął na kolano, podając księciu miecz.

— Sir, niech pan uklęknie — powiedział Conyngham do Hornblowera.

Poczuł dotknięcie miecza i usłyszał formułę pasującą go na rycerza. Gdy nieco oszołomiony podniósł się, ceremonia trwała dalej. Przewieszono mu wstęgę przez ramię, przypięto gwiazdę do piersi, narzucono szkarłatny płaszcz na ramiona, potem nastąpiło ślubowanie i złożenie podpisów. Mianowany został kawalerem najzaszczytniejszego Orderu Łaźni, jak ktoś głośno oznajmił. Stał się Sir Horatio Hornblowerem i do końca życia miał nosić wstęgę i gwiazdę. Wreszcie zdjęto płaszcz z jego ramion i członkowie kapituły oddalili się.

— Niech mi będzie wolno pierwszemu złożyć, gratulacje, Sir Horatio — powiedział książę Clarence, występując do przodu z miłą głupkowatą twarzą całą w uśmiechach.

— Dziękuję, sir — odparł Hornblower. Wielka gwiazda obila mu się o pierś przy ukłonie.

— Moje najlepsze życzenia, pułkowniku — dołączył ksiązę regent.

Hornblower poczuł, że na te słowa wszystkie oczy zwróciły się ku niemu; zrozumiał, że ksiązę nie przejęzyczył się wymawiając jego szarżę.

— Sir? — powiedział pytająco, jak od niego oczekiwano.

— Jego ksiązęca wysokość — wyjaśnił Clarence — raczył mianować pana pułkownikiem piechoty morskiej.

Pułkownik piechoty morskiej otrzymywał gażę wynoszącą tysiąc dwieście funtów rocznie, po prostu za nic. Było to stanowisko nadawane zasłużonym kapitanom, które zachowywali aż do uzyskania szarży admirałkiej. Hornblower przypomniał sobie, że już ma sześć tysięcy funtów. Teraz dojdzie tysiąc dwieście rocznie, oprócz co najmniej połowy pensji kapitańskiej. Nareszcie jest dobrze sytuowany materialnie, po raz pierwszy w życiu. Ma tytuł, wstęgę i gwiazdę. W gruncie rzeczy posiadał wszystko, o czym śmiał marzyć kiedykolwiek.

— Biedak jest oszołomiony — zaśmiał się głośno uradowany regent.

— Jestem przytłoczony, sir — rzekł Hornblower, próbując skoncentrować się znowu na tym, co się działo.

— Wprost nie wiem, jak dziękować waszej ksiązęcej wysokości.

— Podziękuj pan siadając z nami do zabawy w kości. Pańskie przybycie przerwało nam diablo ciekawą grę. Sir Johnie, proszę zadzwonić, żeby nam dali wina. Kapitanie, niech pan siada przy Lady Jane. Naprawdę chce pan zagrać? Wiem, Hookham, o co ci chodzi. Chcesz się wymknąć i powiedzieć Johnowi Walterowi, że zrobiłem, co do mnie należało. Możesz mu szepnąć przy okazji, żeby napisał jeden z tych swoich idiotycznych wstępniaków i sprawił, aby mi podniesiono pobory — Bóg jeden wie, jak ciężko pracuję. Ale nie widzę powodu, żebyś zabierał kapitana. No trudno, do diabła z wami. Idźcie, jak tak bardzo chcecie.

— Nie przypuszczałem — powiedział Frere, gdy znów znaleźli się w bezpiecznym wnętrzu karety — żeby panu zależało na grze hazardowej. Ja nie wdawałbym się w grę z regencikiem, a w każdym razie nie wtedy, gdy idzie jego kośćmi. No i cóż, jak się pan czuje jako Sir Horatio?

— Znakomicie — odparł Hornblower.

Zastanawiał się nad aluzją regenta na temat Johna Waltera. Wiedział, że to wydawca „Timesa”. Zaczynało mu świtać w głowie, iż nowina o mianowaniu go kawalerem Orderu Łaźni i pułkownikiem piechoty morskiej była bardzo na czasie. Przypuszczalnie ogłoszenie jej będzie miało też jakieś polityczne znaczenie — to był powód pośpiechu. Przekonał to wątpiących, że oficerowie z marynarki wojennej mają wielkie osiągnięcia — uczynienie z niego szlachcica było aktem niemal tak samo politycznym jak plan Bonapartego, by go rozstrzelać za pogwałcenie praw wojennych. Ta myśl znacznie zmniejszyła jego radość.

— Pozwoliłem sobie — ciągnął Frere — zamówić dla pana pokój w „Złotym Krzyżu”. Będą tam czekali na pana; posłałem już pańskie bagaże. Czy mam się tam zatrzymać? Czy też woli pan w pierw zajrzeć do Fladonga?

— Hornblower chciał zostać sam; myśl o odwiedzeniu tego wieczora miejsca spotkań oficerów marynarki wojennej — po raz pierwszy od pięciu lat — nie pociągała go, zwłaszcza że nagle poczuł się skrępowany wstęgą i gwiazdą. Nawet w hotelu nie czuł się swobodnie, bo wszyscy, zarządzający, numerowy, pokojówka z pełnym namaszczenia szacunkiem powtarzali; „Tak, Sir Horatio”, „Nie, Sir Horatio” i szli całą procesją oświetlając mu drogę do pokoju, po którym kręcili się sprawdzając, czy ma wszystko, czego mu potrzeba, podczas gdy on pragnął tylko jednej rzeczy, żeby go zostawiono w spokoju.

Nie znalazł go jednak ł w łóżku. Wprawdzie odsunął od siebie zdecydowanie wszelkie wspomnienia burzliwych przeżyć kończącego się dnia, ale nie potrafił powstrzymać się od myślenia o tym, że jutro zobaczy swego syna i Lady Barbarę. Całą noc spędził bezsenne.

Rozdział XIX

— Sir Horatio Hornblower — zaanonsował kamerdyner otwierając przed nim szeroko drzwi.

We wnętrzu była Lady Barbara. Zaskoczyło go, że jest w czerni — wyobrażał ją sobie odzianą w błękitną suknię, którą miała na sobie, gdy ją widział ostatnim razem, o szarym odcieniu harmonizującym z jej oczyma. Nosiła teraz oczywiście żałobę, bo od śmierci Leightona nie upłynął jeszcze rok. Ale w czerni było jej do twarzy — podnosiła bladokremowy odcień jej cery. Z przelotnym bólem wspomniął Hornblower złocistą opaleniznę na jej policzkach z dawnych czasów na pokładzie „Lydii”.

— Witam pana serdecznie — powiedziała wyciągając do niego ręce. Były gładkie, chłodne i miłe w dotyku, pamiętał je z dawnych czasów. — Zaraz niania przyniesie Richarda. A tymczasem najszczęsże gratulacje z powodu pańskiego sukcesu.

— Dziękuję — odparł Hornblower. — Miałem wyjątkowo dużo szczęścia, proszę pani.

— Człowiek szczęśliwy — powiedziała Lady Barbara — to zazwyczaj ten, kto wie, jak dalece może zdać się na los.

Stał skrępowany i patrzył na nią, zastanawiając się nad znaczeniem tych słów. Zapomniał już, jak bardzo jest olimpijska, jaka pewna siebie — tą łaskawą pewnością, która wynosiła ją na nieosiągalne szczyty i sprawiała że czuł się jak nieokrzesany uczeń. Jego szlachectwo musi być śmiesznie mało znaczące w jej oczach, córki hrabiego, siostry markiza i wicehrabiego, będącego na najlepszej drodze to tytułu książęcego. Nagle poczuł, że nie wie, co robić z rękami.

Skrępowanie minęło, gdy otworzyły się drzwi i weszła niania, pełna i różowolica, w czepku z wstążkami, niosąca dziecko na ręku. Przywitała go dworskim dygiem.

— Halo synku — powiedział miękko Hornblower.

Chłopczyk miał jeszcze rzadkie włoski pod kapturkiem, ale patrzył na swego ojca dwojgiem wymownych brązowych oczu; nosek, podbródek i czoło były niewykształcone, jak u niemowlęcia, ale nie można było nie zwrócić uwagi na jego oczy.

— Halo, synku — powtórzył Hornblower łagodnym tonem.

Nie zdawał sobie sprawy z pieszczotliwego brzmienia swego głosu. Przemawiał do Ryszarda tak, jak wiele lat temu mówił do małego Horacego i malutkiej Marii. Wyciągnął ręce do dziecka.

— Chodź do ojca — powiedział.

Ryszard nie wzdragał się. Hornblower był trochę zaskoczony, poczuwszy jaki jest drobniutki i lekki — przed laty przywykł do starszych dzieci — lecz uczucie to minęło natychmiast.

— No, no malutki — powiedział Hornblower.

Ryszard wiercił się w jego ramionach i wyciągał rączki do błyszczących złotych frędzli epoletów.

— Ładne? — zapytał Hornblower.

— Ta! — gaworzył dzieciak, dotykając nitek szlifów.

— Prawdziwy mężczyzna! — zawołał Hornblower.

Dawna umiejętność obchodzenia się z dziećmi nie opuściła go. Ryszard uszczęśliwiony gaworzył w jego ramionach i uśmiechał się słodko igrając z ojcem i kopiąc go w pierś nóżkami. Odwieczna zabawa z pochylaniem głowy, jakby z zamiarem ubodzenia dziecka w brzusek, okazała się niezawodna, jak zawsze. Ryszard zaśmiewał się i wymachiwał z zachwyty rączkami.

— Jak nam wesoło! — mówił Hornblower. — Och, jak wesoło!

Nagle zreflektował się i spojrzał na Lady Barbarę. Wpatrzona była w dziecko, twarz miała rozjaśnioną i czuły uśmiech. Pomyślał, że wzruszyła ją jego miłość do dziecka. Ryszard też ją zauważył.

— Gu! — zawołał, wyciągając rączkę w jej stronę.

Podeszła i chłopczyk poprzez ramię ojca sięgał, by dotknąć jej twarzy.

— Udany z niego dzieciak — powiedział Hornblower.

— No pewnie że to udany chłopczyk — powtórzyła niania. Uważała za rzecz naturalną, za dostojni ojcowie w lśniących uniformach mogą zajmować się dzieckiem tylko przez krótką chwilę, a potem trzeba ich natychmiast od tego uwalniać.

— To mała szelma — powiedziała niania, trzymając malca w ramionach. Wiercił się, wodząc wielkimi brązowymi oczyma od Hornblowera do Barbary.

— Powiedz „pa, pa” — mówiła niania. Ujęła go za rączkę i pomachała do nich tłusciutką piąstką. — Pa, Pa.

— Jak pan myśli, czy jest do pana podobny? — spytała Barbara, gdy drzwi zamknęły się za nianią i małym.

— Bo ja wiem... — odparł Hornblower uśmiechając się niepewnie.

Czuł się szczęśliwy podczas tych kilku chwil spędzonych z synem. Tak szczęśliwy, jak nie był od dawna. Przez cały ranek aż do tej chwili towarzyszyło mu ponure przygnębienie. Mówił sobie, że posiadał wszystko, czego tylko mógł pragnąć, lecz w głębi duszy czuł, że właściwie nie pragnął niczego z tych rzeczy. W porannym świetle zarówno wstęga, jak i gwiazda robiły wrażenie tanich ozdóbek. Nigdy nie potrafił być z siebie dumny; znajdował coś zabawnego w zestawieniu tytułu „Sir” z nazwiskiem „Horatio Hornblower”, zawsze zresztą wydawało mu się, że on sam ma w sobie coś śmiesznego.

Próbował pocieszać się myślą o pieniądzach. Miał przed sobą łatwy i bezpieczny żywot; nigdy już nie będzie musiał zastawiać swej szpady ze złotą rękojeścią ani w lepszym towarzystwie wstydić się swoich pozłacanych klamer przy butach. A jednak perspektywa ta wydawała mu się teraz przerażająca. Czuł się osaczony jak w czasie nużących tygodni w Chateau de Gracay — pamiętał, jak miotał się wówczas niczym lew w klatce. Trudno uwierzyć, ale niepokój i niepewność, które tak go nękały, kiedy ich doświadczał, miały teraz w sobie coś pociągającego.

Kiedyś zazdrościł kolegom kapitanom, o których pisano w gazetach. Obecnie przestało go to cieszyć. Bush i Brown nie będą go kochać ani mniej, ani więcej z powodu tego, co „Times” o nim napisze; gardziłby tymi, którzy dopiero teraz zaczęliby go darzyć cieplejszymi uczuciami — miał też słuszne powody do obawy, że znajdą się i tacy, którzy zamiast go lubić, staną się rywalami. Wczoraj spotkał się z poklaskiem tłumu; nie podniosło to jego mniemania o tłumie, a napełniło gorzką pogardą dla kół wyższych, które rządzą tym tłumem. Jednakże niezadowoleni byli w nim dwaj osobnicy, zarówno człowiek walki, jak i człowiek humanitarny. Szczęście to owoc Morza Martwego[15], który doniesiony do ust rozsypuje się w popiół, stwierdzał Hornblower czyniąc nierozważne to uogólnienie na podstawie swego jednostkowego doświadczenia. Nadzieja posiadania, a nie samo posiadanie daje nam zadowolenie, a uczyniwszy to odkrycie przez swoją przekorę nie będzie w przyszłości znajdował zadowolenia nawet w tej nadziei. Zwątpił we wszystko. Wolność okupiona śmiercią Marii nie była wolnością, jaką warto posiadać; zaszczyty z rąk tych, co nimi dysponują, nie przynoszą zaszczytu; a pewność nie jest w rzeczywistości warta utraty niepewności. Co życie dawało jedną ręką, zabierało drugą. Kariera polityczna, o której marzył niegdyś, stała przed nim otworem, szczególnie wobec przymierza z frakcją Wellesleyów, lecz widział z bolesną jasnością, że często będzie mu wstrętna; był szczęśliwy z synem przez pół minuty, a teraz z większym jeszcze bólem zapytywał sam siebie cynicznie, czy to szczęście przetrwałoby trzydzieści lat.

Napotkał znowu wzrok Barbary i czuł, że wystarczy skinąć, a będzie jego. Dla tych, którzy go

nie znali i nie rozumieli, którzy uważali jego życie za romantyczne, gdy w istocie było ono najprozaiczniejsze w świecie, byłby to zapewne szczytowy romantyczny punkt. Uśmiechała się, ale widział, że usta jej drżą. Przypomniał sobie słowa Marie o nim, że należy do mężczyzn, w których kobiety łatwo się zakochują i poczuł się zażenowany na jej wspomnienie.

[1] Ruse de guerre (fr.) — podstęp wojenny.

[2] Oderint, dum metuant (łac.) — Niech nienawidzą, byle się bali.

[3] Latude — awanturnik francuski, który w 1805 r. po trzydziestu pięciu latach więzienia wydostał się na wolność.

[4] Pomyłka Foreстера. Wcześniej (s. 28) mowa o trzech tygodniach niewoli.

[5] W owym czasie posługiwano się optycznym telegrafem. Zainstalowany na wybrzeżach Francji semafor oznajmiał o przybyciu okrętów i o ich ruchach na morzu.

[6] Józef Bonaparte (1768—1844), najstarszy brat Napoleona, mianowany przez niego królem Hiszpanii.

[7] George Canning (1770—1827), angielski mąż stanu.

[8] U ujścia Allier do Loary.

[9] Douanier (fr.) — celnik.

[10] Skif — wyścigowa łódź, jedyńka.

[11] Pilczardy — ang. pilchard, wyrośnięte sardynki.

[12] Angielska wersja francuskiej wyspy Ouessant.

[13] Cintra — miejscowość w Portugalii, gdzie w 1808 r. Wellington po zwycięstwie nad armią francuską podyktował generałowi Junotowi warunki honorowej kapitulacji.

[14] Luddyści — członkowie związku robotniczego z lat 1811-1816 w obawie bezrobocia niszczyli maszyny.

[15] Owoc Morza Martwego — inaczej; jabłko sodomskie; podobny do pomidora, łatwo psujący się owoc krzewu w rodzaju psianki, którego wnętrze według podań starożytnych po zerwaniu zmieniało się w popiół.